

Zbieracz truskawek

Monika Feth



Dziękuję...

...Gerhardowi Klockenkamperowi, którego
ogromna fachowa wiedza bardzo mi pomogła
w gromadzeniu materiału,
...mojemu mężowi za nieustające zrozumienie,
...naszemu synowi za to, że jest, jaki jest,
...wsi, w której mieszkamy, za wyjątkową atmosferę,
...zbieraczom truskawek z zeszłego lata za inspirację.

Monika Feth

To był jeden z tych dni, gdy czuło się zapach upału. Spalanej słońcem skóry. Potu oblewającego ciało przy każdym ruchu. Takich dni, które go szczególnie irytowały i drażniły. Kiedy lepiej, by nikt nie wchodził mu w drogę.

Inni z czasem się do tego przyzwyczaili. Pozwalali mu w spokoju pracować, nie odzywając się, a nawet ścisząc głos, gdy ich mijał.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego niektórzy ludzie nieustannie mówią. Nie potrafią odróżniać spraw ważnych od nieistotnych, wszystko zasypując małymi, głupimi, afektowanymi słowami. Już w dzieciństwie nauczył się przed tym bronić - po prostu zamykał się w sobie. Uwielbiał patrzeć, jak poruszają się usta rozmówcy, do jego uszu nie docierał jednak żaden dźwięk. „Jak ryba wyrzucona na brzeg” - myślał.

Za ową nieobecność duchem kiedyś otrzymywał cięgi. Dziś już nikt nie zwracał uwagi na jego uniki. Ludzie zazwyczaj okazywali się równie nędzni i głupi jak ich słowa.

Już za godzinę podadzą obiad. Szybko się z nim upora i znów wróci do pracy.

Wiedział, dokąd prowadzi ten niepokój, jeśli się czymś nie zajmie. Co oznacza drżenie rąk. Tak jak teraz.

„O Boże". Zdławiony jęk przyciągnął spojrzenie dwóch kobiet. Prawie ich nie znał. Spojrzał *ponuro*. Spuściły wzrok, odwracając się do niego plecami.

Słońce na niebie świeciło jednym wielkim blaskiem.

„Wypal te myśli z mojego ciała. Proszę! - pomyślał. - I te uczucia".

Ale słońce było tylko słońcem (tak jak człowiek jest tylko człowiekiem).

Nie mogło spełniać życzeń.

Mogła to uczynić jedynie czarodziejka.

Młoda. Piękna. I niewinna. To przede wszystkim.

I na całym świecie tylko jemu przeznaczona.

*

Podczas jazdy wiatr przywiewał przez okno zapach truskawek. I upał, który w tym roku nadszedł o wiele za wcześnie. Spódnica kleiła mi się do nóg. Czułam kropelki potu nad górną wargą. Lubiłam swoje stare, rozklekotane renault ze wszystkimi jego wadami, ale czasem bardzo tęskniłam za nowszym modelem z klimatyzacją.

Za zakrętem zobaczyłam ich na polach - zbieraczy truskawek, pochylających się nad roślinami lub ostrożnie chodzących wzdłuż rzędów krzaczków; balansowali, niosąc na ramionach skrzynki. Przypominali niewolników na plantacji bawełny. Barwne, spalone słońcem plamy na rozległej zielonej powierzchni.

To robotnicy sezonowi, wielu z nich przyjechało z Polski, liczni z najbardziej odległych zakątków Niemiec - ostatni poszukiwacze przygód, coroczna inwazja, przed którą mieszkańcy wsi zamykali drzwi i okna.

Wieczorami obce kobiety i mężczyźni, chłopcy i dziewczęta spotykali się przy studni w centralnym miejscu wioski, pili, palili i rozmawiali, śmiejąc się głośno. Trzymali się z boku, nie pozdrawiali miejscowych ani się do nich nie uśmiechali.

„Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Przysłowia *często* znajdują potwierdzenie w rzeczywistości. Mieszkańcy wsi zasiali nieufność i w zamian spotykali się z zasłużoną rezerwą.

Zbliżałam się do domu długim, krętym podjazdem. Biały żwir skrzypiał pod oponami. „Jak w filmie - pomyślałam. - Wszystko zbyt doskonałe, o wiele za piękne, by było prawdziwe. A jeśli się obudzę i stwierdzę, że to tylko sen?”.

W pobliżu domu dosłownie czuło się zapach pieniędzy, włożonych w każdy detal. Pieczołowicie i wielkim nakładem środków odrestaurowany dawny młyn wodny robił wrażenie. Architekt wkomponował w wystrój wnętrza nawet szmerzący strumień, odprowadzając z niego wodę do wąskiej rynny ciągnącej się przez hol.

Słońce igrało na dwustuletnich czerwonych ceglach, rozjaśniało blaskiem warstwę żwiru i załamywało się na szklanym froncie przybudówki - wyglądała jak fantazja autora science fiction.

Dom mojej mamy. Przy każdej wizycie na nowo poddaję się jego urokowi.

Zamknęłam drzwi i weszłam do holu. Powitał mnie przyjemny chłód. I nasz kot Edgar, który swoje imię zawdzięcza prostemu faktowi, że mama ubóstwia opowiadania Edgara Allana Poe.

Podniosłam go i potarrosiłam, zrzucając na podłogę chmurę kłaczków. Czyżby wciąż tracił zimową sierść? De-

likatnie postawiłam kota na podłogę - polizał sobie bok i dumnie pomaszerował przede mną w stronę schodów.

Wnętrze budynku także urządzone ze smakiem, wystrój był kosztowny i wyszukany. Przez wysokie okna w holu wpadało miękkie popołudniowe światło słoneczne, rozjaśniając drewno schodów. Rattanowe fotele na posadzce z płytek *terazzo* budziły tęsknotę za Włochami, tak samo jak otynkowane białe ściany i zaokrąglone klasztorne wnęki okien.

Już same schody to prawdziwe dzieło sztuki. Stopnie wydawały się niemal zawieszane w powietrzu. Stolarz, który je budował, słynął z tego, że zawsze osiągał maksimum efektu, stosując minimum materiału. Zresztą tutaj wszystko tak wygląda - każdy pokój i nawet najmniejszy przedmiot. Mama z zasady wybiera to, co najlepsze. I najdroższe. Bo ją na to stać.

Gdy Edgar dotarł do końca schodów, przeszedł przez górny hol. Wiedział, że pierwsze kroki zawsze kierują do mamy.

Z jej pokoju nie dobiegały żadne odgłosy. Może zasnęła. Ostrożnie otworzyłam drzwi.

Siedziała przy biurku przed stosem papierów, z okularami na nosie. Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

- Jette! Jak wspaniale! - wykrzyknęła. Jest pisarką. A dokładniej: autorką kryminałów. Pisze dla czarnej serii wydawnictwa Piepenbrink, i to z wielkim sukcesem.

Odkąd porzuciła zajęcie, które moja babcia i zaprzyjaźnione z nią panie rozumieją pod pojęciem tworzenia prawdziwej literatury, jej książki sprzedają się jak świeże bułeczki. Zostały już przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków, a producenci filmowi zabiegają o prawa do ich ekranizacji.

- Usiądź na chwilę. Zaraz skończę - obiecała.

Mamie w każdej chwili można przerwać każdą czynność, tylko nie wtedy, gdy zapisuje nowy pomysł albo szkicuje koncepcję. Dawno się do tego przyzwyczaiałam i nie miałam jej tego za złe. Kiedyś było inaczej, wydawało mi się, że słowa są dla niej ważniejsze niż ja.

Edgar wskoczył już na kanapę, czekając, aż usiądę. Zwinął się na moich kolanach, zamknął oczy i pomrukiwał, delikatnie wbijając mi pazurki w udo.

Pamiętam nasze życie, zanim mama odniosła sukces. Mieszkaliśmy wtedy w domku szeregowym w Bróhl. Ogródki przed wejściem wyglądały jak wypielegnowane rodzinne groby, obsadzone iglakami, rododendronami i roślinami jednorocznymi. Gdzieś woda spływała po wyszorowanych do czysta kamieniach do oczka wodnego z liliami i dorodnymi złotymi rybkami.

W suterenie za obrośniętymi bluszczem oknami mieściło się biuro mojego ojca. Po prawej stronie drzwi, na wysokości oczu, wisiała metalowa tabliczka z napisem: „Theo Weingartner, doradca podatkowy. Tabliczka była wypolerowana do połysku. Wiele klientek sprawdzało w niej makijaż, zanim nacisnęły guzik dzwonka.

Mieliśmy sprzątaczkę, która dwa razy w tygodniu doprowadzała dom do porządku, a raz w miesiącu przychodził ktoś do mycia okien. Mama pisała i pisała.

Oprócz gabinetu na pierwszym piętrze jej ulubionym miejscem był ogród, jakby żywcem wyjęty z błyszczącego magazynu „Homes & Gardens”: idealne połączenie zadbanych i zarośniętych zakątków, co było ostatnim krzykiem mody w czasopiśmie poświęconych ogrodom.

Mama miała zwyczaj leczyć brak weny twórczej pracą w ogródku. Może czasem wolałaby omówić problem z moim tatą, a nie zakopywać go w ziemi albo przywiązywać do podpórek roślin, ale tata nie wykazywał zainteresowania intrygami tworzonymi przez mamę na papierze ani językiem, jakim je opisywała.

Wypowiadając się o jej pracy, co zdarzało się rzadko, używał określenia „pisanina”, a mamę nazywał „pisareczką”. Wymawiał to z przyjaznym mrugnięciem oka, co jednak nie było wiarygodne. Słowa „pisarka” lub „autorka” nie przechodziły mu przez gardło, bo to by oznaczało, że traktuje zawód żony poważnie.

Zachowanie ojca nie zmieniło się nawet wtedy, gdy mama zaczęła się pojawiać w talk-show, a dziennikarze, przygotowując fotoreportaże i filmy krótkometrażowe, wywracali życie w naszym domu do góry nogami.

Jednak wysokość dochodów z wydawnictwa zmuszała do szacunku nawet ojca. Te pieniądze przeznaczaliśmy na wyrafinowane zachcianki, nowe bmw, nowoczesne, praktyczne wyposażenie biura taty, lepszy komputer dla mamy, wytęskniony ogród zimowy.

Pisanie książek przez mamę nie miało wiele wspólnego z naszym codziennym życiem. Działo się to jakby mimochodem, a my prawie niczego nie dostrzegaliśmy. W jakimś momencie mama zjawiała się w kuchni i rzucała od niechcienia, że skończyła nowy manuskrypt. Kilka tygodni później przyjeżdżała jej redaktorka, siadały w ogrodzie zimowym i omawiały tekst, przy czym rozkładały kartki gdzie popadnie, tak że trudno było przejść w tę i z powrotem, nie powodując straszliwego bałaganu.

Następnie kurier przywoził wydruki do korekty, projekt okładki, a w końcu gotową książkę.

Mama musi pisać. Inaczej nie zniosłaby codzienności, jak sama mówi. Tak było zawsze. Może dawniej potrzebowała tego bardziej, bo oprócz codzienności musiała jeszcze znosić mojego ojca.

On nie lubi niespodzianek i tworzy sobie doskonałe życie w doskonałym domu i doskonałym zawodzie. Czasem wydaje mi się mieszkańcem ogromnego domku dla lalek, w którym nic nigdy nie jest szalone, gdzie wszystko stoi ładnie na swoim miejscu.

Mama natomiast jest chaotyczna. Na pewno w dzieciństwie uważała domki dla lalek za okropieństwo, nie powinno więc dziwić, że prowadzenie domu pozostawiała innym.

Coraz bardziej absorbował ją ogród. Stał się jej przejrzystym uniwersum, ze ściśle wytyczonymi zasadami, gdzie mogła gospodarzyć, jak chciała. Sukcesy dostrzegało się tam gołym okiem, błędy zaś łatwo korygowało.

Tak samo przedstawiała się sytuacja z pisaniem. Mama tworzyła złożony świat, w którym tylko ona miała władzę nad postaciami i ich losem. Ludzie się rodzili i umierali w zależności od jej decyzji.

Odbywało się to za zamkniętymi drzwiami, w zaciszu maleńkiego gabinetu. Czasami o tym opowiadała, a wtedy w jej oczach pojawiał się błysk. Lecz najczęściej przeżycia towarzyszące pisaniu zachowywała dla siebie i rozmawiałyśmy o innych rzeczach.

Pewien kolorowy magazyn określił kiedyś mamę jako kobietę uzależnioną od pisania, która nauczyła się perfekcyjnie

maskować swoją obsesję. Rzeczywistość jej nie wystarcza, więc w opowieściach wymyśla nowy świat.

Inne życie. Może ojciec, gdyby chciał, umiałby jej towarzyszyć na tej drodze. Ale nie chciał.

A ja? Mnie nikt nie pytał.

Mama uciekała też w spotkania autorskie. Całymi tygodniami podróżowała, dzwoniła do mnie z Monachium, Hamburga, Zurychu i Amsterdamu. Przy naszym telefonie stale leżała lista hoteli, w których akurat się zatrzymała. Mama: „uchwytna pod numerem...”.

Na czas jej nieobecności nasza sprzątaczką przejmowała rolę gosposi i przesiadywała u nas od rana do wieczora, zajmując się wszystkim, co w danej chwili było do zrobienia. Gotowała pożywne domowe posiłki, przez które ojciec dorobił się dziesięciu kilo nadwagi.

Mama stała się sławna, ja zaś zyskałam w szkole specjalny status. Nawet niektórzy nauczyciele patrzyli na mnie z szacunkiem. Zaczęłam upływniać autografy mamy i całkiem nieźle na tym wychodziłam.

A wieczorami, gdy cienie w pokojach drgały niespokojnie, tęskniłam za nią. Nie żebym pragnęła stałej obecności mamy w domu. Przeciwnie. Przyzwyczaiałam się jednak, że słyszę, jak wchodzi po schodach lub z nich zbiega. Jak półgłosem czyta fragmenty manuskryptu. Jak telefonuje. Brakowało mi też zapachu jej perfum, unoszącego się jak niewidzialna mgiełka w pokoju, w którym akurat przebywała lub właśnie z niego wyszła.

Staliśmy się bogaci. Rodzice kupili stary młyn wodny w Eckersheim z dwoma hektarami gruntu, w sielankowej okolicy, w parku krajobrazowym. Do renowacji i przebudowy

zaangażowali znanego architekta. Ojciec, który wolałby willę na przedmieściach Bróhl, ale nie mógł przeforsować swojej koncepcji, zatrudnił sekretarkę.

Miała na imię Angie i tak też wyglądała - trzydziesto-parolatka z końskim ogonem w kolorze popielatego blondu, na palcach pełno pierścionków, stałe nosiła za krótkie i za wąskie spódniczki. Mama każdą wolną chwilę spędzała na placu budowy, ojcu brakowało już czasu, bo pochłaniała go praca z Angie.

W tamtym okresie kursowałam między rodzicami, włączałam się i zaniedbywałam szkołę, nagle wkraczając w dorosłość. Miałam wtedy piętnaście lat.

Rok później się rozwiedli. Tata nie przeprowadził się z nami do gotowego młyna. Został w starym domu razem z Angie, która była w ciąży.

- No! - Mama zdjęła okulary. - Zjawiasz się w dobrym momencie. Marzę o kawie. Przywiozłaś ze sobą trochę czasu?

- Ile zechcesz. Naprawdę ci nie przeszkadzam? Odłożyła mazak.

- Owszem. Ale akurat w odpowiednim momencie. Nie posuwam się naprzód. Dawno wyłączyłam komputer. Wiesz, jakie to uczucie, kiedy wpatrujesz się w ostatnie zdanie jak sroka w gnat i nagle stwierdzasz, że minęła bita godzina?

Nie czekała na odpowiedź. Pytania retoryczne to jej specjalność. Wstała i nachyliwszy się, pocałowała mnie.

Jej perfumy znałam tak dobrze jak głos albo ciepło jej skóry. Calypso. Nigdy nie używała innych. Były lekkie, świeże i pachniały latem. Zamawiała tę mieszankę w pewnej perfumerii. Zapach został skomponowany specjalnie dla mamy, więc to ona nadała mu nazwę.

To jedyna ekstrawagancja, na jaką sobie pozwalała, odkąd stała się kobietą bogatą, no może poza *tym*, że wydawała niemal majątek na oryginalne pierścionki, korale i bransolety, których potem nigdy nie nosiła, bo uważała, że zbyt rzucają się w oczy.

- Coś nie tak? — Przejechała dłonią po krótko ściętych czarnych włosach, poprządkanych srebrzystymi nitkami.

- Przeciwnie. - Posłałam jej uśmiech. - "Wyglądasz super. Jak zwykle.

Wzięła mnie za ramię i wyciągnęła z pokoju.

- Ty też.

To wierutne kłamstwo. Ale może nawet nie zauważyła, że mnie oszukuje. Może sama chciała w to uwierzyć, wmawiając sobie, że córka wygląda wspaniale. Na jej podobieństwo.

Trudno uznać mnie za piękność. Nigdy zresztą nie było to moją obsesją. Nie zamieniłabym wyjątkowości, jaką byłam obdarzona, na żadną urodę świata, nawet jeśli nie jest nadzwyczajna. Lubię siebie, a to nie każdy mógłby powiedzieć.

Zeszliśmy na dół. Na podłodze kuchni lśniły plamy słońca. Na największej z nich wyciągnęła się Molly, nasza kotka, biało-czarna jak posadzka w szachownicy. Wyłącznie mnie zawdzięcza swoje zwykłe, niczym i przez nikogo nieinspirowane imię. Na powitanie głośno zamiauczała i wstała, próbując ocierać się o moje nogi. Potem przez szeroko otwarte drzwi prowadzące na taras wyszła z Edgarem do ogrodu.

Mama robiła nam kawę w dosyć wysłużonym ekspresie. Po raz kolejny zdziwiłam się, jak bardzo przypomina babcię. Często z tego powodu się złościła, bo babcia i ona to ogień i woda, i chyba już nic tego nie zmieni.

-Jak ci idzie praca nad nową książką? - zapytałam, przysiadając na nagrzanym od słońca brzegu stołu.

- Będzie mnie kosztować lata życia. — Mamie z łatwością udawało się łączyć teatralne zdania z najbardziej banalnymi czynnościami. W skupieniu ustawiła filiżanki do kawy, cukier i miseczkę z ciasteczkami pomarańczowymi na tacy, której jeszcze nie widziałam albo wcześniej nie zauważyłam, i wyniosła wszystko na taras. - Lepiej mi się pisało, kiedy tu jeszcze mieszkałaś. Brakuje mi tego spokojnego uregulowanego trybu życia.

- A za mną nie tęsknisz?

Ledwie wypowiedziałam te słowa, już żałowałam. Czy wciąż doskwiera mi to, że jestem raczej mało znaczącym elementem życia sławnej mamy? Czy nadal boli mnie, że w zasadzie nie jestem jej potrzebna? Ze zadowoliliby się jakąkolwiek córką, dowolną i wymienialną?

- Nieważne. - Machnęłam lekceważąco ręką. - Nie pytałam na serio. Spojrzała urażona.

- Mogłabyś wreszcie przestać być taka przewrażliwiona na swoim punkcie, Jette!

I to mówi ona! Przecież o byle sylabę można się z nią sprzeczać całymi godzinami!

Usiadłam na jednym z ogrodowych krzeseł i opierając się, głęboko odetchnęłam. Gdybym kiedykolwiek miała żałować, że już tu nie mieszkam, to jedynie z powodu krajobrazu. Błądziłam wzrokiem po pagórkowatych polach, na których pasły się owce sąsiadującego z nami rolnika. Tu i ówdzie rosło przekornie zakrzywione drzewko owocowe, jakby zapomniane wśród traw.

Nikt nie naruszył tego krajobrazu. Na szczęście nawet mama nie wpadła na absurdalny pomysł, by urządzić tu przypominający park ogród lub zlecić stworzenie czegoś podobnego. Tak jak ja doceniała urok tego miejsca i nie zakłócała jego atmosfery.

Szum strumienia wpisywał się w idyllę. Skrzyżowałam ręce za głową i zamknęłam oczy.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytałam.

Mama czekała z odpowiedzią, aż otworzę oczy.

- Tylko na kilka pojedynczych spotkań autorskich. Przecież wiesz, że sezon ogórkowy zawsze wykorzystuję na pisanie.

Sezon ogórkowy. Wszystko kręciło się wokół jej pisarstwa. Nawet pory roku. Odkąd rozstała się z ojcem, z jeszcze większą pasją rzuciła się w wir pracy. Jakby chroniło ją to przed światem, samotnością albo przed uczuciami.

Przyjrzałam się mamie uważniej. A jeśli cały widoczny na zewnątrz spokój to tylko fasada? Doskonały pancerz? Czułam przecież jej nerwową energię. Zdawała się niemal przepływać ponad stołem. Mama zawsze tak się zachowywała, gdy pracowała nad nową książką. Wysuwała swoje macki, badała nimi każdego człowieka, każde słowo, każdy dźwięk i zapach.

W takich chwilach próba wciągnięcia ją w rozmowę o czymkolwiek nie miała sensu, bo wprawdzie fizycznie była obecna, ale myślami przebywała gdzieś indziej.

- Dziwna sprawa z tą powieścią — zauważyła z wahaniem. - Jeszcze nie wymyśliłam bohatera. A już jest gotowy pierwszy rozdział.

Kiwnęłam głową, nie wiedząc, co jej doradzić. Zwykle nie oczekuje pomocy, kiedy mówi o problemach w pracy. Są to

tylko głośno analizowane myśli, rozmówca zaś jest dla niej jedynie lustrem.

Lustreczko, lustreczko, powiedz przecie, kto jest najmądrzejszy w świecie?

Nie. To nie ta bajka. Nie miałam predyspozycji, by być Królową Śnieżką.

Mogłabym się udławić jednym zatrutym zdaniem.

W milczeniu piłyśmy kawę.

- A dlaczego przyjechałaś? - zapytała.

Dobre pytanie. Dlaczego przyjechałam? Może wiedziałam, ale zdążyłam już zapomnieć.

*

Denatka - naga w zaroślach. Ułożona na wznak. Ręce bezładnie rozrzucone przy ciele. Prawa noga lekko podwinięta, lewa wyprostowana.

Obcięto jej włosy. Luźny kosmyk zaplątał się przy ramieniu, pozostałe rozwał wiatr, niektóre owinęły się wokół łodyg roślin, inne zaś przyłgnęły do szorstkiej kory drzew.

Jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niebo. Jakby w chwili śmierci była przede wszystkim zdziwiona.

To dzieci ją znalazły. Chłopiec i dziewczynka, rodzeństwo, dziesięciolatek i dziewięciolatka. Rodzice zabronili im bawić się w lesie. Mimo to złamały zakaz. I zostały straszliwie ukarane. Widokiem, którego nie zapomną do końca życia.

Uciekały stamtąd z krzykiem. Potykały się o kępy trawy na łąkach i pastwiskach, przedzierały przez płoty, przeczołgiwały się pod drutem kolczastym. Kiedy chciały skrócić drogę przez podwórze *cegielni*, zatrzymał je pewien robotnik. Wśród szlochów i spazmów wydusiły z siebie, co zoba-

czyły. Mężczyzna zadzwonił po policję i odprowadził dzieci do biura, gdzie sekretarka zrobiła im kakao i powiadomiła matkę.

Denatką okazała się osiemnastoletnia dziewczyna. Została zgwałcona. Na jej ciele odkryto siedem śladów po ciosach nożem, z których już pierwszy, zadany w serce, był śmiertelny.

Ofiara pochodziła z Hohenkirchen, miejscowości sąsiadującej z Eckersheim. Uczennica mieszkająca jeszcze z rodzicami. Zidentyfikował ją jeden z policjantów przybyłych na miejsce zbrodni. A ponieważ znał rodzinę, wyraził gotowość przekazania tej wiadomości najbliższemu zmarłej.

Matka stanęła w progu i słysząc tragiczną wiadomość o śmierci dziecka, struchlała. Mąż odprowadził ją na kanapę w salonie i przykrył nogi żony kocem. Potem poklepał funkcjonariusza w ramię i zaproponował wódkę.

Tak reagowali ludzie pod wpływem szoku. Robili najdziwniejsze rzeczy. Kiedyś policjant miał do czynienia z kobietą, która na wieść o śmiertelnym wypadku męża poszła do kuchni, nałapała talerz zimnego rosółu i pochłonęła go tak łapczywie, jakby od dawna nie jadła.

Dziewczyna miała na imię Simone. Simone Redleff. Cała miejscowość uczestniczyła w jej pogrzebie. To największa uroczystość żałobna, jaka kiedykolwiek odbyła się w Hohenkirchen.

Uczniowie dwunastych klas z tej szkoły zjawili się w komplecie. Dziewczyny przyciskały do ust chusteczki, chłopcy ukradkiem ocierali łzy wierzchem dłoni. Nikt jeszcze nie otrząsnął się z szoku. Ta śmierć zdarzyła się nagle, nieoczekiwanie. Ale nie to przerażało najbardziej. Najgorsze było straszne, beznadziejne okrucieństwo.

Często pojawiały się informacje o potwornych czynach, ale docierały z daleka. Skoro coś takiego przytrafiło się jednemu z nich - zdawali się myśleć ci ludzie - to gdzie można się czuć bezpiecznie?

W domu pogrzebowym grano piosenki pop, które wybrała jedna z przyjaciółek zabitej dziewczyny. Melodie wypełniały rozpaczliwym smutkiem pomieszczenie z migocącymi świecami i kwiatami o zapachu śmierci.

Na zewnątrz świeciło słońce, jakby nic się nie stało.

A przecież już nic nie będzie takie jak przedtem.

Jak oświadczył na konferencji prasowej komisarz Bert Melzig z policji kryminalnej w Brohl, morderstwo osiemnastoletniej Simone Redleff ma wiele cech wspólnych z dwoma zabójstwami dziewcząt popełnionymi w miastach Jever i Aurich na północy Niemiec. Oba przestępstwa nie zostały do tej pory wyjaśnione. Melzig nie chciał udzielić bliższych informacji ze względu na dobro śledztwa.

*

Czuł potworne zmęczenie. Mimo to długo nie zasypiał. Lubił obrazy, które pojawiały się w głowie, zanim na dobre zamknął oczy, ale jednocześnie nienawidził ich i odczuwał lęk. W tej chwili się ich bał.

Usilnie starał się myśleć o czymś innym.

Bez powodzenia. Wizje powracały jak bumerang.

Wciąż jeszcze nie opuszczało go podniecenie. Żadne inne uczucie choćby w przybliżeniu nie dorównuje mu intensywnością.

„Dziewczyno - myślał — dlaczego mnie zawiodłaś?”.

Gdy dokładniej jej się przyjrzał, odkrył, że wcale nie przypomina czarodziejki. Nawet nie była zbyt ładna. Jej przerażony głos brzmiał piskliwie jak krzyk ptaka. To go doprowadzało do szału. Nie znosił wysokiego tonu, w którym słycać lęk.

I nienawidził, gdy ktoś się pocił ze strachu.

Jej ręce stały się całkiem oślizgłe.

Nie żeby naprawdę wierzył w czarodziejki. Przecież nie był już dzieckiem. Poza tym wróżka miałaby większą władzę, niżby sobie życzył.

Powinna wyglądać jak czarodziejka. Jak ta w książce z bajkami, którą miał w dzieciństwie. Szczupła. O miękkich błyszczących włosach.

Piękna.

Duże oczy. Długie rzęsy.

Z daleka nie widać szczegółów. Dostrzega się je dopiero z bliska. I zwykle jest już za późno. Zawsze spotykała go jakaś przykra niespodzianka, nieprzyjemne zaskoczenie. Już choćby znamię w niewłaściwym miejscu mogło zepsuć cały obraz.

Od dziewczyny w Jever zalaływało dymem. Nawet częstowała go papierosem! Śmiała się kokietyjnie, odchyłała do tyłu głowę, wydmuchując w powietrze dym i nie domyślając się, że dawno podpisała na siebie wyrok śmierci.

Z jękiem obrócił się na drugi bok. Cieszył się z wynajętego pokoju w małym zajeździe, nie musiał bowiem mieszkać z innymi pracownikami u właściciela plantacji. Brzydka klitka zamiast łazienki miała niewielką wnękę do mycia, tak ciasną, że z trudem mógł się w niej ruszyć. Pokój mieścił się na poddaszu i wieczorami był nagrany od słońca. Z okna widział jedynie komin na sąsiednim dachu. Opłata nie nad-

werężała jego budżetu, dzięki czemu nie musiał rezygnować z wolności.

Przed wszystkim mógł bezpiecznie marzyć.

A jego wizje zupełnie nie nadawały się do sali z wieloma łózkami. Trudno ukryć niepokój, jaki często go ogarniał, gdy zrywał się z łóżka. Nie mógł też ryzykować, że ktoś usłyszy słowa wypowiediane przez sen.

Nie, ten pokój był lepszy. Niemal idealny.

Gdyby tylko wreszcie mógł zasnąć.

Potrzebował odpoczynku, by przetrwać te dni. Zachować pozory. Oczywiście gliniarze weszli też pośród zbieraczy truskawek. I znów przyjdą. Gdy tylko będą mieli jakiś punkt zaczepienia.

Obrócił się na plecy i skrzyżował ręce pod głową.

Ale niczego nie znajdą.

Nie dopadną go.

Nigdy im się to nie udało.

Uśmiechnął się w ciemnościach.

I wkrótce zasnął.

Po szkole pojechałam bezpośrednio do domu. Nie miałam ochoty siedzieć w lodziarni po zajęciach z fizyki. Nagle przyszło mi na myśl, że może zbyt często szukałam życia w niewłaściwych miejscach.

W pewnym sensie wyrosłam z okresu szkolnego. Właściwie powinnam zdawać w tym roku maturę. Zaczęłam żałować, że powtarzałam jedenastą klasę. Rozkłady zajęć, pisemne testy, zapach kredy, gąbki i potu, wciąż te same twarze - nie mogłam tego wytrzymać i czasem ogarniała mnie ochota, by walić na oślep.

Przedpołudniowa nuda zwałała mnie z krzesła.

Wzory. Liczby. Wiersze. Formułki.

Hałas. Tłum na szkolnym dziedzińcu. Duszne powietrze.

Nie wiem, jakie pojęcie o zawodzie miał architekt wyzywający się na naszej szkole. Pewnie nigdy nie był uczniem. Ten koszmar ze szkła i betonu w lecie zmieniał się cieplarnią, w zimie w lodownię.

Każdy tylko czekał, by stamtąd wyjść.

W korku, którego przyczyny nie było widać, straciłam pół godziny, zanim wreszcie skręciłam w Lessingstrasse. Wprawdzie mam kartę parkingową dla mieszkańców, lecz

bez wolnego miejsca jest nic niewarta. Klnąc, dwa razy okrążyłam blok, aż ktoś zwolnił miejsce, a ja wjechałam tam moim renault.

Na klatce schodowej czuć było osobliwą mieszaninę zapachu kapusty, kawy i smażonej słoniny. Na poszczególnych półpiętrach otwierałam okna, wiedząc, że znów je ktoś za-trzaśnie, gdy tylko zamknę za sobą drzwi do mieszkania.

„Sama wybrałaś takie życie - mówiłam sobie w drodze na górę. - Właśnie tego chciałaś”.

W młynie pokoje zawsze miały przyjemną temperaturę, w lecie panował orzeźwiający chłód, w zimie przyjemne ciepło. Żadnych wydeptanych drewnianych schodów, odpadającego tynku, usychających z braku wody roślin doniczkowych na parapetach, rowerów na korytarzu, dziecięcych wózków pod drzwiami i pośpiesznie nabazgranych głupawych hasel na ścianach. Niedawno pojawił się nowy napis, pierwszy, który był dowcipny i mi się podobał: „Święta Dziewico Maryjo, która poczęłaś bez grzechu, naucz nas grzeszyć bez poczęcia!”.

Ktoś próbował go zmyć, ale bez skutku. Jedynie trochę pozacierał litery. Kiedyś klatkę pomalują, a potem, z czasem, ludzie powypisują na ścianach nowe hasła.

-Jest tu ktoś?

Nikt nie odpowiedział, ale też wcale tego nie oczekiwałam. Zniosłam szkolną torbę do pokoju i weszłam do łazienki. Deska klozetowa była podniesiona. Na szczęście spostrzegłam to, jeszcze zanim usiadłam.

Merle często przyprawdza jakichś facetów, którzy nie kwapią się, żeby sikać na siedząco. Jeśli chodzi o mężczyzn, ma dosyć niewybredny gust. Chociaż jest jedną z najbardziej nie-

zależnych osób, jakie znam, uwielbia dominujących partnerów. Pogardza sobą za to, ale nie potrafi tego zmienić. Nie sprawia jednak przy tym wrażenia, by rzeczywiście się starała.

W ostatnim czasie hołdowała monogamii, która okazała się ciernistą drogą, pełną niespodziewanych przeszkód.

W kuchni jak zwykle chaos. Żadna z nas nie wstaje rano na tyle wcześnie, by wyjść z domu bez pośpiechu, a co dopiero zrobić porządek. Właściwie to mi nie przeszkadza, ale obowiązek sprzątnięcia najczęściej spada na mnie, bo zazwyczaj pierwsza wracam do domu - a to już jest irytujące.

Po południu Merle pracowała w pizzerii Claudia jako kierowca albo pomagała w kuchni, w zależności od sytuacji. Caro znowu miała problemy ze swoim chłopakiem Gilem i prawie jej nie widywałyśmy.

Byłam głodna i zupełnie oklapnięta, ale nie cierpię jeść przy stole z brudnymi nakryciami. Zabrałam się więc do robienia porządku.

Merle zwykle przygotowuje rano musli, do którego dodaje tarte jabłko, zgniecionego banana i sok z połowy cytryny. Skórki od owoców wrzuciłam do wiadra z odpadami organicznymi, wydrapałam z tarki stwardniałe włókna jabłka i namoczyłam ją w gorącej wodzie razem z wyciskarką do cytrusów.

Caro piła na śniadanie gorące kakao i jadła grzankę z szynką, do tego jajko na miękko. Skorupki leżały pokruszone przy jej talerzu, okruchy chleba w dużej części na podłodze i trzeszczały mi pod podszewkami. Na niedopitym kakao utworzył się kożuch, który przypominał szyję mojej babci, co wywołało we mnie wyrzuty sumienia, bo dawno do niej nie zaglądałam.

Ja wolę na śniadanie herbatę i fiński chrupki chleb z serem. Ponieważ rano zmarnowałam pięć cennych minut na szukanie odłożonej gdzieś książki, już zabrakło mi czasu, by włożyć ser z powrotem do lodówki. Kilka godzin wystarczyło, żeby zrobił się szklisty i lekko pofałdowany na brzegach. Teraz nie nadawał się nawet do zapiekania. Mogłam go tylko wyrzucić.

Po raz setny wzniosłam modlitwę dziękczynną do nieba, bo kilka tygodni temu po długich dyskusjach zdecydowałyśmy się sprawić sobie używaną zmywarkę. Połknęła brudne naczynia, a ja musiałam jedynie przejechać wilgotną ściereczką po stole i blacie kuchennym, dzięki czemu pomieszczenie znów jako tako nadawało się do użytku.

Wyczarowałam jajecznicę z grzybami i pomidorami, zaparzyłam herbatę karmelową i właśnie miałam zacząć jeść, kiedy do kuchni, szurgając nogami, weszła Caro.

- Aha - powitałam ją rozdrażniona. - Szczury wyłażą z nor.

Spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Niestety, o chwilę za późno, by pomóc mi sprzątać - dodałam.

Caro ziewnęła. Przeciągnęła zgiętymi palcami po rozczochranych włosach. Poczłapała ku lodówce i ją otworzyła. Wyjęła jogurt. Wzięła łyżeczkę. Usiadła obok mnie przy stole, wszystko robiąc w zwolnionym tempie.

Miała na sobie swoją najkrótszą spódnicę i koszulkę bez rękawów, jedno i drugie czarne, na to szarą lnianą bluzę, której jej zazdrościłam. Rozstawała się z nią tylko wtedy, gdy ją pożyczała, i to też bardzo rzadko.

- Miałam gościa — wyjaśniła.

- To znaczy, że nie byłaś w szkole.

Caro ostatnio stale wagarowała. Czasem w ogóle nie wstawiała z łóżka. Albo wychodziła z domu, a potem zawracała. To graniczyło z cudem, że jeszcze jej nie wyrzucono ze szkoły.

Zrobiła minę w rodzaju - nie-cierpię-kiedy-mówisz-jak-matka i zaczęła jeść jogurt.

- Gościa? - dopytywałam. - Czy go znam? -Nie.

- To coś poważnego? \ Wzruszyła ramionami.

Czyli znowu zerwała z Gilem. Otworzyłam książkę, którą położyłam obok talerza. Dobrze. Skoro nie chce, niech nie mówi, nie będę jej zmuszać. I tak cieszyłam się spokojem. Przedpołudnie mnie zmęczyło. Sześć długich jałowych, straconych godzin, których nikt mi nie zwróci.

Caro zajęła się ekspresem do kawy podarowanym wspaniałomyślnie przez moją mamę, kiedy się tu wprowadziłyśmy.

- Chcesz?

Potrząsnęłam głową, wskazując na swoją filiżankę z herbatą. Usiadła z espresso przy stole i gdy sięgała po cukiernicę, podsunął jej się do góry rękaw i odsłonił paskudną czerwoną pręgę na lewym przedramieniu.

- Caro...

Szybko opuściła rękaw.

Od dawna się nie okaleczała. Kiedy znów zaczęła? I dlaczego?

- Chcesz o tym porozmawiać? -Nie.

- Ale gdybyś kiedyś...

- To z całą pewnością zwrócę się do ciebie i Merle. Obiecuję.

Wciąż nam to przyrzekała, ale bez skutku. Trzeba było ją zaskoczyć, wyprzedzić opór i wciągnąć do rozmowy, zanim zdążyła się zorientować. Nie zawsze się to sprawdzało, ale najczęściej tak. Za każdym razem dowiadywałyśmy się o niej czegoś więcej. I kawałek po kawałku składałyśmy mozaikę

0 nazwie Caro.

Pochodziła z rozbitej rodziny. Wprawdzie jej rodzice

1 młodszy brat Kalle mieszkali jeszcze razem, ale nie mieli ze sobą nic wspólnego. Każdy chodził własnymi ścieżkami.

Ojciec bił matkę. Matka biła dzieci. Dzieci biły inne dzieci. Zawsze tak jest. Błędne koło przemocy, z którego także Caro nie potrafiła się wyrwać. Nie raniła jednak innych, raniła siebie.

— Chciałabym się zakochać — szepnęła rozmarzona.

— Przecież bez przerwy się zakochujesz. - Stale miała głowę zaprzątniętą jakimś chłopakiem. Ledwie przyzwyczała się do jednego, już otwierała drzwi drugiemu.

- Nie tak. Naprawdę. - Włożyła do ust kostkę cukru i rozgryzła ją z chrzęstem. - Na zawsze i na wieki, rozumiesz? Romantycznie i prawdziwie. Wielka miłość. Do końca naszych dni. - Przewróciła oczami. - A jeśli nie umarli, to żyją po dziś dzień. Amen. - Śmiejąc się, sięgnęła po drugą kostkę. Z jej figurą mogła sobie na to pozwolić. Była bardzo szczupła i zwykle jadła jak wróbelek.

— Chcesz się ustatkować? - Wypiłam łyk herbaty, której nie posłodziłam. Smakowała, jakbym zalała wrzątkiem suszoną trawę.

- Ależ to brzmi: ustatkować się. Ale możesz tak to nazwać. Okej, może tego chcę. Masz coś przeciwko? - Posłała mi znad stołu prowokujące spojrzenie.

- Gdybyś powiedziała, że przyjęłaś pracę tancerki na linie w cyrku Korona, łatwiej by mi było to sobie wyobrazić.

- Nigdy bym się nie zatrudniła w takim kapitalistycznym cyrku. Jeśli już, to nie jako akrobatka na linie czy połykaczka ognia, ale jako clown.

To do niej pasowało. Z krótkimi włosami i wielkimi oczami nie potrzebowała wiele więcej, żeby stworzyć doskonale złudzenie.

Ale czemu znowu się okaleczała?

- Nie zbaczaj z tematu - powiedziałam. - Co z Gilem?

Odstawiła na stół pusty kubeczek po jogurcie i przewróciła go palcem wskazującym. Z brzękiem wypadła z niego łyżeczka.

- A co ma być?

- Z nim chcesz się ustatkować? Potrząsnęła głową.

- Rozstaliśmy się. W zeszłym tygodniu.

- I od razu znalazłaś zastępcę?

- I co z tego? - Popatrzyła na mnie zaczepnie. - Mam teraz tygodniami pokutować, przeżywać żałobę?

Nie lubiłam, kiedy spychała mnie na pozycję moralizatorki.

- Czy ja ci robię wyrzuty?

- Ty? Jesteś jednym wielkim wyrzutem! Tylko spójrz na siebie! - Zrzuciła ze stołu kubek po jogurcie. Wylądował na podłodze, potoczył się po kafelkach i zatrzymał obok wielkiego kłęбка kurzu.

- Tak się składa, że lubię Gila. - Moja jajecznicą już wystygła. Byłam z tego powodu zła na Caro. - I uważam, że zasługuje na drugą szansę.

- Dostał ją. - Wstała i zrobiła sobie kolejne espresso.

- I to nie jedną.

- Nie miał nawet cienia szansy. - Odsunęłam talerz i łyknęłam herbaty. Letnia miała jeszcze obrzydliwszy smak. Zapach espresso uderzył w nozdrza. - Mogę też dostać?

Caro z hukiem postawiła przede mną filiżankę.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo tak wygodnie umościłaś się w tęsknocie za jedyną, wielką miłością, że gdyby się przed tobą pojawiła, nawet byś jej nie rozpoznała.

- O ile miłość może się przed kimś pojawić - odrzekła Caro z paskudnym uśmiechem.

Nie odpowiedziałam, piłam swoje espresso. To była jedna strona jej osobowości. Zimny cynizm. A jednocześnie potrafiła okazywać ciepło, czułość i współczucie. Ale w tej chwili nie było tego widać.

Postanowiłyśmy z Merle spokojnie odczekać. Zalety Caro znów się kiedyś uwidoczną. Do tego czasu należy zachować spokój. Miałyśmy czas. A ona zasługiwała na naszą cierpliwość.

- Może się wybierzemy do biura podróży? - zapytałam. Caro zapaliła się do tego pomysłu. Często tak robiłyśmy

— zbierałyśmy wszelkie możliwe prospekty i planowałyśmy pełne przygód wyprawy, na które nie było nas stać. Może kiedyś je odbędziemy, gdy zarobimy dosyć pieniędzy.

Początkowo Caro i Merle dziwiły się, że córka autorki bestsellerów Imke Thalheim (mama zawsze pisała pod na-

zwiskiem panięskim, a po rozwodzie z tatą oficjalnie do niego wróciła) nie opływa w dostatki. Potem zrozumiały, że powodem tego była moja duma. Nie chciałam być bardziej zależna od rodziców, niż to konieczne.

W drodze do biura podróży Caro wzięła mnie pod rękę. Wakacje były tuż-tuż. Ostatnie lato przed maturą.

- A gdybyś grzecznie zwróciła się do mamy? — Caro napotkała moje spojrzenie i machnęła ręką. — Tylko tak pytam. Przecież ta dobra kobieta nie wie, co zrobić z olbrzymią ilością forsy, no nie?

- Moja droga, wybacz! — Zatrzymałam się. — Najwyraźniej byłam niesprawiedliwa. Wcale nie myślisz tylko o sobie. Absolutnie bezinteresownie chcesz pomóc mojej mamie wydać pieniądze.

Z powagą skinęła głową.

- Po prostu nie mogę patrzeć, jak ktoś cierpi.

Spoglądając na siebie, wybuchłyśmy śmiechem. Nie wchodziło w rachubę prośenie mamy o pieniądze, czego nie musiałam Caro wyjaśniać, gdyż doskonale o tym wiedziała.

*

Mijały monotonne dni. Potrzebował tego. Żeby znaleźć spokojny mocny fundament dla swojego życia. By zachować kontrolę. Jak najdłużej.

Jego pragnienie coraz bardziej przypominało żarłoczne zwierzę.

Znajdował też liczne analogie. Rozmyślał nad filmami, które cenił. *Doktor Jekyll i pan Hyde. Nosferatu. Szal. Dracula* według książki Brama Stockera. *Milczenie owiec. Noc żywych trupów*. I nad wieloma innymi tytułami.

Po każdym z tych filmów czuł się odrobinę zrozumiany. I w jakiś sposób usprawiedliwiony.

Długo odczuwał potrzebę rozmowy z reżyserami. Albo z którymś z aktorów. Potem zobaczył film dokumentalny o Hitchcocku. Usłyszał zakompleksionego otyłego człowieka, w pewnym sensie sprawiającego wrażenie wystraszonego, którego wypowiedzi głęboko rozczarowywały. Więc temu postarzałem maminsynkowi świat zawdzięczał *Szał?*

O czym miałby rozmawiać z Klausem Kinskim, odtwórcą głównej roli w *Nosferatu*? Z tym popadającym w samouwielbienie megalomanem, który pod koniec życia trwonił twórcze siły na obrażanie i prowokowanie publiczności?

Każdy z tych reżyserów jednak go znał. Bardziej niż ktokolwiek inny na świecie. Żaden z nich nigdy nie stanął naprzeciwko niego, ale swoimi filmami utrafiali w coś istotnego, projektowali jego najbardziej tajemne, skrywane lęki i nadzieje. I przenosili je na ekran.

Był staroświecki, jeśli chodzi o filmy, spośród współczesnych ceniał tylko nieliczne, dokładnie się zastanawiał, które kupić na wideo. Był dumny z prywatnych zbiorów, także z własnej biblioteki. *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego. *Frankenstein* Mary Shelley. *Pachnidło* Patricka Siiskinda. *Felidae* Akifa Pirinęci.

Nie oglądał ich, bo nie miał magnetowidu, ale musiał je kupić. Dzięki temu czuł się, jakby był w domu.

Kiepskimi rzeczami nie zaprzętał sobie głowy. Nienawidził pustki, która pozostawała po obejrzeniu słabych filmów albo po byle jakiej lekturze.

Dobre książki, złe książki. Dobrzy ludzie, źli ludzie. Matce zawdzięczał umiejętność rozróżniania między niebem a pie-

kłem, Bogiem a diabłem. A raczej jej wieloletniej nieobecności. Trudne dzieciństwo nauczyło go wszystkiego. Zło mogło przybierać dowolne formy, i tak rozpoznałby je pod każdą maską.

Niewielu było takich ludzi jak on. Ci nieliczni zostawali artystami. Pisali książki, malowali obrazy, realizowali filmy. A on podziwiał ich z daleka. Z należnym dystansem.

Tacy jak on. A jednak zupełnie inni. Ludzie z wyższych sfer. Nigdy nie ośmieliliby się zanadto do nich zbliżyć.

Może lepiej unikać rozczarowań. Zapewne z jednym lub z drugim skończyłoby się tak jak z Hitchcockiem czy Klausem Kinskim.

Zachowanie dystansu dawało jednak możliwość pozostania blisko nich. Jakkolwiek paradoksalnie to brzmi. Nie miało znaczenia, że coś może zniszczyć obraz tych ludzi, jaki sobie stworzył.

Byli wygnani. Opętani. Tak jak on.

Wszyscy oni znali czerwone sny, z których ciężko się obudzić. Gorączkowe myśli wypalające umysł.

Ślady tego można odnaleźć w ich obrazach, książkach, filmach. Są przerażające.

„To tak jak własne odbicie - myślał często. - Jakby widziało się setki podobizn. Jak w gabinecie luster w wesołym miasteczku. Własna twarz w nieskończonym szeregu, okrutnie znajoma”.

Poczuł głód. Często zapominał o jedzeniu i spostrzegł to dopiero, kiedy zaczynał go boleć żołądek. Spojrzał na zegarek. Prawie dziewięć. Może powinien pójść do tej niewielkiej gospody we wsi. Nie miał ochoty sam przygotowywać posiłku.

Właściwie gotował chętnie i dosyć dobrze (na tyle, na ile dało się coś upichcić na dwóch prymitywnych palnikach). Gdyby miał niezbędną wytrwałość, mógłby zdobyć wykształcenie kucharza. A potem znaleźć pracę na jakimś statku.

Może to by wszystko zmieniło. Odeгнаłoby ten niepokój. Zapewne widok bezkresnej przestrzeni oceanu zdołałby go uspokoić i pozwoliłby stać się lepszym człowiekiem.

W głębi duszy wiedział, że siebie oszukuje. Był, jaki był. Nie mógł przed tym uciec, choćby nie wiadomo jak próbował. Prowadził ze sobą nieustającą walkę. I wciąż przegrywał.

Wyszedł na korytarz i zamknął drzwi. Schodząc na dół, nikogo nie spotkał. Słyszał tylko zwykłe odgłosy dobiegające z pokoi. W większości goście, niemal sami przedstawiciele handlowi i robotnicy przyjeżdżający na montaż, spędzali wieczory przed telewizorem. Wiedli smutne życie, tymczasowe, zawsze w drodze, nigdy w domu. Ich małżeństwa były nietrwałe, a nawet jeśli się nie rozpadły, to dzieci odczuwały nieobecność ojców.

Przy drzwiach wisiała zafoliowana kartka papieru z regulaminem. Za każdym razem złościł go stanowczy ton.

Po godzinie dwudziestej należy zamykać drzwi.

Zabrania się palenia poza pokojem.

Telewizor i radio trzeba nastawiać na głośność pokojową.

I tak dalej, i tak dalej.

Styl pasował do gospodyni, głośnej, krzykliwej czterdziestokilkulatki, na której twarzy życie z alkoholem wyryło przedwczesne zmarszczki. Wciąż czuła się odpowiedzialna, do wszystkiego się wtrącała. Miała wąskie ściągnięte usta, śmiała się rzadko, a jeśli już, to smutno i nerwowo. Ubranie

miała zawsze przesiąknięte nieświeżym potem, dodatkowo roztaczając wokół zapach słodkich perfum.

Zastanawiał się, czy powinien zerwać regulamin, dał jednak spokój. Nie podobał mu się charakter pisma. Miał wrażenie, że dotykając go, zabrudziłby palce.

Na dworze poczuł falę upału. Prawie tak samo gęstego jak powietrze w jego pokoju. Będzie musiał znów zostawić na noc włączony wentylator, chociaż trudno zasnąć przy jego szumie.

Pomyślał, że powinien coś zrobić, zamiast siedzieć w gospodzie albo w swoim pokoju. Może pojechać do Kaim. Albo do Brohl.

Postanowił, że do Brohl. Tam w spokoju zje kolację, trochę poobserwuje spacerowiczów, a potem zrobi pieszo rundkę przez park pałacowy albo wokół jednego z pobliskich jezior.

Podszedł do samochodu i włączył silnik. Choć nieraz wpakowywał się w nie lada tarapaty, nigdy nie zrezygnował z samochodu i niezależności, jaką dzięki niemu zyskiwał.

Opuścił szybę od strony kierowcy, chociaż to zakłócało działanie klimatyzacji. Wiatr targał mu włosy, przywiewając z pół zapach truskawek. Świeży. Aromatyczny. Słodki.

Oddychał głęboko.

Niekiedy mogło się wydawać, że wcale nie tak trudno być szczęśliwym.

Włączył radio. Tina Turner. Dlaczego nie?

Śpiewał razem z nią, wystukując palcami rytm na kierownicy.

You're simply the best...

Nawet zapomnienie nie wydawało się czasem zbyt trudnie.

W sprawie zabójstwa osiemnastoletniej Simone Redleff z Hohenkirchen policja sprawdza ponad czterysta informacji. Wciąż brakuje jednak jakiegokolwiek gorącego tropu. Za udzielenie wskazówek przyczyniających się do schwytania sprawcy wyznaczono nagrodę w wysokości pięciu tysięcy euro.

Komisarz policji Bert Melzig w rozmowie z naszą redakcją nie tracił nadziei, że uda się wyjaśnić to straszne zabójstwo. Jak stwierdził, nie ma zbrodni doskonałej.

Tymczasem okazało się, że istnieje ścisły związek z podobnymi morderstwami w północnych Niemczech (informowaliśmy o tym już wcześniej). Za każdym razem ofiarom obcinano włosy, we wszystkich trzech przypadkach brakuje łańcuszków na szyjach dziewcząt. Według Melziga z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można założyć, że morderca zabierał łańcuszki jako fetysz.

*

Bert Melzig zgniótł gazetę, rzucając ją na stół. — Kupa gówna!

Nalał kolejną filiżankę kawy i wyszedł z nią na taras. Z jękiem opadł na jedno z krzeseł stojących wokół ogrodowego

stolika. Leciwie usiadł, a najchętniej znów by się poderwał. Z trudem opanował emocje. Musiał na siebie uważać. Groził mu zawał. W każdym razie tak twierdził Nathan, jego najlepszy przyjaciel, partner do tenisa i lekarz. Nathan Mędrzec *.

Nie zamęczał go tym tematem od rana do nocy - jedynie od czasu do czasu rzucał uwagę, która natrętnie zagnieźdzała się w umyśle przyjaciela.

- Wszyscy musimy na coś umrzeć - odpowiadał Bert z niezmiennym spokojem.

- To prawda. Jeden wcześniej, drugi później.

Cały Nathan. Zawsze do niego musiało należeć ostatnie słowo.

Bert upił łyk kawy. Zona pojechała z dziećmi do rodziców. Niekiedy odczuwała potrzebę, by wyrwać się na weekend z codziennej rutyny. On natomiast pragnął spokoju i czasu na rozmyślanie. Postanowili więc spędzić ten weekend oddzielnie.

Było tyle spraw, nad którymi musiał się zastanowić. Wykrzywił usta. Miał mnóstwo planów. Wieczorem, gdy tylko Margot z dziećmi wyjechała, otworzył butelkę czerwonego wina. Potem drugą. I tak się skończyło rozmyślanie.

A dzisiaj rano na dodatek ten artykuł w sobotnim wydaniu gazety. Jakby ciężka głowa nie była dostateczną karą.

- Najgorsza plaga naszych czasów - mruczał pod nosem - ta cholerna prasa.

***Aluzja do osiemnastowiecznego dramatu G.E. Lessinga *Natan Mędrzec*, historii tolerancyjnego i uczonego Żyda.**

Mówienie do siebie to fatalny nawyk, ale nie mógł sobie z nim poradzić. Robił to już jako dziecko. Kiedy wypowiadał myśli na głos, stawały się jaśniejsze. Wszyscy, którzy go znali, zwłaszcza koledzy i koleżanki, przyzwyczaili się do tego dziwactwa. Kiedy w ich obecności głośno myślał, nie reagowali. Zostawiali go w spokoju i czekali.

- Naprawdę traktuję tych przemądrzalców z prasy przyzwoicie i fair. Dostarczam im regularnie informacji, oczekując w zamian poprawnych doniesień. Czy to wygórowane wymagania?

Nawet gdyby był kompletnie pijany, nie przyznałby, że nie istnieje zbrodnia doskonała. Oczywiście, że istnieje. Od pradawnych czasów. Niezliczone morderstwa, gwałty i porwania nigdy nie zostały wyjaśnione.

Nie zdradził też prasie, że nie ma jeszcze konkretnego tropu. Były to czyste domysły (zazwyczaj, niestety, się potwierdzały).

Wciąż przypisywali mu słowa, których nigdy nie powiedział. Choć wiedział, że w dobie dziennikarstwa sensacyjnego odpowiedzialne i poprzedzone dokładnymi badaniami publikacje należały do rzadkości, czuł rozgoryczenie za każdym razem, gdy miał do czynienia z artykułem, który mijał się z prawdą.

Uwaga o braku konkretnego tropu będzie nową pożywką dla głupich, szeroko rozpowszechnionych uprzedzeń. W oczach opinii publicznej policja po raz kolejny wyjdzie na bandę nieudaczników i durniów.

- Jediną korzyścią z tego jest fakt, że sprawca nadal będzie czuł się pewnie — mamrotał Bert. — I dlatego może popełnić błąd.

Informacja o zaginionych łańcuszkach i obciętych włosach to jednak katastrofa. Może bowiem zachęcać różnych cwaniaków i rozmywać każdy poważny trop.

Zadzwoiła komórka. Bert przywykł do tego, że musi być stale osiągalny, dlatego nawet w domu nie przychodziło mu na myśl, by wyłączać telefon.

Na wyświetlaczu widniał numer szefa. Jeszcze i to.

- Melzig - powiedział.

Choć słyszał, że jego głos zabrzmiał szorstko i nieprzyjaźnie, nie miał ochoty udawać dobrego humoru. Przynajmniej w sobotni poranek chciałby mieć odrobinę prywatności.

- Komisarzu, niech mi pan powie, co ja czytam w gazecie?

Bert nie znosił, gdy dzwoniący nie przedstawiali się, przechodząc od razu do sedna rozmowy i licząc na to, że ich głos zostanie rozpoznany. Przez chwilę próbował udawać, iż nie rozpoznaje rozmówcy, lecz spasował. Zrezygnował też z odpowiedzi, która sama cisnęła mu się na język: „Skoro nie wie pan, co czyta, to kto niby ma wiedzieć?”.

- Nie mam pojęcia, jak się o tym dowiedzieli - wyjaśnił w zamian.

- Ktoś musiał przecież...

- Nikt z moich ludzi, szefie. Dałbym sobie za nich uciąć rękę.

- Tak myślałem. Musi się pan koniecznie dowiedzieć, kto to podsunął prasie.

Rozmówca wydawał się już bardziej ugodowy. Słyszał z wybuchowości, ale też szybko dawał się sprowadzić na ziemię.

- To mógł być któryś z kolegów z północnych Niemiec - powiedział Bert. - Albo ktoś z bliskich ofiary, z rodziny Redleffów. Wie pan, jak dziennikarze ich oblegali.

Wyczuwał, że szef kiwnął głową. Niemal widział, jak jego podwójny podbródek wysuwa się zza ciasnego kołnierzyka koszuli i drży przy każdym ruchu. Jeśli wczesnym rankiem w sobotę szef miał na sobie koszulę. Nie wszystko wiedzieli o sobie, i całe szczęście.

- Co poza tym, Melzig?

To pytanie zawsze nawiązywało do dnia powszedniego.

- Wszystko świetnie, szefie. Nie mogę narzekać. Odpowiedź, tak jak pytanie, zawsze była taka sama. „Jak my się wobec siebie zachowujemy? - pomyślał Bert.

- Jakbyśmy myśleli i mówili według gotowych schematów. A gdybym kiedyś poczuł się naprawdę parszywie? Powiedziałbym mu o tym? Czy nadał wszystko byłoby świetnie i wciąż nie mógłbym narzekać?".

- W takim razie do poniedziałku, Melzig. I niech pan się weźmie porządnie do roboty.

„No pięknie" - pomyślał Bert po zakończonej rozmowie. Jakby to było takie proste.

W poniedziałek zapyta Redleffów, co powiedzieli prasie. I będzie musiał się dowiedzieć, skąd prasa miała informację, że także przy pozostałych zabójstwach znikły łańcuszki.

Czyżby koledzy z północnych Niemiec okazali się zbyt rozmowni? Komisarz w to nie wierzył. Choć wciąż zdarzały się przecieki.

Wiatr był dzisiaj dosyć rzeński. Marznąc, Bert skulił ramiona i skrzyżował ręce na piersi. Gdzieś tam na zewnątrz był mężczyzna, którego musiał unieszkodliwić.

Ta myśl go nie uskrzydlała, raczej przygnębiała.

Gdy Caro się obudziła, zobaczyła, że nie leży już obok niej. Musiał wyjść w środku nocy. Cicho jak cień. Niezauważalnie.

Nie chciał spotkać Jette i Merle, mówił to kilkakrotnie. Jeszcze nie. Tak samo z jej rodziną. Chociaż dziewczynie akurat nigdy nie przyszłoby do głowy, by przedstawiać go rodzicom.

Co innego Jette i Merle. Były nie tylko przyjaciółkami. Ale kimś znacznie, znacznie więcej. Caro nikomu nie ufała. Już od lat. W ich stronę z wahaniem zrobiła pierwszy krok.

Nie żeby coś miał przeciwko dziewczynom. Nie chodziło o żadną osobistą historię. Nie chciał poznać ani ich, ani nikogo z życia Caro.

„Jeszcze nie - oznajmił. - Później. Kiedyś”.

Z ciężkim sercem, jednak to zaakceptowała, nie chcąc go stracić.

Już podczas pierwszej wizyty w mieszkaniu Caro zwróciła uwagę na jego dziwne zachowanie. Zapewniała, że będą sami. Mimo to, kiedy weszli do przedpokoju, ostrożnie się rozejrzał.

„Jak zwierzę przed skokiem - pomyślała. - Może pantera. Albo lampart. Dziki, wolny i piękny”.

Znali się dopiero od niedawna i spotykali o wiele za rzadko. Miał mało czasu. Jednak za każdym razem czuła, jakby raził ją piorun.

Nigdy przedtem na sam widok mężczyzny Caro nie ugięły się kolana. Myślała, że coś takiego zdarza się tylko w powieściach. Był głodny życia. Nieokiełznany. Niewyglądony przez lata. Zdradzał to wyraz jego oczu.

Jego wolność udzielała się także Caro, gdy byli razem. Czy nie taka jest rola miłości? Zmieniać człowieka? Pokazywać mu inne wymiary?

Obróciła się na bok, rozglądając się dookoła. Pokój widziany z łóżka sprawiał wrażenie większego. Może tylko dlatego, że wydała się sobie taka samotna.

„Powinien się przynajmniej pożegnać - myślała. - Pocałunek, dotyk. Nie potrzeba więcej. Ale tak po prostu uciec?”

Za każdym razem znikał w ten sposób. Hokus-pokus.

Rzeczywiście bardzo przypominał Davida Copperfielda. Tyle że był silniejszy, a jego sylwetka zdradzała, że przywykł do ciężkiej pracy. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak bliźniaczy brat magika.

Mniej łagodna wersja.

Caro nie pociągali łagodni mężczyźni. Lubiła wprawdzie z nimi przebywać, pójść do kina albo potańczyć, a potem na pizzę i przegadać całą noc. Lecz w głębi duszy pozostawała dziwnie chłodna.

Wciąż sobie powtarzała, że ten typ facetów byłby dla niej lepszy. Otwarci, uczciwi, godni zaufania, serdeczni, wierni.

Ale też nudni. To przede wszystkim.

Raz spróbowała. Chłopak miał na imię Marvin, przyjechał z USA w ramach szkolnej wymiany. Miał łagodne brązowe oczy, które zawsze wyrażały zdziwienie. Przez jakiś czas układało się między nimi dobrze, ale potem, gdy się całowali, zaczęła sobie wyobrażać innego.

Nigdy nie zapomni, jak był zraniony, gdy się z nim rozstała. Przestał jeść, nie mógł spać i schudł tak bardzo, że ubrania wisiały na nim jak na strachu na wróble. Potem wrócił do USA i było tak, jakby nigdy się nie spotkali, najwyżej we śnie.

Caro wstała. Nastawiła radio, ale natychmiast je wyłączyła, słysząc głos prowadzącego. Tak olbrzymia dawka dobrego humoru i radosnej gadaniny z samego rana była nie do zniesienia.

Poczłapała do kuchni, gdzie Jette i Merle jak zwykle zostawiły bałagan po śniadaniu. Z westchnieniem zabrała się do sprzątanía. Może się z tego ucieszą.

Każdy dźwięk odbijał się w głowie echem, pozostawiając przenikliwy, ostry ból. Po co piła, skoro nie toleruje alkoholu? Na dodatek tanie czerwone wino, od którego zawsze robi jej się niedobrze. To był jedyny trunek, jaki znalazła w spiżarni.

On z początku nie miał ochoty i pił wyłącznie ze względu na nią. Na niego alkohol nie działał tak silnie jak na Caro. Mówiła i mówiła. I chichotała. Aż zamknął jej usta.

Dużą i szeroką dłonią. Pod którą zniknęła cała jej twarz. Poczowała chłód i odsunęła jego rękę.

Wtedy się roześmiał.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, przytuliła się i, pełna ufności, znów czuła się kochana.

W jednej sekundzie potrafił zmienić nastrój w pomieszczeniu. I w człowieku. Bo naprawdę był czarownikiem. Abrakadabra.

Caro uśmiechnęła się, wkładając brudne naczynia do zmywarki. Może wreszcie odnalazła spokojną przystań. O ile uda jej się przy nim zostać.

Spojrzała na zegarek. Jeśli się pośpieszy, zdąży na trzecią lekcję.

- Nie byłoby źle - powiedziała do siebie i zaczęła pogwizdywać. Co racja, to racja. Przecież nauczyciele powoli zaczęli tracić do niej cierpliwość.

Prostując się pod prysznicem, podstawiała twarz pod strumień wody. Na razie jeszcze za wcześnie, by w to uwierzyć. Ale wygląda na to, że rzeczywiście i prawdziwie się zakochała.

- Zakochana — szeptała — zakochana, zaręczona, zamężna.

Odwiesił słuchawkę i pchnąwszy drzwi budki telefonicznej, zdecydowanym krokiem wyszedł na cichy, wypłowiwały płac, jakby zastygły w świetle słońca. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła i czuł się tak, jakby od lat nie robił nic innego. Jakby jego życie składało się z tego jednego jedyne mechanicznego gestu.

Budka telefoniczna zgromadziła w sobie chyba żar całego lata i wyziewy niezliczonych ludzi. W trakcie rozmowy przytrzymał stopą otwarte drzwi, ale przy bezwietrznej pogodzie niewiele to dało. Nie czuło się najmniejszego powiewu.

— Georg — zapytała matka — gdzie jesteś? Proszę cię, chłopcze, powiedz mi, gdzie mogę cię zastać.

Słyszał drzenie w jej głosie, które jak zwykle zapowiadało łzy, i szybko odłożył słuchawkę. Działała mu na nerwy tym biadoleniem. Nie chciał, by ktokolwiek go odnalazł, a co dopiero ona.

Georg. Była jedną z niewielu osób, które jeszcze tak go nazywały. Chętnie zapomniałby o tym imieniu, tak samo jak najchętniej zapomniałby o całym swoim dzieciństwie. Lecz od czasu do czasu te obrazy do niego wracały. Uwolnienie się od przeszłości to sztuka, której nie opanował.

Musi przestać do niej dzwonić. Nawet nie rozumiał, dlaczego w ogóle to robi. Z poczucia winy? Z przyzwyczajenia?

Ukrywanie się okazało się prostsze, niż myślał. Trzeba jedynie zważać na to, żeby nie przebywać zbyt długo w jednym miejscu. I nie zostawiać po sobie śladów. Dziecinnie proste.

Nie powinien był telefonować. Matka na pewno poruszy niebo i ziemię, by go znaleźć. Jakże łatwo może się zdarzyć, że w rozmowie niechcący zdradzi jakiś szczegół. A kilka godzin później ona już może tu być.

- Poczucie winy? Śmieszne! — Przywykł, że rozmawia ze sobą, zadaje sobie pytania i na nie odpowiada. Pytań było coraz mniej. Życie tutaj okazało się takie proste.

Pobudka. Praca. Spanie. A pomiędzy tym wszystkim upływał dzień.

Uwielbiał przebywać na polach, obserwować zmieniające się światło, czuć na twarzy wiatr, słońce i deszcz, a pod skórą mięśnie. Praca dobrze wpływała na jego ciało. Poznawał to po spojrzeniach kobiet, po ich pragnieniu, by zawrzeć z nim znajomość. Oczywiście poznawał to też po niezaspokojonym apetycie, jaki na nie miał.

- Hej, Gorge!

Odwrócił się w kierunku głosu. Tylko jeden człowiek tak go nazywał. I właśnie się zbliżał. Pociągał nogą, przed laty zmiażdżoną w wypadku, jego dzinsy były sztywne od brudu, a tłuste kosmyki włosów opadały na twarz.

- Cholerny upał - wydusił Maile i założył opadające włosy za ucho.

Nikt nie znał prawdziwego imienia Mallego, może nawet on sam zdążył je zapomnieć. Na nazwisko miał Klestof i mówił po niemiecku z trudnym do określenia, niewyraźnym akcentem. Ale nikomu nie zdradził, skąd pochodzi.

Szli razem na obiad. Kiedy weszli do stołówki, uderzyła ich fala hałasu, jaki robili pozostali. Maile pozdrawiał ich na lewo i prawo, facet o dziwnie dwoistej naturze, w zasadzie dobroduszny i skory do pomocy, chyba że sobie wypił. Po kilku głębszych stawał się kłótniwy i lubił komuś przyłożyć.

W takich chwilach Maile bywał nieobliczalny. Pod wpływem alkoholu albo w nadzwyczaj trudnych sytuacjach całkowicie tracił panowanie nad sobą. Sprzeczne uczucia targały nim jak źdźbłem trawy na wietrze, w mgnieniu oka zmieniał nastrój. Przez to nie cieszył się sympatią innych, a przecież bardzo mu zależało, by wszyscy go lubili.

Serwowano sznycle z indyka z ziemniakami oraz groszek z marchewką. Odebrali porcje i szukali stolika. Najlepiej, by nikt się do nich nie przysiadł, jeśli dałoby się tego uniknąć. Georgowi to odpowiadało.

Mrożone warzywa. Mięso za twarde i tak suche, że bez picia nie dałoby się przełknąć. Ziemniaki rozgotowane i wodniste. Na deser bladożółty budyń z sosem truskawkowym.

Pieniądze na posiłki potrącano bezpośrednio z tygodniowej wypłaty. Na robotnikach sezonowych nie można polegać. Znikali równie niespodziewanie, jak się pojawiali, czasem nawet w środku nocy. Georg widział takich, którzy ulatniali się bez pobrania wypłaty.

- Nędzne żarcie dla świń - kłął Maile. - To już ja lepiej gotuję. - Odsunął talerz i sięgnął po salaterkę z budyniem.

Georga cieszyło, że potrafi przystosować się niemal do każdej sytuacji, pogodzić się prawie ze wszystkim. Wiedział, że musi jeść, aby wytrzymać ciężką fizyczną pracę, dlatego

jadł. Tutaj zajmowało to mniej czasu niż w jakimś lokalu, gdzie zapewne dania bardziej by mu smakowały, a i byłoby taniej. Poza tym szybko wracał do pracy. Godzina przerwy na obiad wystarczała, by się zregenerować.

Innym nie. Większość narzekała na warunki. Chłop, do którego należały wszystkie pola truskawkowe w okolicy, nie bez powodu stał się najbogatszym człowiekiem w tej miejscowości. Płacił głodowe stawki, umieszczał robotników w maleńkich ponurych pokoikach, a wygórowane opłaty za nie oczywiście zatrzymywał dla siebie.

Jego żona zaliczała się do kobiet, z którymi Georg unikał jakiegokolwiek kontaktu. Mocny makijaż, ordynarnie wystrojona, przedwczesne zmarszczki na twarzy. Gdy ktoś ją mijał, nie odpowiadała na powitanie. Georg jeszcze nie widział, żeby się śmiała.

Dostrzegał jednak, jak na niego patrzyła. Szybko odwracał wzrok. Tylko brakowało, by się w nim zadurzyła! Zęby zaczęła się za nim uganiać! Nie potrzeba mu takich komplikacji.

Maile zjadł budyń. Wylizywał salaterkę. Georg podsunął mu swoją.

- Serio? Nie chcesz? - Obdarowany kolega jeszcze nie dokończył pytania, a już przysunął do siebie miskę, zanurzając w niej łyżeczkę.

- Jedz - zachęcał Georg. - Nie mam dziś apetytu.

Zje parę truskawek. Najważniejsze, żeby zapewnić Mallemu dobry nastrój, stworzyć pozory, że są przyjaciółmi. To może mu się kiedyś przydać. Dłużnik nie może odmówić pomocy.

Taka taktyka zawsze się sprawdzała. Już kilka razy uratowała mu skórę.

„Świnia jesteś - myślał Georg, uśmiechając się do siebie. - Tak. Świnia”.

Zrobiłyśmy z Merle zakupy. Chciałyśmy coś razem ugotować. Właściwie Caro też miała się przyłączyć, ale potem zadzwoniła z informacją, że jej nie będzie.

- Naprawdę nie podała żadnego powodu? - zapytała Merle.

- Żadnego - odpowiedziałam.

- Nie rozumiem, dlaczego robi taką tajemnicę z tego swojego nowego chłopaka - stwierdziła, wycinając zielone środki z pomidorków koktajlowych, taka praca wymagała zręcznych palców. - Zwykle nie zachowuje się tak... dziwnie.

- Dziwnie? Dlaczego tak uważasz?

- Mogłybyśmy go jej odbić.

- Bzdura! Po pierwsze Caro wie, że może na nas polegać, a po drugie ma zupełnie inny gust, jeśli chodzi o facetów.

- Niekoniecznie. - Merle włożyła do ust połówkę pomidorka. - W Gilu jak nic mogłabym się zakochać.

Spojrzałam na nią z uśmiechem.

- No tak. - Merle odpowiedziała uśmiechem. - Byłby to jakiś postęp, no nie?

- I to jaki! - Gil był za miękki dla Caro. A tym bardziej dla Merle. Bardzo go lubiłam. Jak brata, którego zawsze

chciałam mieć. Z przykrością myślałam o nim w czasie przeszłym.

Woda się już zagotowała. Zbyt gwałtownie rozerwałam opakowanie makaronu i spaghetti rozsypało się na blat w kuchni, wyglądając jak drewniane patyczki w grze w bierki. Zebrałam je.

- W każdym razie był wyjątkowy - powiedziałam. - Czego nie można powiedzieć o większości facetów, którzy się tu pojawiają.

Merle rozrabiała sos winegret. Wydawała się całkowicie zatopiona w myślach. Potem obróciła się do mnie bokiem.

- To morderstwo kilka tygodni temu... kompletnie mnie wykańcza, zupełnie nie mogę się po nim pozbierać. W końcu znałam tę dziewczynę. Niezbyt dobrze, ale parę razy ją spotkałam. W dyskotecie i czasem w pizzerii. Zawsze tak się uśmiechała. I... zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, że teraz nie żyje.

Ciągle do tego wracała. Ta sprawa chyba naprawdę jej ciążyła. Makaron właśnie się ugotował i należało go teraz odcedzić. Wydawało mi się bezduszne rozmawiać o zamordowanej dziewczynie, a przy tym dalej zajmować się gotowaniem.

- Sałata gotowa? - Takie jest życie. Jeden umiera, drugi cieszy się na myśl o dobrym jedzeniu, a wszyscy staramy się pokryć takie sprzeczności cynizmem.

Kilka minut później siedziałyśmy naprzeciwko siebie przy stole.

- Wyobraź sobie - kontynuowała Merle — że komuś ufasz, a on cię zabija.

Na razie ustalono tylko tyle: dziewczyna była na dyskotecie. Wzięła samochód ojca. Policja zakłada, że sama zaprosi-

ła mordercę do auta. Może spotkała go po raz pierwszy tego wieczoru, a może знаła od dłuższego czasu albo zabrała go jako autostopowicza.

- Potworne. - Dłubałam widelcem w makaronie. Przeszedł mi apetyt.

- O czym się myśli w ostatnich chwilach, tuż przed śmiercią? — Merle malowała sosem pomidorowym wzorek na brzegu talerza. Zębki widelca służyły jej za pędzel. - Gdy człowiek ma pewność, że umrze?

- Przy wypadku samochodowym - przypominałam sobie - w ciągu kilku minut czy nawet sekund całe życie wyświetla się w głowie jak film. Może przy morderstwach jest podobnie?

Merle potrząsnęła głową.

- Myślę, że człowiek odczuwa tylko strach. Straszliwy, okropny lęk. Broni się rękami i nogami, aż nagle czuje, że nie starczy mu sił. Może zaczyna się modlić.

- Modlić?

- Skoro nie może zrobić nic więcej.

- Przestań, proszę. Nie chcę sobie tego tak dokładnie wyobrazić.

- Wolisz schować głowę w piasek.

- Nie. Ale nie chcę co wieczór widzieć przed oczami tej martwej dziewczyny.

- Okej. - Do końca posiłku Merle konsekwentnie milczała.

- Zauważyłaś, że Caro znowu się okalecza? - zapytałam, kiedy na zakończenie piłyśmy espresso.

Merle skinęła głową.

- Pewnie ma to coś wspólnego z jej nowym facetem.

- Może powinniśmy go wysledzić, skoro nam go nie przedstawia? - zaproponowałam.

- Ukryć się w ciemnym kącie nocą i mieć nadzieję, że będzie musiał wyjść do kibelka? — Merle uśmiechnęła się kpiąco. - Wielkie dzięki. Wolę poczekać na jej inicjatywę.

Jak na zawołanie usłyszałyśmy dźwięk otwieranego zamka w drzwiach mieszkania. Do kuchni weszła Caro i opadła na krzesło. Rzuciła okiem na nasze puste talerze.

- Zostało coś jeszcze? - zwróciła się do nas. - Jestem niesamowicie głodna.

Uśmiechała się pogodnie. Wyglądała na szczęśliwą. Tak szczęśliwą jak nigdy dotychczas. Jakby przez noc stała się innym człowiekiem. I była głodna!

Pewnie niesprawiedliwie oceniłyśmy jej ukochanego. Może troszczył się o nią.

Ukochany. Cudowne słowo.

- Pewnie, że zostało - powiedziałam. Merle już wstała, by przynieść talerz z szafki.

Dlaczego Caro nie miałyby raz w życiu doświadczyć szczęścia?

*

Koledzy z północnych Niemiec okazali się uprzejmi i uczynni. Umożliwili Bertowi wgląd w śledztwo, w materiały i towarzyszyli w drodze na miejsca zbrodni. Zrobili kserokopie ekspertyz, wyjaśniając, co dotychczas udało im się ustalić, udzielali też chętnie informacji na inne tematy.

Do zbrodni doszło dwanaście i czternaście miesięcy temu. Rzadko kto jeszcze o nich mówił. Prasa dawno przestała się nimi interesować.

Wszelkie tropy w śledztwie zostały już sprawdzone - bez konkretnego wyniku. To prawdziwa porażka dla każdego szanującego się funkcjonariusza policji kryminalnej.

„Dwa zabójstwa w tak krótkim czasie - zastanawiał się Bert w drodze powrotnej do domu - a następne dopiero rok później... Czy to pasuje do wizerunku seryjnego mordercy?“. Na pytanie odpowiedział twierdząco. By doszło do zbrodni, musi wystąpić kilka czynników: motywacja, ofiara, odpowiednie miejsce i okazja. Gdy brakuje któregoś, nic się nie wydarzy.

Niewykluczone, że mieli do czynienia ze sprawcą o wysokim ilorazie inteligencji. Przestępcą nie tylko zręcznie zacierającym ślady, lecz także świadomie działającym wbrew statystyce. Bo zazwyczaj odstępy między kolejnymi seryjnymi zabójstwami stawały się raczej krótsze niż dłuższe.

Ofiary w obu przypadkach to dziewczyny, w wieku siedemnastu i dwudziestu lat. Obie z długimi blond włosami. Obu je obcięto. Obie nosiły łańcuszki, których przy nich nie znaleziono.

Obie zostały zadźgane nożem. Obie siedmioma ciosami.

„Mój Boże - z przerażeniem myślał Melzig - jak w podobnej sytuacji można być tak opanowanym? A jeśli zabójca nie działał pod wpływem silnych emocji? Czy to możliwe, że mężczyzna gwałcił i zabijał, postępując według ściśle zaplanowanego rytuału?“.

Przy każdej prowadzonej sprawie Bertowi towarzyszyły różne odczucia. Utrwały się na samym początku. Ten morderca napawał go strachem. W przypadku obecnej zbrodni pojawiło się bowiem coś szczególnego, czego komisarz jeszcze nigdy nie doświadczył.

Zdjęcia z miejsca zabójstwa przedstawiały obie ofiary z takim samym wyrazem twarzy jak u Simone Redleff. W szeroko otwartych oczach malowało się bezradne zdziwienie.

Jedną z dziewczyn to Marcella, druga Nicole. Bert zawsze pilnował, żeby ofiary miały imiona. By zawsze podawać taką informację, także w artykułach prasowych. To pozbawiało ofiary anonimowości. I ucłowieczało.

Mogły być córkami, siostrami, wnuczkami, bratanicami czy przyjaciółkami każdego z czytelników.

Co innego sprawca. On nie miał profilu. To tylko i wyłącznie groźny cień, niebezpieczeństwo mogące się czaić tuż za rogiem.

Kradzież łańcuszków. Siedem ciosów nożem. Obcięte włosy. Bert badał dawne sprawy. I nie znalazł wzorca. Także koledzy z północnych Niemiec prowadzili podobne badania. Bez skutku.

Każde zabójstwo przerażało. Morderstwa seryjne to jednak coś więcej. Bert nigdy dotąd nie prowadził dochodzenia w sprawie kilku podobnych zbrodni. Ale studiował przypadki tego rodzaju, mając jednocześnie nadzieję, że nie będzie musiał ich badać.

Wiele przestępstw potrafił... jeśli nie zaakceptować, to przynajmniej w jakiś sposób zrozumieć. Prowadził dochodzenia w sprawach zbrodni powodowanych namiętnością albo chciwością, wyjaśniał morderstwa z zemsty albo ze strachu przed wykryciem innego czynu karalnego. Miał nawet do czynienia z zabójstwami na tle seksualnym.

Zabójca seryjny wydawał mu się całkiem nierealny. Nie potrafił się w niego wczuć. A właśnie na tym polega zada-

nie komisarza w nadchodzących tygodniach. Musi zmienić punkt widzenia. Znaleźć wzorzec i wcielić się w sprawcę. Czuć i myśleć jak on. I w ten sposób go dopaść.

„Jaki bojowy stał się mój język” - zauważył. Rozmyślając nad tym, pojął, że ta sprawa go zmieni.

Pojechał na najbliższy parking i wysiadł z samochodu. Przejdzie się tylko kilka kroków, to mu dobrze zrobi. Za parkingiem rozciągał się las. Wsunąwszy ręce do kieszeni marynarki, zanurzył się w jego cień.

Zapach zbutwiałego listowia i pobliskiego gospodarstwa wywołał w nim przyływ wspomnień. Bert spędził dzieciństwo na północy. Surowe, pozbawione radości, pełne mroku i gniewu.

Nie chciał tam wracać.

Dopiero teraz spostrzegł, że odkąd tu się zatrzymał, nie opuszcza go napięcie. Zacisnął pięści. Od siąpiącej mżawki miał już mokre włosy.

Lecz twarz nie zwilgotniała od deszczu. To były łzy.

Szybko je wytarł i pośpiesznym krokiem ruszył do samochodu.

Ten przypadek już zaczął go zmieniać.

Nienawidził lawirować między roślinami w deszczu. Chociaż miał na sobie odzież ochronną, materiał w dotyku był wilgotny. Dzięki słomie wyłożonej pomiędzy rzędami truskawek buty wprawdzie nie przyklejały się do mokrej, ciężkiej ziemi, ale ręce całe lepiły się od błota.

Inni czuli się chyba podobnie. Nastrój panował kiepski. Nikt się nie śmiał ani nie żartował. Wykonywali pracę

powoli i w skupieniu, z nadzieją, że nikt nie zakłóci im spokoju.

Podczas deszczu owoce traciły zapach. Nawet ich kolor stawał się bledszy. „Truskawki zapewne były ulubionymi owocami boga słońca w starożytnej Grecji” — myślał Georg.

Te owoce czy inne, było mu obojętne, w jaki sposób zarabia pieniądze. Najważniejsze, aby nie tkwić przy biurku. Zaliczał się do ludzi kochających ruch. Inni siadali, by porozmyślać. On mógł się zastanawiać nad czymkolwiek wyłącznie w ruchu. Wiatr na polach przewietrzył mu głowę.

„Przy pracy trzeba się napocić”. Zasada dziadka wryła się Georgowi w pamięć. Takimi zdaniem stary objaśniał świat sobie i innym, poza tym niewiele z siebie dając. Nigdy przedtem i nigdy potem chłopak nie poznał tak małomównego człowieka.

Dziadek wolał opowiadać za pomocą rąk. I pasa. Jeśli nie miał go pod ręką, przydawała się też laska, warząchew, wieszak na ubrania albo ciężki łańcuch z warsztatu.

Za każdym razem postanawiał nie uronić ani jednej łzy. I za każdym razem wybuchał bezsilnym płaczem. To zdawało się jeszcze potęgować wściekłość starego.

Gorsze niż ból było upokorzenie. Do dziś czuł jego posmak na języku.

Babcia nie ingerowała. Godziła się na wszystko, co robił jej mąż, bo dla niej był człowiekiem prawym i dobrym. A te przymioty — tego nauczył ją Kościół - często szły w parze z bezwzględnością i surowością.

Georg zazwyczaj posłusznie włókł się za dziadkiem do stodoły, by ponieść karę. Stała za domem, więc na drodze nie było słyhać, co się działo w środku.

Często się zastanawiał, czy babcia naprawdę o tym nie wiedziała. Próbował to odczytać w jej oczach, ale kobieta zaliczała się do gatunku nieprzystępnych. Zawsze się kontrolowała.

„Przy pracy trzeba się napocić. Porządek duszą wszystkiego. Co możesz zrobić dziś, tego nie odkładaj na jutro. Świat odplaca niewdzięcznością. Czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał”.

Powiedzonkami dziadka można by wypełnić leksykon. Nie wypowiadał ich bezrefleksyjnie - oczekiwał, że dla wnuka będą one życiowymi drogowskazami. Jeśli dziecko miało inne zdanie, surowy wychowawca zdejmował pas.

„Niedaleko pada jabłko od jabłoni”.

To bolało.

— A masz! Bardzo bolało.

— Już ja ci pokażę, raz na zawsze! Rzemień palił skórę.

— Nie będziesz nam przynosił wstydu! Nie myśl sobie!

Potem Georg leżał w ponurym, pełnym kurzu świetle stodoły. Pies Leo, który bojaźliwie kulił się w kącie, podchodził niepewnie, kładł się obok i lizał go po twarzy. Mogli tak leżeć godzinami. Nikogo to nie obchodziło. Nikt nie przychodził zobaczyć, co się z nimi dzieje.

Leo także zbierał razy i kopniaki. Obaj wiedli pieskie życie.

*

Caro przeglądała się w lustrze w łazience. Wszyscy mówili, że jest za chuda, ona jednak ciągle miała wrażenie, że dźwi-

ga zbyt ciężkie niezgrabne ciało. Lustro ukazywało je do talii. Widziała rany na rękach i blizny po dawnych cięciach.

Łzy napłynęły jej do oczu. Jak bezradna się czuła bez niego. Bezbronna wobec wszystkiego, a szczególnie wobec siebie.

- Będę cię karmił - powiedział. - Aż zrobisz się okrągła i miła w dotyku.

Ale i tak lubił Caro dotykać. Miał duże i silne dłonie. Tuląc się do niego, czuła się bezpieczna, otoczona opieką.

- Jesteś jak dziecko - szeptał jej do ucha.

Jak dziecko. A właśnie dzieckiem nie chciała być.

Tym razem wszystko układało się jak należy. Była jak młody zwierzak. Jej uroda, widoczna tylko dla niego, skrywała się pod kanciastą, nieforemną powłoką. Odkrywał ją stopniowo, bez pośpiechu.

W oczach dziewczyny nie znajdował żadnych odpowiedzi. Chociaż kryły tyle pytań. Pragnął na nie odpowiedzieć. Kiedyś. Dla tej dziewczyny zrobiłby wszystko.

Niepostrzeżenie zaczął zawierać pokój ze sobą i ze światem. To trudny i długotrwały proces, który z pewnością zajmie mu pół życia. Jednak wszystko jest możliwe. Dopóki ona go wspiera.

Niewinność. Caro była tylko jej innym określeniem.

*

Zbieracze truskawek znów zaczynali pracę. Chłop postawił właśnie na skraju pola trzecią przyczepę. Dwie pierwsze były załadowane. Jedna z dziewczyn, niewiele starsza ode mnie,

niosła przed sobą pełną skrzynkę. Mimo ciężaru, jaki dźwigała, szła z taką lekkością, że chód przypominał taniec.

Żaden z mężczyzn za nią nie patrzył. Musieliby przy tym wykręcać szyje. Piękna dziewczyna, nawet w roboczym ubraniu, niekształtnych ogrodniczkach i wyciągniętym T-shircie pod spodem. Chustka na głowie chroniła włosy przed słońcem. Wymykało się spod niej kilka blond kosmyków.

Uchwyciłam to wszystko jednym spojrzeniem, przejechałam obok i skręciłam w drogę prowadzącą do domu mojej mamy.

Młyn stał samotnie w popołudniowym upale. Wyglądał, jakby otaczała go migotliwa aura. Niedawno czytałam, że w starych plebaniach i młynach straszy znacznie częściej niż gdzie indziej. To spotęgowało moje wrażenie, że na tym budynku ciąży historia, której mimo skrzętnych badań mamy jeszcze długo nie poznamy.

Stał już tam samochód mojej babci, czerwony charade, i widać było, że właścicielka pośpiesznie go opuściła. Babcia uwielbiała prowadzić, ale od precyzyjnego parkowania, a zwłaszcza wjeżdżania tyłem, uchylała się, jak tylko mogła.

Zatrzymałam auto obok; powitały mnie koty Edgar i Molly, mrużąc i ocierając się o moje nogi. Odprowadziły mnie do przyjemnie chłodnego domu.

Babcia siedziała na tarasie, w cieniu zielonego parasola, przez co jej twarz wydawała się bledsza. Choć miała już siedemdziesiąt pięć lat, większość ludzi dawała jej najwyżej sześćdziesiąt.

Podstawiła policzek. Pocałowałam ją, czując pod wargami miękką skórę.

- Siadaj i opowiadaj, jak ci się wiedzie - zażądała, patrząc mi uważnie w twarz.

Nic nie da się przed nią ukryć, więc nawet nie próbowałam.

- Pomijając fakt, że moje świadectwo nie da powodów do dumy, to całkiem dobrze.

Babcia niecierpliwie machnęła ręką.

- Nie interesują mnie oceny, tylko twoje życie, powinnaś to już wiedzieć.

Zrezygnowałam z tłumaczenia, że dla uczennicy wyniki szkolne stanowią olbrzymią część życia, zastanawiając się, o czym mogłabym jej opowiedzieć.

- Co słyhać u twoich współlokatorek? - zagadnęła.

Babcia poznała dziewczyny na naszej parapetówce i natychmiast wzięła je pod swoje skrzydła. Caro namówiła na dwa kawałki maślanego ciasta własnej roboty, a Merle, stale zmęczonej z powodu pracy w pizzerii, zaleciła więcej snu.

- Kapitalna kobieta - uznała potem Merle, a Caro pytała, czy może się ubiegać o status drugiej wnuczki.

- Pozdrawiają cię — rzuciłam.

- Czy Caro nadal się okalecza? - dopytywała, mrużąc oczy. Czasem przypominała czatującego krokodyla.

- Zauważyłaś to? - Byłam naprawdę zaskoczona. Babcia uniosła brwi.

- Wprawdzie jestem stara, moje dziecko, ale nie stetryczała. Potrafię dodać dwa do dwóch. No więc?

Kiwnęłam głową.

- Ostatnio się zakochała i sprawia wrażenie naprawdę szczęśliwej. Teraz coś ją znów wytrąciło z równowagi. Ale nie mówi o tym, a w każdym razie nie nam.

- Dzielna dziewczyna — uznała babcia. - Niestety, rzadko zdarzają się tacy ludzie.

Mama wyszła z tacą z domu. Podstawiła mi policzek do pocałowania i nakryła stół.

- Jak tam postępy w pracy nad książką? — zapytałam. -Jeden rozdział, odkąd byłeś tu ostatnim razem. —

Uśmiechnęła się zadowolona. — Nieźle, biorąc pod uwagę, że cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie. Przez dom ciągle przewijali się rzemieślnicy. Popsuł się bojler w kuchni, trzeba było naprawić rynnę, pompa w cysternie odmówiła posłuszeństwa i jeszcze ogrodnik wyciął chory klon.

- Dobry ogrodnik ratuje słabe drzewa - wtrąciła babcia z dezaprobatą.
- Nie zabija ich.

- Tego nie dało się uratować - wyjaśniła mama. Miała skromną czarną lnianą sukienkę, a na nią narzuconą bluzkę w kolorze koniaku. Do tego wisiołek wielkości dłoni, którego jeszcze nie widziałam - cieniutką metalową płytkę zawieszoną na splecionych skórzanych rzemykach.

- Goethe mógł pisać tylko wtedy, gdy miał absolutny spokój - oznajmiła babcia. Ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, że wymyśliła to tylko po to, by zdemaskować ludzkie ograniczenia.

- Biedak. - Mama nieprzejęta zaczęła kroić truskawkowy tort. - A zanim zapytasz - zwróciła się do babci - spodu nie upiekłam sama, tylko kupiłam. Goethe miał swoją Christiane, która mu gotowała i piekła. Ja, niestety, nie mam takiego szczęścia.

- Ale Goethe był poetą - padła celna riposta.

- A ja piszę tylko kryminały. - Mama nałożyła babci na talerzyk kawałek tortu, uśmiechając się uprzejmie.

- Które bardzo lubię czytać - pośpieszyłam jej z pomocą.
- O takiej książce na pewno nie będziecie pisać pracy egzaminacyjnej na maturze - odparła babcia. - O Fauście tak.
- Przestań narzekać. Jedz tort i ciesz się pięknym dniem — zasugerowała moja mama.
- Truskawki. - Babcia uniosła talerzyk, by przyjrzeć się kawałkowi ciasta. - Kupujecie je tu na miejscu?
- Mama przytaknęła.
- Tylko proszę, nie mów, że uważasz właściciela plantacji za współczesnego poganiacza niewolników. Spierałyśmy się już o to godzinami.
- Babcia przez dłuższą chwilę delektowała się deserem.
- To morderstwo - zwierzyła się w końcu po pierwszej filiżance kawy
- nie daje mi spokoju.
- Mama skinęła głową, spoglądając na mnie.
- Cieszę się, że Jette przeprowadziła się do Brohl. Nie chciałabym, aby po ciemku jeździła po okolicy.
- Czy według policji morderca jest jeszcze w pobliżu? Mama wzruszyła ramionami.
- Nawet nie wiadomo, czy w ogóle tutaj mieszka. Wcześniejsze dwa zabójstwa, za które być może też odpowiada, zostały popełnione w północnych Niemczech.
- Czyli właściwie wszystko jedno, gdzie się włóczę po ciemku - usiłowałam żartować.
- Obie posłały mi karcące spojrzenia.
- Z takich rzeczy się nie żartuje — zrugła mnie mama.
- Nie docenia powagi sytuacji — rzuciła uszczypliwie babcia — ponieważ wyrosła w domu, w którym roi się od trupów.
- Uprzejmie dziękuję — odparła mama zjadliwie.

Obie są mistrzyniami słowa, każda na swój sposób. Żadnej nigdy nie brakuje riposty. Ich potyczki mają klasę, ale wtedy lepiej nie wchodzić im w paradę.

- Macie coś przeciwko, jeśli szybko skoczę po truskawki? - zapytałam. - Caro i Merle przepadają za nimi. Obiecałam, że przywiozę.

Obie potrząsnęły głowami. Już ostrzyły zęby, by kontynuować spór.

Dzień był jak marzenie, więc postanowiłam pójść pieszo. Edgar szedł za mną do końca podjazdu, a potem usiadł na środku drogi jak posąg.

Młyn był oddalony spory kawałek od wsi. W dawnych czasach stanowił symbol tej miejscowości. Organizowano w nim wszystkie oficjalne święta. Zostały uwiecznione na wyblakłych starych fotografiach, które wójt podarował mamie, gdy się wprowadzała.

Wieś w ciszy popołudnia była jakby opuszczona. Dawała mi odczuć, że nie dorastałam tutaj i w zasadzie do niej nie należę. Stary, prawie głuchy pies, który zawsze strzegł małego kościółka, spał mocno i wcale nie zauważył, że tamtędy przechodziłam.

Koty, wylegające się na parapetach i stopniach schodów chłopskich zagród, nie zwracały na mnie uwagi.

Gdyby ich właściciele pojawili się na dworze, zapewne nie zachowywaliby się inaczej. Przyglądając się nieufnie, czekaliby na moje pozdrowienie, odwzajemniając je skinieniem głowy albo mruknięciem, a potem gapiliby się za mną. Kto ma mamę, której kryminały można oglądać w RTL-u, nie powinien zbyt liczyć na serdeczne zaproszenie do uczestnictwa w życiu wioski.

Zresztą nie chciałam tego. Wieś mi się podobała. Uwielbiam proste, pozbawione ozdób gospodarstwa, wyłożone kostką drogi, ukryte malownicze zakątki, odgłosy traktorów, przyzwyczałam się do fetoru gnojówki, świń i kur. Lubię rozległe pola, zapach truskawek, mieszkańców wsi, a nawet ich sztywny sposób bycia. Dopóki trzymają się na dystans. Nie chciałabym się mieszać do małoszkowych konfliktów.

Kobieta, która sprzątała u mamy, często opowiadała o różnych sprzeczkach i kłótniach. O bójkach na festynach, groźbach, terroryzowaniu przez telefon.

„Dzieją się tu najdziwniejsze rzeczy” — tak się zawsze zaczynały jej opowieści.

„Dzieją się tu najdziwniejsze rzeczy. Ostatnio idę na zakupy do Extra i kogo tam spotykam?”.

Mama nigdy nie narzekała na te rozmowy. Gdyby ich nie było, mówiła często, trzeba by je wymyślać. „To jest życie - dodawała. — Wyobraźnia aż tak daleko nie sięga”.

Inni mieszkańcy wsi nie zbliżali się do młyna. Czasy się zmieniły. Mama żyła jak na wyspie.

Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak bardzo była osamotniona.

W gospodarstwie właściciela truskawkowych pól nie spotkałam ani żywej duszy. Mury rzucały długie cienie. Panował taki zaduch, że włosy przyklejały mi się do karku. Nacisnęłam guzik dzwonka obok okienka punktu sprzedaży i czekałam.

Po chwili ktoś je otworzył. Wyjrzała dziewczyna mniej więcej w moim wieku.

- Tak?

Zignorowałam jej niemiły ton.

- Poproszę dwa kilo truskawek - powiedziałam.

Bez słowa postawiła na niewielkiej ladzie cztery niebieskie, wypełnione po brzegi plastikowe pojemniczki. Za nią dostrzegłam tapetę w kwiatki i staroświecki ciemny kredens.

- Ile? - zapytałam. Kilka lat w tej wsi, a oduczę się mówienia pełnymi zdaniami.

- Pięć euro.

Zapłaciłam, sprzedawczyni zamknęła okienko, a ja wróciłam na senną wiejską drogę.

Zbieracze truskawek najwyraźniej wszyscy byli na polu. Rozproszeni jak stado wielkich kolorowych ptaków.

„Słowa jak z wiersza - pomyślałam. - Zbieracze truskawek”.

Zapomniałam kosza na zakupy, więc niosłam pojemniczki przed sobą, ustawione jeden na drugim, tworzące bardzo niestabilną konstrukcję. Owoce były jędrne i czerwone. Ich zapach spowijał mnie jak perfumy.

Stary pies przed kościołem się obudził. Mocno uderzał końcem ogona o ziemię, patrząc, jak go mijam.

- Hej, ty - mruknęłam, a on chyba usłyszał, bo cicho zaskamlał.

Gdyby nie pojemniczki, które trzymałam przed sobą, może bym go pogłaskała mimo szorstkiej, czarnej sierści. Pewnie nikt tego nie robił. Czulałam, jak odprowadza mnie wzrokiem, i próbowałam stłumić poczucie winy.

Weszłam do domu i postawiłam truskawki w kuchni, a następnie wyszłam na taras. Krótka wycieczka dobrze mi zrobiła. Palce u nóg i sandały zdążyły się pokryć kurzem. Moje ciało całe nasyciło się słońcem. Odchyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy.

Mama i babcia zakończyły wymianę ciosów i rozmawiały. Pośród drzew trzepotały ptaki. Czasem zabeczała owca.

Z daleka dobiegał turkot traktora.

Caro, Merle i ja postanowiłyśmy, że kiedyś wyjedziemy na rok do Londynu. Na razie jednak cieszyłam się, że mieszkam w małym spokojnym Bróhl i czasem mogę przyjeżdżać tutaj, na wieś.

Pośpiech wielkiego miasta był cudowny, ale jedynie przez kilka godzin. Potem zaczynał mnie denerwować. Wydawało mi się, że urodziłam się za późno. Jakbym w rzeczywistości pasowała do zupełnie innych czasów.

*

Bert przyglądał się żonie, gdy sprawnie uwijała się w kuchni. Uwielbiał przypatrywać się jej podczas gotowania. Jej ruchy były oszczędne i pewne, a na dodatek pełne wdzięku.

Nie lubiła, gdy dzielił się takimi myślami. W ogóle nie przepadała, kiedy o niej mówił. Czowała się niezręcznie, znajdując się w centrum uwagi.

To jej nieprzystępny sposób bycia kiedyś go pociągał. Ta rezerwa granicząca niemal z chłodem. „Lodowa dziewczyna” - tak ją nazywał w myślach. I pragnął tylko jednego: rozbić skorupę, pod którą skryła swą prawdziwą naturę.

„Rozbić - pomyślał. - Mój język nacechowany jest przemocą, nawet gdy chodzi o miłość”.

Długo trwało, zanim lodowa pokrywa stopniała. Ale nigdy nie zniknęła całkowicie. Być może chwile pełnej jedności to tylko złudzenie.

Bert pił kawę, ponownie zagłębiając się w lekturze gazety. Rano tylko ją przejrzał, żeby dowiedzieć się o najważniejszych

wydarzeniach. Dopiero wieczorem znajdował czas, by czytać dokładniej.

Sprawa zabójstwa zniknęła już z pierwszej strony. Uwaga opinii publicznej szybko się ulatniała i zwracała ku nowym tematom. Dopóki jakiś dziennikarz nie zdecydował się ponownie podgrzać zainteresowania.

„Trudne czasy - myślał Bert - skomplikowane, głośnie i szybkie. Jeśli ktoś nie może dotrzymać im kroku, zostaje usunięty z gry, a inni kończą ją za niego”.

- Brokuły czy sałata? Uniósł wzrok, rozkojarzony. -Co?

- Chcesz brokuły czy sałatę? - Ostatnimi czasy w głosie Margot często pobrzmiwał wyrzut.

- Wszystko jedno.

Na początku ich małżeństwa wiele rozmawiali o właściwym podziale ról. Zdecydowali, że Margot zostanie w domu z dziećmi, a Bert będzie dbał o stronę finansową.

Samej Margot to odpowiadało. Nie chciała dzielić się odpowiedzialnością za dzieci. Nawet z mężem.

Ostatnio jednak coraz częściej zastanawiała się, czy jej decyzja była słuszna. Nie mogła tak po prostu powrócić do zawodu księgarza. Musiałaby na nowo wdrażać się do pracy i potrwaloby, zanim znowu byłaby na bieżąco.

Unikali poważnych dyskusji na ten temat. Odkąd urodziły się dzieci, czyli mniej więcej od dziesięciu lat, rzadko mieli czas na takie rozmowy jak kiedyś. Ze zmęczenia, wyczerpania czy frustracji woleli milczenie. Często zasypiali nad książką albo przed telewizorem.

- A więc sałata - zdecydowała Margot. - Będzie szybciej.

- Pomóc ci? — zapytał Bert.

- Nie trzeba. Ale mógłbyś mi opowiedzieć o swojej nowej sprawie. Trochę się rozerwę.

Bert odłożył gazetę, uporządkował myśli i zaczął relację. Lubił omawiać z żoną przypadki, nad którymi pracował, korzystając z każdej możliwej okazji. Margot zadawała właściwe pytania. Takie, jakie stawia człowiek, który nie uczestniczy w śledztwie.

Często jej uwagi zbijały go z tropu, co niemal zawsze okazywało się zbawienne, bo dzięki nim musiał przemyśleć swój punkt widzenia na nowo, podejść do problemu od innej strony. I czasem po takiej rozmowie widział daną sprawę wyraźniej niż przedtem.

Opowiadał o Simone Redleff i o dziewczynach z północnych Niemiec. Znów wszystko stanęło mu przed oczami. Młode martwe twarze. Miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Zdjęcia żywych dziewczyn, radosnych i uśmiechniętych, wisiały na korkowej tablicy w jego biurze.

- Straszne — wciąż powtarzała Margot.

Miał ochotę podejść do żony, wziąć ją w ramiona i zapomnieć o ludziach, którzy mordują. Pocałować ją tak jak za pierwszym razem, gdy myślał, że świat przestał istnieć. Jednak ciągle opowiadał.

- Czy może to być ktoś, kogo znała? - zapytała Margot, kiedy skończył.

- Wątpliwe. Sprawdziliśmy alibi wszystkich podejrzanych osób.

- Czyli zakładasz, że to ktoś obcy? Skinął głową.

- Ten sam, który odpowiada też za morderstwa w północnych Niemczech?

- Skoro wszystkie przypadki są do siebie podobne - tak.

- Na pewno nie mieszka na północy i na pewno nie tutaj.

- Dlaczego tak uważasz?

- To dla niego zbyt niebezpieczne. Wystrzegałby się popełniania zbrodni w sąsiedztwie.

- Mówimy o seryjnym zabójcy, Margot.

- Który działa pod wpływem popędów, wiem. - Gestykulowała żywo, machając w powietrzu liściem sałaty, który trzymała w lewej ręce, i nożem do obierania w drugiej. - Nie sądzisz, że popełniasz błąd, nie doceniając go?

- Wcale tak nie jest. Seryjni mordercy często wyróżniają się wręcz fenomenalną inteligencją. Historia dostarczyła na to dosyć przykładów. Mógł - tylko głośno myślę - celowo pozostawić ślady, popełniając morderstwo w sąsiedztwie.

- Ślady?

- Żeby wprowadzić nas w błąd. To przecież jasne - zakładamy, że nie popełniłby zabójstwa w swojej okolicy. A jeśli to przypuszczenie...

- Nie umiesz myśleć tak jak on, Bert.

- Ale muszę! Nie tylko myśleć, lecz także i czuć jak on. Nie mogę liczyć na to, że popełni błąd i sam wpadnie w pułapkę.

- Mówisz jak kłusownik w jednym z tych ckliwych filmów o wiejskim życiu, które ciągle powtarzają w telewizji.

Wybuchnął śmiechem.

- Czasem tak też się czuję. - Wstał i podszedł, obejmując ją. Była miękka i ciepła, na brodzie przykleił jej się mały kawałek skórki od marchewki. Zdjął go.

- Może jednak trochę ci pomóc? - zaproponował. Spojrzała na niego. Prawie tak jak kiedyś. Prawie. Bo

zamiast go pocałować albo pozwolić się pocałować, wcisnęła mu do ręki nóż i podsunęła marchewki.

- Pokrój w ładne małe słupki. Do sałatki. Potrafisz?

- Możesz się ze mnie spokojnie nabijać. - Był zadowolony, że się czymś zajmie. Wystarczająco długo rozmyślał. Po obiedzie pobawi się z dziećmi. A potem spróbuje trochę poczytać. Może nawet uda mu się na chwilę zapomnieć, jaki wykonuje zawód.

Na dźwięk telefonu Imke Thalheim z niechęcią wykrzywiła usta. Jak można się domyślać, w tej chwili rozmowa była jej nie na rękę. Ale nie zignorowała dzwonka. Odkąd Jette u niej nie mieszkała, drżała na myśl, że w nagłej potrzebie córka mogłaby jej nie zastać.

Już nieraz zastanawiała się, czy nie zatrudnić sekretarki albo, jeszcze lepiej, sekretarza. Potem wzdragała się na samą myśl, że w domu byłby obcy człowiek.

Wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do pani Bergerhausen, sprzątaczk. Nie mogła się skupić, słysząc, jak gospoia hałasowała w pokojach. I śpiewała. Szczególnie lubiła donośne arie z oper i operetek, których niewiarygodnie dużo znała na pamięć. Po kilku rozmowach wypracowały kompromis - sprzątaczk zgodziła się przynajmniej zawodzić ciszej. Choć wciąż podkreślała, że to znacznie zmniejszało jej przyjemność.

Imke zapisała plik tekstowy i sięgnęła po telefon.

- Thalheim?

— Lilo Kahnweiler. Dzień dobry. Jestem kierowniczką biblioteki miejskiej w Rellinghausen i chciałabym zaprosić

panią na spotkanie z czytelnikami. Co roku organizujemy tydzień literatury i tym razem chciałabym...

- Przepraszam, że przerwę, pani.

- Kahnweiler.

- ...pani Kahnweiler, tak. Nie mam nic wspólnego z organizowaniem swoich wieczorów autorskich. Proszę się zwrócić do mojej agentki. Ona za to odpowiada.

Kobieta była jednak uparta i nie zamierzała tak łatwo się poddać. Uważała, że skoro już ze sobą rozmawiają, pisarka mogłaby jej od razu przekazać niezbędne informacje, zamiast zwodzić ją długotrwałymi negocjacjami z agentką. Doszło do nieprzyjemnej słownej przepychanki. Imke zakończyła rozmowę niemal niegrzecznie i z westchnieniem zwróciła się w stronę komputera.

Każdego petenta wydawnictwo odsyłało do agentki. Ale ciągle znajdowali się tacy, którzy chcieli obejść albo skrócić tę drogę. Dla Imke było tajemnicą, jak ci ludzie zdobywali jej numer.

„Sława ma swoją cenę” - napisała, patrząc na to zdanie, jakby mogło objaśnić jej życie.

Od dawna pragnęła być znana. I nagle to się spełniło. Dzięki pierwszej książce, którą napisała bez literackich ambicji, z czystej przyjemności. *Nadejdzie ten dzień*. Kryminał psychologiczny, wychwalany i podziwiany przez krytykę.

Raptem jej nazwisko znalazło się na ustach wszystkich. Jej terminarz pękał w szwach. Audycje w radiu. Programy rozrywkowe w telewizji.

Imke Thalheim. Jej nazwisko zdawało się teraz należeć do obcej osoby. Czuła się obca we własnym ciele. Już nie chodziło o nią. Tylko o osobę noszącą jej nazwisko.

O autorkę, która odniosła sukces, a ona w głębi duszy nie umiała dotrzymać kroku. Bo wciąż była tą samą kobietą - każdego ranka z żelazną dyscypliną pisała teksty, w południe gotowała obiad dla córki, po południu zajmowała się drobnymi pracami biurowymi i ogródkiem, pod wieczór robiła zakupy, a potem prała, prasowała, sprzątała i niekiedy znajdowała jeszcze czas na przeczytanie kilku stron książki.

To wszystko się zmieniło. Niepostrzeżenie zmieniła się również ona.

Agentka chroniła ją najlepiej, jak mogła. A pani Bergerhausen od dawna przestała być jedynie sprzątaczką. Wykonywała też bieżące prace w domu, jak gotowanie, prasowanie, zakupy, pielenie, gdy okazywało się to konieczne.

Imke Thalheim pozostało jedno jedyne zadanie — pisać. I właśnie to ją wykańczało. Nie mogła produkować opowieści jak za naciśnięciem magicznego guzika. Potrzebowała codzienności z jej wszystkimi przerywnikami. Żeby nabrać sił. Skąd miała czerpać pomysły, jeśli nie z życia?

Potrafiła zrezygnować z denerwujących telefonów. Ale nie z pozostałych spraw. Zwłaszcza nie z Jette.

Dom był taki ogromny. Taki pusty. I cichy. Obecność kotów tego nie zmieniała. Może psu by się to udało, ale Imke zbyt często wyjeżdżała. Nie mogłaby go zostawiać na tak długo.

Skasowała zdanie, które zaplątało się w tekście, usadowiła wygodnie na krześle i zaczęła pisać.

Ciało dziewczyny znaleziono w niewielkim lasku. Natknęło się na nie starsze małżeństwo, które wyszło na spacer z psem. Kobieta wybuchła płaczem. Mężczyzna sięgnął po komórkę, powiadomił policję i od razu wezwał karetkę.

Odetchnęła z ulgą. Wreszcie opowiadanie nabierało tempa. Teraz trzeba ostrożnie posuwać się naprzód. Byle nie zgubić wątku...

*

- Och! - uniosła ku niemu wzrok i uśmiechnęła się. -Przepraszam.

- Nie ma sprawy. - Ustąpił jej z drogi i poszedł dalej wzdłuż wąskich rzędów truskawek. To, że ten czy ów w ciasnocie wchodził mu pod nogi, nie było problemem. Tylko czasem miał wrażenie, że to się dzieje celowo. Nie podobało mu się, jak spoglądają na niego dziewczęta. Tak... wyzywająco. Zupełnie bez wstydu. Ich spojrzenia przypominały pocałunki, każde jak obietnica.

Czy inni mężczyźni tego nie dostrzegali? Jak mogli śmiać się i żartować z panienkami, które chciały tylko jednego?

„Z kim upadniesz, z tym się podniesiesz”.

Nie rozumiał tego. Babcia spuściła głowę, wsłuchując się w siebie. Wyglądała na bardzo urażoną. Georg szukał pod stołem jej ręki, ale ją cofnęła. Jakby lekkie dotknięcie bolało jak porażenie prądem.

- Nie zrobisz tak jak twoja matka, słyszysz?

Dopiero wtedy zrozumiał. Jego matka upadła. I się nie podniosła. Aż dziewięć miesięcy później na świat przyszedł Georg.

Zrobiło mu się gorąco. Krew pulsowała mu w uszach. Odczuwał bezgraniczny wstyd, nie wiedząc dlaczego. „Czego Jaś się nie nauczy...”.

Najchętniej zatkałby sobie uszy. Albo wybiegł. Nie chciał słuchać tej historii. Nie tak. Nie teraz.

Lecz dziadek nie zważał na nic. Z wściekłością wyrzucał z siebie słowa. Wysuwał jedno oskarżenie po drugim. Jeszcze trochę, a zdejmie pas i ukarze Georga.

Matka urodziła syna i następnego dnia uciekła.

Znikła. Bez dziecka. Bez niego.

- Zdzira... łajdaczka... dziwka... To już nie nasza córka. Dopiero znacznie później, po śmierci dziadka, matka

wróciła. Wyszła za mąż za chorowitego mężczyznę, który spędzał dzień za dniem, pijąc w kuchni. Nie nosił innych ubrań oprócz dresów i szarych prążkowanych podkoszulków. Na prawym ramieniu miał tatuaż, czerwoną różę pnącą się wzdłuż krzyża.

A do tego fatalne zęby. Podczas jedzenia zawsze zostawały mu między nimi włókna mięsa czy warzyw, które potem wydłubywał odłamaną drzazgą z zapalniczki albo długim, pożółkłym od nikotyny paznokciem kciuka.

Nie mieszkali w domu babci. Wprowadzili się do wynajmowanego lokalu.

- Ja też mam swoją dumę - mawiała matka. W ciągu dnia pracowała w branży ubezpieczeniowej. Wieczorami wykonywała pisemne prace biurowe.

Ojczym znalazł zatrudnienie jako portier w fabryce. Ta posada wkrótce przewróciła mu w głowie. Zmienił się jego sposób mówienia i poruszania. Nagle stał się panem w domu. Nagle zaczął wydawać rozkazy. Zachowywał się tak, jakby pozjadał wszystkie rozumy.

Georg nie słuchał. Już dawno nauczył się wyłączać. Z początku czasem się zastanawiał, jakim cudem matka związała się z tym człowiekiem, ale potem przestało go to interesować.

Stał się dorosły. I myślał o jednym — chciał się jak najszybciej uniezależnić.

Kiedy ze świata wspomnień powrócił do rzeczywistości, zobaczył, że większość pracowników już poszła na obiad. Jeszcze napełnił skrzynkę, która przed nim stała, zaniósł ją na przyczepę i poszedł do umywalni.

Miał ją teraz dla siebie, co zdarzało się rzadko. Zwykle musiał wysłuchiwać głupich powiedzonek, wachać kwaśny pot współpracowników, znosić ich bekanie i pierdzenie, uważane za oznakę męskości.

Stółówka wibrowała mnogością głosów. Georg poszedł po jedzenie, szpinak z ziemniakami puree i jajka sadzone. Kobieta wydająca posiłki znowu przygotowała mu ekstra dużą porcję. Puszczając oko, podsunęła mu talerz. Miała około sześćdziesiątki i w najmniejszym stopniu nie przypominała jego babci.

- Dziękuję - powiedział, uśmiechając się do niej.

To wystarczyło, żeby się zaczerwieniła.

„Baby - pomyślał, rozglądając się za stolikiem, przy którym mógłby siedzieć sam. - Nieważne, ile mają lat, wszystkie są takie same”.

*

Mama zostawiła mi pierwszy rozdział nowej powieści. Wpadła na chwilę, co robiła często, kiedy była w pobliżu. Wypiłyśmy kawę, trochę pogadałyśmy i zjadłyśmy po kawałku ciasta, które kupiła po drodze. Po niecałych dwóch godzinach chciała wracać. Nie pierwszy raz odniosłam wrażenie, że nie znosi naszego mieszkania. Nie dlatego, że jej się nie podoba. Dlatego, że mam nowy dom.

- Przeczytasz to? - zapytała, wyjmując z torby pomarańczową teczkę.
- Jasne. Od razu dziś wieczorem. I tak nie mam nic do roboty. -
Położyłam powieść na stole obok talerza. W tym momencie do kuchni
weszła Caro.

- Nowa lektura? - zapytała. - Mogę też rzucić okiem, kiedy Jette
skończy? - Ścięła włosy, jeszcze krócej niż zwykle, i stojąc tak przed
nami, drobna i krucha, wyglądała jak dziecko.

Mama skinęła głową. Lubiła Caro, bardziej nawet niż Merle, co
zapewne wynikało z faktu, że ze względu na ciemne krótkie włosy były
do siebie zdumiewająco podobne. A może chodziło raczej o
wewnętrzne pokrewieństwo? Już nieraz myślałam, że mama kiedyś
musiała przypominać Caro.

- Ale chciałabym, żebyś powiedziała mi szczerze, co o tym sądzisz. -
Wyciągnęła rękę. - Obiecujesz?

- Obiecuję — zapewniła Caro, podając dłoń.

Mama odjechała. Zabrałam manuskrypt do pokoju. Włączyłam radio,
położyłam się na łóżku z przygotowanym długopisem oraz notatnikiem
i przyglądałam się stronie tytułowej.

Morderstwo w ciszy.

To jeszcze nic nie znaczyło. To zaledwie tytuł roboczy. Czasem
kilkakrotnie się zmieniał, zanim książka trafiła do drukarni.

„Dobrze. Intryguje” - napisałam obok. Mama lubiła, kiedy
komentowałam fragmenty, które mi się podobały. Oczekiwała też, że
w miejscach moim zdaniem niezbyt udanych zaproponuję poprawki.

Merle i Caro zazdrościły mi udziału w, bądź co bądź, tworzeniu książek. Dla mnie od dawna to nic szczególnego. Czasem nawet musiałam bronić się przed recenzowaniem wszystkiego, co napisze mama.

Rozpoznawałam ją w każdym zdaniu. Jej poglądy. Jej nadzieje i obawy. Ale odnajdywałam w tekście także siebie. Jedną z postaci wyposażyła w moje przemyślenia, stworzyła moją bliźniaczkę, chociaż tylko na papierze.

W podobnych chwilach niełatwo być córką pisarki. Przecież chciałam mieć mamę jak i inni. Z którą mogłabym porozmawiać bez lęku, że wszystko, co powiem, może później być wykorzystane w najnowszej powieści.

Kiedyś gdzieś wyczytałam, że artyści nie mają skrupułów, jeśli chodzi o zbieranie materiału do utworów. Bolało mnie, że mama nie stanowiła pod tym względem wyjątku.

Rozległo się pukanie i Caro wetknęła głowę do pokoju.

- Mogę?

Odłożyłam na bok manuskrypt i usiadłam na łóżku.

- Skoro musisz.

Caro nie zareagowała na złośliwość, co było dziwne. Zdjęła z fotela stertę moich ubrań z całego tygodnia i usiadła naprzeciwko, bawiąc się palcami.

- Miałaś kiedyś faceta, który niczego od ciebie nie chciał? - wydusiła.

Tysiące myśli kłębiło mi się w głowie. O coś takiego nie pyta się bez powodu. Spojrzałam uważnie na przyjaciółkę. Chociaż było gorąco, miała na sobie T-shirt z długimi rękawami. Jak zwykle, gdy chciała zakryć ręce.

- Co masz na myśli? - odpowiedziałam pytaniem. — Zupełnie niczego?

Kiwnęła głową.

Zastanawiałam się, jak zareagować, ale uprzedziła mnie;

- Właściwie zabronił mi o sobie mówić.

- Co takiego?

Natychmiast zaczęła go usprawiedliwiać.

- Ma swoje powody i szanuję je, nawet jeśli ich nie znam. Sama przeszłam przez tyle okropnych sytuacji, więc jak mogę potępiać innych?

- Posłuchaj Caro, żaden facet nie ma prawa ci czegokolwiek zabraniać.

Zawahała się.

- Tak naprawdę wcale mi niczego nie zakazywał. Prosił mnie tylko, bym nikomu o nas nie mówiła. Powiedział, że najpierw musimy mieć pewność.

- Pewność? Jak to?

- Ze naprawdę się kochamy. - Nagle się ożywiła. Jej blade policzki się zaróżowiły, oczy rozbłysły. - Myślę, że ma za sobą tak samo gówniane życie jak ja. Nie zniesie już żadnych rozczarowań. Dlatego próbuje się zabezpieczyć.

- Jak chce to zrobić? -Poczekamy.

- Poczekacie? Na co?

Spuściła głowę i niemal wyszeptała:

- Nie dotyka mnie. Nawet mnie nie całuje. To znaczy, nie tak naprawdę. Całuje mnie tak jak brat siostrę.

- Ale przecież już tu nocował.

Caro skubała palce i nerwowo je wyłamywała, aż trzaskały stawy. Sprawiała wrażenie, jakby nie opuszczało jej napięcie.

- Nocował tu czy nie?

- Tak. Ale nawet mnie nie tknął. - Pochyliła się, badawczo wpatrując w moją bezradną twarz. - Myślisz, że jest gejem?

- Skąd mam wiedzieć, Caro? Nigdy go nie widziałam. Nawet mi nie powiedziałaś, jak ma na imię.

- Bo sama tego nie wiem. — Jej oczy wypełniły się łzami.

- Nie wiesz, jak on... - Już zupełnie nic nie rozumiałam. Co to za znajomość, w której wszystko pozostawało tajemnicą? - A on? Też nie zna twojego imienia?

- Głupie pytanie. - Wytarła oczy i się uśmiechnęła. -Wygadałam mu już pierwszego wieczoru.

- To jak się do niego zwracasz? Omijała mnie wzrokiem.

- Codziennie wymyślam dla niego nowe imię. To jakby taka gra. Chociaż nie wiem, co mu się w tym podoba. Może jest jak Titelitury - gdy zgadnę jego prawdziwe imię, zasłużę na miłość. - Uśmiechnęła się krzywo.

Wstałam i siadając obok, wzięłam ją za rękę.

- Poradzić ci coś, Caro?

Wzruszyła ramionami, unikając mojego spojrzenia.

- Nie zadawaj się z nim. Mam dziwne przeczucie. Podniosła się powoli - stała w moim pokoju mała, wąła i zagubiona.

- Nie da rady - wyszeptała - beznadziejnie się zakochałam.

- Na zawsze i na wieki? - roześmiałam, chcąc ją rozbawić, ale ten sposób nie zadziałał.

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy - odrzekła spokojnie. Po czym zachowała się dziwnie. Ujęła moją twarz w dłonie

i pocałowała w policzek. - Dziękuję za twoją przyjaźń, Jette. Zawsze chciałam ci to powiedzieć.

W drzwiach pomachała mi jeszcze raz.

Położyłam się z powrotem na łóżku, by zagłębić się w manuskrypt. Nad przyjaciółką i jej osobliwym wielbicielem zastanowię się po telefonie do mamy. A wieczorem ponownie porozmawiam z Caro. Zeby znowu nie odgradziła się od świata murem kompleksów.

Wzięłam długopis i zanotowałam uwagę na brzegu pierwszej strony.

Wszystko w swoim czasie.

*

Caro zapaliła świece ustawione na brzegu wanny. Mimo że do środka docierało dostatecznie dużo światła dziennego, widok pełgających płomyków cieszył oczy. Wydała 6,20 euro na olejek do kąpieli. Chociaż była prawie bez grosza. Pęcherzyki piany pryskały, gdy wchodziła do wanny.

Kiedyś widziała film o Kleopatrze. W pamięć zapadły jej zwłaszcza sceny kąpieli. Czysty luksus. Do każdej czynności inna służąca. Egipską władczynię myto, namaszczano, perfumowano i ubierano. Specjalne mikstury mieszano zależnie od jej nastroju.

Czy to prawda, że kąpała się w mleku oślicy?

Piana musowała na skórze, chłodna w dotyku. Woda pod spodem była niebieska i tak gorąca, że Caro na chwilę dostała gęsiej skórki.

Powoli zanurzyła się, zamykając oczy. Wszystko to robiła dla ukochanego. Dla niego chciała być piękna. Zwłaszcza dziś wieczorem.

Czekali chyba dostatecznie długo? Czy nie nadszedł wreszcie czas na prawdziwy pocałunek? Dotyk pełen miłości?

Wyobrażała sobie jego dłoń na swojej skórze. Lepszy niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyła.

Dla niego ścięła włosy. Dla niego po kąpieli chciała pola-kierować paznokcie. Chociaż właściwie były o wiele za krótkie. Wciąż nie przestała ich obgryzać.

- Dla ciebie - szeptała. - Dla ciebie. Dla ciebie. Dla ciebie. Jak go nazwie dziś wieczór?

- Ukochany. Mój jedyny, najwspanialszy na świecie.

Uśmiechnęła się do siebie. Kiedyś wzniosłe słowa uważała za kiczowate. Tak pisali dawni poeci. Kto dzisiaj mówi w taki sposób?

Kiedyś. Dawniej. To wszystko wydawało się tak odległe.

Chciała patrzeć tylko w przyszłość.

I cieszyć się.

Na ich wspólne życie.

Dziś wieczorem miało się zacząć.

6

Kiedy otworzyłam drzwi, Merle wyszła mi naprzeciw. Już na pierwszy rzut oka zauważyłam, że coś nie gra.

- Co się stało? - zapytałam, rzucając torbę w kąt. Miałam za sobą wywiad u boku mamy - długi wieczór, noc i śniadanie we młynie. Potem jeszcze tylko dwie godziny matmy, bo pierwsze cztery lekcje wypadły z planu.

Telewizja WDR przygotowywała dokument na temat znanej autorki Imke Thalheim, kładąc przy tym wielki nacisk na jej życie prywatne. A w obecnym czasie tworzyliśmy je głównie ja i przyjaciel mamy Tilo.

Nie cierpię występów, w których jestem tylko dekoracją dla sławnej matki. Młodszy z dwóch kamerzystów był jednak tak rewelacyjny, że chętnie zgodziłabym się jeszcze na godzinę albo nawet dwie, by nadal mógł mnie oglądać przez obiektyw. Uległam jego bezwstydnemu, beczelnemu, a jednocześnie czułemu uśmiechowi.

Ponieważ zrobiło się późno, mama namówiła mnie, abym u niej nocowała, cała akcja zaś miała się zakończyć miłym śniadaniem we troje.

Posiłek przyjemny jednak nie był. Mama i Tilo to poranne ptaszki. Zrywają się z łóżka skoro świt, w pełnej gotowości,

by stawić czoło dniu. Ja natomiast uwielbiam się wylegiwać, a każdy rano, gdy muszę wstać przed dziesiątą, to dla mnie ciężka próba.

Tilo czytał gazetę, mama chciała ze mną porozmawiać, a ja jedynie pragnęłam, by dali mi święty spokój i pozwolili dojsć do siebie. Szczególnie jednego nie znoszę rano - dyskusowania o powstających tekstach. A o to właśnie chodziło.

Wreszcie się wyguzdrałam, ale obie miałyśmy dosyć miłego śniadanka we dwie czy we troje. A gdy w szkole na dodatek dostałam jedynekę z matmy, pocieszałam się, że gorzej już chyba nie może być.

- Nie ma Caro - powiadomiła Merle.

Zrzuciłam buty i przeszłam do kuchni, żeby wziąć coś do picia.

- I co z tego?

- Nie spała w swoim pokoju. Pościel jest nieruszona.

- Powinnaś zostać detektywem, Merle. Do tego nie potrzeba nawet matury.

- Bardzo dowcipne! - Zaraz zniżyła głos, jakby w korytarzu stał obcy i nas podsłuchiwał. - Poważnie. Powiedziała ci, że nie wróci na noc?

- Nie. Pewnie tak wyszło. - Pomyślałam o naszej ostatniej rozmowie. Może wreszcie Caro skłoniła powściągliwego przyjaciela do okazania uczuć?

- Wychodząc, nie zabrała ze sobą rzeczy do szkoły.

- Daj spokój, Merle! Przecież wiesz, że ona raczej nie ogląda szkoły od środka. - Włączyłam ekspres do kawy. - Chcesz cappuccino?

- Wolę espresso. - Usiadła przy stole i podciągnawszy nogi na krzesło, oparła brodę o kolana. W mieszkaniu lubiła

nosić skarpety własnoręcznie robione na drutach, zarówno w zimie, jak i w lecie. Wyglądała w nich jak praktyczny, rozsądny człowiek.

- Pójdziemy do kina dziś wieczorem? - zapytałam.

- W tym miesiącu już mnie nie stać. — Potrząsnęła przecząco głową.

- A jeśli cię zaproszę?

- To chętnie. - Nigdy nie wiadomo, jak Merle zareaguje. Zazwyczaj była dość drażliwa w kwestii finansowej. Wolała korzystać z pomocy Caro niż mojej. Tamte pieniądze uważała za czyste. Moje, a właściwie mojej mamy, cuchnęły społeczną niesprawiedliwością.

Merle uważała, że zjawisko bogactwa nie powinno istnieć. Chyba że wszyscy byliby zamożni. Choćby załamywał się jeden system socjalistyczny po drugim, Merle uparcie wyznawała idee antykapitalistyczne.

Podziwiałam ją za to. Była konsekwentna nie tylko w swoich poglądach, ale i w praktyce. Jako radykalna obrończyni zwierząt żyła zawsze jedną nogą w więzieniu. Stale przyprowadzała ludzi, którzy się u nas ukrywali, dopóki nie znaleźli bezpieczniejszego schronienia. W piwnicy piętrzyły się ulotki czekające na kolportaż, a przed demonstracjami Merle z ludźmi o podobnych przekonaniach całymi nocami przebywała w kuchni, gdzie na podłodze malowali transparenty.

Rano przy stole często siedziały z nami osoby, których Caro i ja nigdy nie widziałyśmy. Zostawały po jakiejś grupowej naradzie, jadły nasz chleb i ser oraz korzystały z naszego ekspresu do kawy.

I naraz Merle jak nadopiekuńcza matka zmartwiła się, że przyjaciółka nie spała w swoim łóżku.

- Sama nie wiem - powiedziała — mam dziwne obawy. To też było dla niej typowe. Często nawiedzały ją dziwne przeczucia, które później okazywały się uzasadnione. Niektóre z jej snów po krótkim czasie się sprawdzały. Potrafiła nas tym przestraszyć. Gdy patrzyła na nas tym szczególnym, zadumanym wzrokiem, obawialiśmy się, że znów zacznie opowiadać o jakiejś wizji.

Podsunęłam jej filiżankę i usiadłam. Przetrwałam niezbyt przyjemne śniadanie z mamą i okropne przedpołudnie w szkole. W tej chwili nic nie było w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

- Jakie obawy? — zapytałam.

- Jakby... W każdym razie poczułabym się znacznie lepiej, gdyby Caro stanęła teraz w drzwiach. - Wypiła łyk espresso i nagle wstała. - Nie przejmuj się. Może to tylko przemęczenie. — Spojrzała na zegarek. — Muszę lecieć. Obiecałam Claudiowi, że wezmę dziś dodatkową zmianę.

Merle ostatnio często brała dodatkowe zmiany, więc zaczęłyśmy z Caro przypuszczać, że jej związek z Claudiem przestał być tajemnicą. Claudio to, Claudio tamto. Na okrągło ćwierkała jego imię, a kiedy ostatnio doręczono jej bukiet kwiatów, szybko wyjęła z niego wizytówkę, żebyśmy nie poznały nadawcy.

Sęk w tym, że Claudio miał już narzeczoną na Sycylii, a w sprawach uczuciowych Merle była staroświecka.

Kilka minut później za Merle zatrzasnęły się drzwi od mieszkania i słyszałam, jak zbiegała ze schodów. Zrobiło się cicho. Nieprzyjemnie.

Ustawiłam odtwarzacz CD w moim pokoju na cały regulator. Potem wyciągnęłam z regału *The Importance of*

being earnest i zasiadając przy biurku, zaczęłam przygotowywać się do pracy egzaminacyjnej z angielskiego. Po chwili całkowicie zanurzyłam się w świecie Oscara Wilde'a, dzięki czemu zapomniałam o Merle i jej dziwnym przeczuciu.

' *

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas. Widzę, że dużo tu pracy, więc tym bardziej to doceniam - powiedziała Imke Thalheim, siadając. On zaś usadowił się na drugim krześle i przyglądał osobie wygrzebującej z torby notes oraz etui, z którego wysunęła srebrny, najwyraźniej potwornie drogi długopis.

Elokwentna kobieta, tak jak się spodziewał. Zaskoczyła go jej uroda. Widział pisarkę na zdjęciach w czasopiśmie, ale żadne z nich nie dorównywało rzeczywistości. Zmuszał się, żeby oderwać od niej wzrok.

Zbierała materiały do nowej powieści. Lecz nie od niej się o tym dowiedział, tylko od szefa.

- Ta Thalheim ma dojścia aż na samą górę, Melzig. Chyba więcej nie muszę mówić. Niech pan się nią zajmie, wykorzystaj swój urok, niech pan jej zrobi małe przedstawienie, sam pan wie...

Bertowi byłoby milej, gdyby Imke Thalheim zwróciła się bezpośrednio do niego, zamiast wybierać określną drogę przez zwierzchnika. Tę mentalność, kiedy wszystko załatwia się po znajomości, z protekcjonalnym poklepywaniem po plecach, uważał za obrzydliwą.

- Kawy? Czy woli pani herbatę? - Chciał szybko przejść do rzeczy. Dobrze sobie - wykorzystać urok, zrobić przedsta-

wienie. Do czego to doszło: miał się wkraść w jej łaski tylko dlatego, że była bogata i miała znajomości.

- Z chęcią napiję się kawy.

- Mleko? Cukier? - „Zapewne słodzik - pomyślał. - Idę o zakład. Z taką figurą”.

- Cukier proszę.

Przyniósł dwie kawy z automatu w korytarzu, jedną z cukrem i jedną z mlekiem. Zwykle jego hipotezy były w dziewięćdziesięciu procentach trafne. Jako policjant wyrobił w sobie nawyk oceniania innych na pierwszy rzut oka. Dobre pewne oko to prawdziwy skarb. Zdarzały się sytuacje, które nie pozwalały na drugie spojrzenie.

Przez chwilę w milczeniu pili kawę, patrząc na siebie sponad plastikowych kubeczków. „Ona też mnie ocenia — myślał Bert. — Może się zastanawia, czy nadaję się na postać w powieści”. Poczł się nieswojo. A jeśli zdoła przeniknąć jego myśli?

- Dobrze — powiedział i oparłszy się, założył nogę na nogę. - Co chciałaby pani wiedzieć?

Pisała powieść o mordercy seksualnym. Akurat. Miała wiele pytań dotyczących zabójstwa Simone Redleff. I jakby to było oczywiste, dostrzegła jego związek z morderstwami w północnych Niemczech.

- Nie mogę mówić o aktualnych czynnościach śledczych - powiedział. - Mam nadzieję, że pani to rozumie.

Skinęła głową.

- Także informacje o wcześniejszych, zamkniętych sprawach bardzo mi pomogą - oznajmiła. — Przede wszystkim interesuje mnie profil mordercy seksualnego, przy czym jest dla mnie jasne, że nie można uogólniać. Ale... — po

jej twarzy przemknął uśmiech — .. .pan się na pewno domyśla, że właściwie najchętniej dowiedziałabym się wszystkiego.

Ta szczerość go rozbroiła. Zastanawiał się, czy mógłby zdradzić jej kilka tajników zawodu. Zaczął więc opowiadać, Imke zaś robiła notatki. Od czasu do czasu przerywała mu, żeby zadać pytanie albo coś sprecyzować. Jej uwagi i wątpliwości okazywały się mądre i przenikliwe, świadczyły o tym, że rozumiała jego wywód. A ciekawość była pełna dystansu i nienatrętna.

Z przyjemnością patrzył na tę twarz, która odzwierciedlała każdą emocję. Rzadko obserwował tak żywą mimikę. Ciekaw był, czy Imke Thalheim domyśla się, ile sekretów zdradza jej mowa ciała.

Po dwóch godzinach i dwóch kolejnych kubkach kawy wstała, wyciągając rękę w jego stronę.

- Bardzo serdecznie dziękuję, panie Melzig. Nie dość, że pańskie informacje pozwolą mi znacznie posunąć się naprzód, to ta rozmowa była dla mnie prawdziwą przyjemnością.

— Dla mnie również — odpowiedział, ujmując jej dłoń. Wąska i chłodna spoczęła w jego ręce, trzymał ją trochę za długo. - Gdyby pojawiły się jeszcze jakieś pytania, w każdej chwili może pani do mnie zadzwonić.

Wyraźnie ją to ucieszyło. Uśmiechnęła się, jak mu się zdawało, również trochę za długo, po czym wyszła lekkim krokiem.

Kilka sekund stał na środku pokoju, potem usiadł za biurkiem i zadzwonił do domu. Właściwie bez konkretnego powodu, ale koniecznie chciał usłyszeć głos Margot.

Imke zjechała windą na parter, minęła hol wyłożony dużymi, połyskującymi kamiennymi płytami i przez obrotowe drzwi wyszła na światło słoneczne.

Ten człowiek różnił się od gliniarzy, których знаła do tej pory. Miał szczerą wrażliwą twarz. Oczy zdradzały, że widział wiele strasznych rzeczy. Jej uwagę zwróciły zwłaszcza dłonie: jak u pianisty, podługne i kościste, z bardzo ruchliwymi palcami. Zadbane paznokcie, co ceniła u mężczyzn. Skromna obrączka na prawej ręce. Silny zarost. Już teraz, wczesnym popołudniem, przydałoby się mu drugie golenie. Brązowe bawełniane spodnie i biała lniana marynarka, pod tym bawełniana koszula w naturalnym kolorze z rozpiętym kołnierzykiem. Lekka opalenizna. Ciemne kręcone włosy opadały mu na czoło. Za każdym razem, kiedy się uśmiechał, pokój nagle stawał się jakby jaśniejszy. Niemal ładny. Chociaż to przecież bezosobowe, puste pomieszczenie.

Na biurku nie stały żadne fotografie. To nie ten typ mężczyzny, co ustawia wokół siebie podobizny żony i dzieci. Nie potrzebował złudzenia przytulności, by móc pracować. Wręcz przeciwnie, on...

Dosyć tego. Skupiła się na tym, by odnaleźć swój samochód na przepełnionym parkingu, na którym gdzieś go przedtem nieuważnie zostawiła. To skrzywienie zawodowe - w każdym człowieku natychmiast odkrywała jakąś historię.

Jette niedawno zarzuciła jej, że już nawet uczucia cenzuruje według przydatności literackiej, emocje innych i własne też.

- Powiedz szczerze - wycodziła - przekłuwasz ludzi jak owady i kładziesz pod mikroskopem, aby sprawdzić, do czego mogą się przydać.

Córka miała skłonność do okrucieństwa. Nie zadawała sobie trudu, by zrozumieć, jak trudne byłoby dla Imke życie, gdyby nie możliwość przelania emocji na papier. Wraz z rozwojem opowieści strach tracił grozę, a ból ustępował, stawał się mniej dręczący.

Poza tym autorzy zawsze stawali się na swój sposób kronikarzami. Mieli nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek zapisywania swoich spostrzeżeń. Oczywiście w pewnych granicach. Nie wolno, nie zważając na nic, obnażać ludzkiego wnętrza i podawać całemu światu na srebrnej tacy. Imke zawsze te zasady respektowała.

„Bercie Melzig - myślała - gdzie są twoje granice? Jak bardzo pozwoliłbyś się odkryć? Kiedy zacząłbyś się bronić?”

Początkowo pozostawał raczej nieprzystępny, nie udawało się wydobyć z niego żadnych informacji o ostatnim zabójstwie. Kiedy wreszcie zaczął opowiadać, chodziło wyłącznie o sprawy znane z przeszłości. Bruno Pupecka, tak zwana bestia z Altony. Adolf Seefeldt i Jurgen Bartsch, mordercy młodzieńców. „Młodzieńcy, mój Boże - myślała — kto dziś jeszcze używa takiego słowa?”. Adolf Seefeldt ukarany śmiercią, Jurgen Bartsch zmarł podczas kastracji, o którą rzekomo sam poprosił.

Każda historia przywoływała inne. Zapewne Bert Melzig o tym wiedział, gdyż wyciągał z kapelusza coraz to nowe nazwiska i zdarzenia, przykuwał całą jej uwagę, tym samym odwracając od aktualnej sprawy, która przecież najbardziej interesowała pisarkę.

„Spryciarz” - pomyślała, uśmiechając się. Najwyraźniej nie tylko ona umiała manipulować innymi za pomocą słów. Ten cały Bert Melzig powinien wygłaszać wykłady. W pę-

kającej w szwach sali w jednej chwili wzbudziłby ogromne zaniepokojenie. Czy sprawiałoby mu to przyjemność? Czy raczej napawało strachem?

Sama doświadczyła jednego i drugiego. Świadomość, że zaledwie paroma słowami może wywołać w obcych ludziach najbardziej sprzeczne uczucia, dawała jej poczucie władzy. Jednocześnie głęboko w środku odczuwała lęk. Skoro była do tego zdolna - co mogła zrobić sobie?

Wsiadła do samochodu, który wreszcie znalazła, a odchylając głowę, patrzyła w błękitne niebo w połowie przesłonięte delikatną szarą mgiełką z chmur. Częste przebywanie w samotności nie służyło jej. Traciła kontakt z rzeczywistością.

Wieczory autorskie też nie wносиły pod tym względem nic nowego. Stale była otoczona ludźmi, a mimo to samotna, bo ledwie przybyła do jednego miasta, już musiała wyruszać do następnego.

Jej oparciem była Jette. Ale się wyprowadziła. Żyła własnym życiem. Może dlatego Imke zaczęła się spotykać z Tilem. Inteligentnym i niezależnym mężczyzną. Nie narzucał się. Ale kiedy przebywał u jej boku, angażował się całkowicie. Miał wykształcenie psychologiczne. Początkowo ją to niepokoiło. Nawet teraz czuła, że ją obserwuje i analizuje, najczęściej zaś kiedy się kłócili.

Jette nie było, a Tilo rzadko wpadał z wizytą. Imke postanowiła nie wracać do ciszy w młynie. Włączywszy silnik, ruszyła w kierunku autostrady. W takim momencie warto wybrać się na zakupy. Połazić, wypić kawę albo herbatę, popatrzeć na ludzi i się odprężyć. A może sprawić sobie coś ładnego.

Wciąż jeszcze nie przywykła, że jest bogata. Zakupy w dalszym ciągu sprawiały jej przyjemność, poprawiały nastrój w trudnych chwilach. Na autostradzie dodała gazu. Była wolna. I wreszcie powinna zacząć się cieszyć tą wolnością.

Zdziwiony poczuł, że łzy spływają mu po twarzy. Od dawna nie płakał. Od dawna nie sprawiło mu to takiego bólu. Ze też tak się pomylił!

Miała twarz jak madonna. Włosy jak dziecko. A w jej oczach widział niewinność.

Czy przez cały czas go zwodziła? Czy dał się zaślepić? Może zignorował jakieś oznaki, które powinien dostrzec?

Przecież wszystko się zgadzało. Wydawało się doskonałe. Może nawet już ją pokochał.

Dlaczego nie miała cierpliwości? I zaufania.

Wcisnął twarz w poduszkę, żeby nikt go nie usłyszał. Suche, dojmujące łkanie przyprawiało go o ból w piersiach.

Byli na początku. I nie wiedzieli, że już zaczął się koniec.

*

Leżała tam jak te inne dziewczyny. Jej ciało także miało siedem ran kłutych. Włosy zostały krótko ścięte, choć zdaje się, że tak je nosiła. Nigdzie nie znaleziono pojedynczych kosmyków. Szeroko otwarte oczy zdawały się wpatrywać w niebo. To zdziwione spojrzenie. U wszystkich czterech ofiar. Nie do wytrzymania.

Ofiary. Bert często potykał się o słowo, które w sposób oczywisty wypowiadał tysiące razy. Ofiary. Jakby chodziło o krwawe daniny składane Bogu.

„Potrzebny nam nowy język - pomyślał Bert. - Taki który nie pozostawia przestrzeni dla konsternacji i niepewności". Odwrócił się i poszedł do samochodu. Należy poczekać na wynik obdukcji. A do tego czasu wystarczająco dużo zrobić. Znowu została uruchomiona cała maszyneria policyjnych procedur.

Najgorsze było powiadamianie najbliższych. Na to nie można się przygotować. Człowiek tracił grunt pod nogami, jakby pływał w głębokiej wodzie i nie miał się czego uchwycić.

Brutalność pierwszych zdań. Przerażenie na twarzach. Nagła bladość. Potem reakcja informowanych. Jedni płakali i krzyczeli załamani. Inni stali, jakby zakłęci w kamień.

W takich chwilach żałował, że nie potrafi być bardziej nieczuły. Czy może: bardziej profesjonalny. Niektórych kolegów pokrywał ochronny pancerz, jak druga skóra. Ciekawe, jak to się robi. Szczerze im tego zazdrościł.

Podczas dzisiejszej porannej narady pryncypał kilkakrotnie mówił o „naszym mordercy". Bert wiedział, że to jedynie puste słowa, użyte bezmyślnie, jak to robiło wielu policjantów. Mimo to miał ochotę się poderwać, by potrząsnąć szefem.

„Nasz morderca". W jakiś straszny, niewłaściwy sposób zabrzmiało to familiarnie. Nikt nie mówiłby o „naszych zamordowanych". Po której stronie stali?

Jeszcze nie wiedzieli, kim była denatka. Młoda, tak jak pierwsze ofiary, może nawet młodsza. Wciąż jeszcze miała twarz dziecka.

„Co za marnotrawstwo - myślał Bert. - Jakież bezsensowne niszczenie urody, młodości i siły". Odczuwał gorycz przy każdym zabójstwie. Zawsze zabierano coś, czego nigdy

nie będzie można zwrócić. Ile nadziei tracił świat wskutek przemocy, ile miłości i szczęścia. „Powinien o tym napisać ktoś taki jak Imke Thalheim” - stwierdził. Trzeba to powiedzieć ludziom. Żeby nigdy nie zapominali.

Denatka miała bardzo krótkie, najwyraźniej obgryzione paznokcie. Od razu zwrócił na nie uwagę. To go szczególnie wzruszyło. On sam też kiedyś nie mógł się od tego odzwycząić. Oduczono go z czasem. Skutecznie.

Jedną z metod wychowawczych polegała na smarowaniu opuszków palców musztardą. Jego ojciec używał też taśmy klejącej i płynnego kleju. Na noc przywiązywał ręce do brzegów łóżka. W przypadku recydywy za karę stawiał go pod zimnym prysznicem.

I bił go. Wciąż i bez końca.

Po dziś dzień starszynek nazywa to twardą szkołą. Nadal jest przekonany, że chciał jak najlepiej.

„Bez kary dziecka się nie wychowa”.

Czy ta dziewczyna miała podobne dzieciństwo? Bert tak przypuszczał. Przez te wszystkie lata, od kiedy wykonywał swój zawód, bez trudu rozpoznawał tych, których bito. I zamordowana do nich należała.

Kiedy wracał do biura, zastanawiał się, co łączy ofiary tych czterech zabójstw. Był pewny, że mają ze sobą coś wspólnego. Tylko musi to znaleźć.

*

Po długich dyskusjach postanowiliśmy z Merle pójść na policję. Bez skutku próbowałyśmy dodzwonić się do rodziców Caro, choć nie spodziewałyśmy się, aby u nich była.

W końcu Merle zaraziła mnie swoimi obawami. Miałyśmy niepisana zasadę, że jeśli któraś nie wracała na noc, uprzedzała o tym pozostałe. Gdy zapomniała, dzwoniła po drodze. Caro nie było w domu dwie noce i do tej pory się nie odezwała. Jej komórka milczała jak zaklęta, więc nie mogliśmy się z nią skontaktować.

Poszliśmy zawiadomić policję o zaginięciu współlokatorki. I wtedy wszystko wymknęło się nam spod kontroli.

Funkcjonariusz przyjmujący zgłoszenie porozmawiał z kimś przez telefon, a potem poprosił, byśmy poczekały na kolegę z policji kryminalnej, który ma kilka pytań. Zaprowadził nas do niewielkiego pokoju, gdzie stał jedynie stół i krzesła, i zaproponował coś do picia. Ale byłyśmy zbyt zdenerwowane i odmówiliśmy.

- Policja kryminalna? - zapytała Merle. - Dlaczego policja kryminalna?

- Komisarz wam to wyjaśni - powiedział mężczyzna i zniknął.

Siedziałyśmy w tym pustym pomieszczeniu, patrząc na pomalowane żółtą farbą ściany, na których nie wisiało nic poza całorocznym kalendarzem bez żadnych zapisków.

- Dlaczego policja kryminalna? - ponowiła pytanie Merle. W jej oczach czaił się strach. Oddychała szybciej niż zwykle, jakby miała astmę. Słyszałam tylko jej oddech, cichy szmer głosów za drzwiami i od czasu do czasu dzwonek telefonu.

Nie wiem, jak długo siedziałyśmy tam w milczeniu, zanim do pokoju wszedł mężczyzna, nie w mundurze, tylko w cywilnym ubraniu.

Podał nam rękę, przedstawiając się. To właśnie komisarz, na którego czekałyśmy. Nazywał się Bert Melzig.

Zadawał wszelkie możliwe pytania, w czasie składania zeznań obserwując nas spod przymrużonych powiek. Jak na ekranie.

Dlatego miałam przeczucie. Widziałam wystarczająco dużo filmów tego rodzaju. Dostałam kolki. Przez chwilę nie mogłam złapać oddechu.

Zdaje się, że Merle poczuła to samo. Jej twarz w jednej chwili się zmieniła. Przynajmniej tak mi się wydawało. Oczy stały się ciemniejsze. I ogromne. Chwyciła moją dłoń. Miała zdrętwiałe palce.

Komisarz okazał się sympatyczny. Polecił przynieść nam coś do picia - letnią herbatę, ciekłą i nieokreślonego koloru. Miała obrzydliwy smak, była zdecydowanie przesłodzona. Mimo to dobrze nam zrobiła. Pokrzepiła, jak kiedyś gorące kakao, gdy zimowymi popołudniami wracałam z zabaw na podwórku do domu.

Miała nas też przygotować. Na to, że film stał się rzeczywistością - najgorsze przeczucie się sprawdziło. Komisarz zapytał, czy jesteśmy gotowe zidentyfikować dziewczynę znaną przed południem.

- Nieżywą dziewczynę? — Merle zapytała bez sensu. Jednym haustem wypiła herbatę. Strach w jej oczach zamienił się w panikę.

W pokoju panował lekki chłód. Mimo to się spociłam; nad górną wargą Merle też zauważyłam krople potu. Jej pytanie odbiło się echem.

— Tak - odrzekł komisarz, patrząc na nas wyczekująco. Byłam mu wdzięczna, że nie ponaglał.

Szeroko otwarte oczy Merle mówiły „nie”. Jednak skinęła głową.

Siedziałam tam jak przykuta. Pozwoliłam przyjaciółce ściągnąć się z krzesła. Nogi się podę mną uginały. Żołądek podchodził do gardła. Podłoga stawała się jak z waty. Odgłosy albo ustały, albo przestałam je słyszeć.

Jechaliśmy kawałek samochodem. Nikt nie szepnął ni słowa. Za to też czułam wdzięczność. Potem się zatrzymaliśmy. Przeszliśmy przez parking. Gdzieś wyła wiertarka. W innym miejscu szczekał pies. Trzasnęły drzwi.

Chwyciłam przyjaciółkę za rękę. Mimo upału była lodowata, zimniejsza od mojej.

- Niech to szlag - rzuciła Merle. Przygryzła język.

Ścisnęłam jej dłoń. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym w tej chwili powiedzieć. Dygotałam tak strasznie, że musiałam zacisnąć zęby, by nimi nie szczekać.

Weszliśmy do starego budynku z cegieł. Przemierzyliśmy niekończący się korytarz z brudnymi ścianami. Jarzeniówki rzucały chorobliwie blade światło. Nasze buty skrzypiały na podłodze. Ten odgłos zupełnie tu nie pasował. Był też zbyt hałaśliwy.

Zwłoki dziewczyny, którą miałyśmy zidentyfikować, leżały już przygotowane, zakryte zielonym prześcieradłem. Pomyślałam: „Jakie to dziwne. Czy nie powinno być białe? Czy w dawnych opowieściach nie mówiło się, że śnieg przykrywał ziemię białym całunem?”

Czułam pulsowanie w uszach i szyi. Stopy nie chciały się poruszać. Najwyżej w przeciwnym kierunku. Ciało stało się ciężkie. Nogi ledwie mogły je unieść.

Palce Merle kurczowo zacisnęły się w mojej ręce. To straszne uczucie. Ale nie zdobyłam się na odwagę, żeby je puścić. Co by się stało, gdybym nie miała się kogo uchwycić?

Nikt mnie na taką sytuację nie przygotował. Nie dorosłam do niej. Po raz pierwszy od długiego czasu zatęskniłam za mamą. Podobno żołnierze na wojnie, umierając, wzywali swoje matki. Gdzieś o tym czytałam i było to wstrząsające. Taki sposób myślenia teraz wydał mi się nie na miejscu.

Ale co to znaczy: na miejscu? Nawet sama sytuacja była niewłaściwa. Nie przyszyliśmy na policję po to, żeby wylądować w tym strasznym budynku.

Poruszałyśmy się jakby w zwolnionym tempie. A mimo to za szybko. Zatrzymałyśmy się.

Komisarz popatrzył na nas, jakby oceniając, ile mamy radę znieść.

„Nie możesz od nas niczego wymagać — pomyślałam. - Pozwól odejść. Za bardzo się pośpieszyłyśmy. W tym czasie Caro pewnie wróciła do domu i aż się pali, by nam opowiedzieć o swoich przeżyciach. Nie ma potrzeby pokazywać nam tej nieżywej pod prześcieradłem. Jeszcze nigdy nie widziałam martwego człowieka. I nie chcę tego oglądać”.

- Jesteście gotowe? - zapytał.

Merle uczepiła się mojej ręki, potakując. Chciałam potrząsnąć głową, ale nie dałam rady. Moje „nie” tkwiło gdzieś we mnie bezdźwięcznie. Czy można w jednej chwili oniemieć? Na zawsze i na wieki? Dopóki...

Mężczyzna w zielonym fartuchu, który pojawił się nie wiadomo skąd, wyprostował ręce i zsunął nieco prześcieradło.

Szumiało mi w uszach. Merle mnie puściła, zaczęła się dławić i wybiegła. Słyszałam, jak wymiotowała.

Caro miała zamknięte oczy. Leżała biała i nieruchoma jak marmurowy posąg. Przestraszył mnie wyraz jej twarzy.

Wargi wydawały się większe niż zwykle. Spękane i dziwnie wyschnięte. Kąski ust lekko opuszczone, jakby ją coś bolało. Albo jakby pogardzała całym światem.

Jej ciemne włosy lśniły. Były jeszcze tak pełne życia, że przy nich jej blade oblicze wyglądało niczym twarz lalki.

Coś wydało mi się obce. To powstrzymało mnie przed dotknięciem Caro. Brakowało czegoś, co stanowiło jej znaczną część. Nie od razu to sprecyzowałam, ale po chwili odkryłam, co się zmieniło.

Caro nie była już clownem.

Na jej twarzy malowała się głęboka powaga, ostatecznie i nieodwołalnie.

Nie oddychała, nie śmiała się, nie podskakiwała nagle z okrzykiem: „Dałaś się nabrać!”. Jej ramiona stały się chyba jeszcze bardziej wystające. Delikatne ciało prawie nie odznaczało się pod prześcieradłem.

Łzy napłynęły mi do oczu. Pochyliłam się i pocałowałam ją w czoło. Komisarz łagodnie pociągnął mnie za ramię. Położyłam głowę na jego piersi. Przytulił mnie i pozwolił płakać.

Człowiek w zielonym fartuchu tymczasem zajął się Merle. Była prawie tak blada jak Caro. Ale inną bladością. Zaraz dojdzie do siebie. Caro nie. Caro nie żyje.

„Nie żyje”. Do tej pory to określenie było dla mnie jak każde inne.

Jeszcze raz się odwróciłam. Nagie, bezbronne ciało znów zostało zakryte.

- Niech ją pan w coś ubierze - powiedziałam do mężczyzny w zielonym fartuchu. - Ona zawsze szybko marznie.

Skinął głową.

Nie powiedział, że nieżywi nie czują już zimna. Sama tak pomyślałam. I to było o wiele gorsze.

*

Ciekawa dziewczyna, ta Jette, wyrazista, bezpośrednia i — kiedy potrzeba - o wielkiej sile. Dopiero w trakcie rozmowy na posterunku policji Bert się dowiedział, że jest córką Imke Thalheim, bo jej mama wróciła do nazwiska panińskiego, podczas gdy Jette po ojcu nazywała się Weingartner.

Dziewczyna nie była podobna do matki. Nie odziedziczyła jej urody i pewności siebie. Mimo to wydała się Bertowi fascynująca w zupełnie inny sposób niż pisarka. Sprawiała wrażenie powściągliwej, niemal nieśmiałej. Jej szczupła twarz raczej skrywała uczucia, niż je ujawniała. Ktoś, na kogo patrzyła, mógł poczuć, że go przejrzała.

Ale też rozumiała. Miała w sobie coś, co bez wątpienia każdego skłaniało do zwierzeń. Rodzaj dojrzałości niezwyklej jak na jej wiek.

Bert jechał do rodziców Caro. Jego samochód metr po metrze przesuwiał się w korku po autostradzie. Niebo pokryło się szarością. Upał minionych dni ustąpił miejsca chładowi, który Bert odczuwał jako przyjemny.

Inni uczestnicy ruchu wydawali się reagować na zmianę pogody rozdrażnieniem. Trąbili i wygrażali pięściami. W powietrzu czuć było przemoc.

Z biegiem łąt gliniarz potrafi wyczuć takie sytuacje. A Bert, wyczulony, doskonale rozpoznawał najmniejsze nawet zmiany. W pracy już od dawna kierował się instynktem. Unikał rozmów na ten temat z kolegami w stołówce czy wieczorami przy piwie, ale miał świadomość, że emocje często wskazywały mu

drogę, której długo musiałby szukać, gdyby zdał się jedynie na rozum.

Komisarz miał za sobą frustrujący dzień. Na porannej naradzie doszło do nieprzyjemnego starcia z szefem, który głośno domagał się wyników w sprawie Simone Redleff.

Tuż po zebraniu, jakby po to, by jeszcze bardziej rozsierdzić szefa, zgłoszono kolejne zabójstwo i Bert pojechał na miejsce zbrodni.

Zwłoki odkrył pies dziewczyny uprawiającej jogging. Znowu zbrodni dokonano w lesie, denatka - jak wcześniej

- leżała w poszyciu. Właścicielka zwierzęcia, studentka, która przyjechała na kilka dni do rodziców, blada siedziała nieruchomo na powalonym pniu drzewa. Nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, odpowiadała na pytania Berta piskliwym głosem, który co chwila się załamywał.

Przykryła ciało Caro swoją kurtką.

- Wiem, że niczego nie powinnam dotykać — powiedziała

- ale nie mogła przecież tak leżeć.

Bert kazał odwieźć ją do domu. Szła do samochodu na miękkich nogach, z psem na smyczy, z drugiej strony podtrzymywana przez policjanta. Morderca wtargnął także w jej życie, dziewczyna bowiem na zawsze zachowa w pamięci ten poranek.

Po powrocie do biura Bert poinformował szefa i znów usłyszał, jak tamten się wścieka. Zwołał kolegów, by omówić nową sytuację. Potem wszyscy rozeszli się do swoich zajęć.

Bert odetchnąwszy głęboko, zasiadł przy biurku. Trzeba będzie sporo się napracować, jak zwykle po zabójstwie

- telefony, rozmowy, dochodzenie. Zaczęło się od tego,

że naraził obie dziewczyny na szok z powodu śmierci ich koleżanki. W każdym razie teraz tożsamość ofiary była znana. Carola Steiger. Przyjaciółki nazywały ją Caro. Czułe, zawadiackie imię. Czy osoba, która je nosiła - nie, która wciąż je nosi - również taka była?

Bert usiłował dotrzeć do jej najbliższych, na próżno.

- Nie powiedzie się panu - ostrzegła go Jette. - Oni nie prowadzą normalnego życia. Caro zajmowało to czasem długie tygodnie, zanim skontaktowała się z kimś z rodziny.

Rodzice Caro mieszkali w szemranej dzielnicy i koledzy z obyczajówki byli tam stałymi gośćmi. Po sześć rodzin w jednym domu, łącznie osiemnaście budynków, połączonych po trzy. Szary tynk, pomazany graffiti, podmurówka pociemniała od plam wilgoci oraz kocich szczyń.

Cuchnęło okropnie. Mimo to kobieta na parterze rozwieszała bieliznę na balkonie. Miała około sześćdziesiątki, ufarbowane na pomarańczowo włosy i kaszel palaczki.

Bert, spojrzawszy do notesu, upewnił się, że stoi pod właściwym domem, i podszedł do wejścia. Tutaj odór go poraził. Starał się oddychać jak najpłycej, przelatując wzrokiem listę lokatorów przy drzwiach.

Tabliczkę z nazwiskiem zastępowała przekrzywiona kartka, zapisana ręcznie niezgrabnymi dużymi literami, przyklejona taśmą do paczek. Komisarz nacisnął guzik dzwonka. Cisza.

Postanowił dowiedzieć się czegoś od kobiety na balkonie.

- Halo? Odwróciła się.

- Dzień dobry. Szukam rodziny Steigerów. Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

- Nie ma pan szczęścia. - Dla niej to najwyraźniej wystarczająca odpowiedź. Z wielką gorliwością zabrała się znów do rozwieszania bielizny. Tania, czerwona i czarna, porozciągana koronkowa bielizna. Powypychane, zszarzałe od częstego prania męskie gacie. Poliestrowe topy w kolorowe wzorki i hawajskie koszule z krótkimi rękawami.

- Wie pani, kiedy mogę zastać Steigerów? Niechętnie opuściła silne ręce, trzymając w nich zdefaso-

nowany biustonosz. Nieufnie patrzyła Bertowi w twarz.

- Kto pyta?

Podszedł bliżej balkonu i wyciągnąwszy z kieszeni legitymację, pokazał jej.

Czytała powoli i w skupieniu. Jej wargi niemo formułowały sylabę po sylabie. Na ustach pękła bańka śliny. Potem splotła ręce na piersi.

- Kto mi powie, czy jest prawdziwa? Bert westchnął.

- Chcę tylko wiedzieć, kiedy mogę zastać rodzinę Steigerów.

Zawiesiła biustonosz i przesunęła stojak na bieliznę, wyciągając z kosza kolejną część garderoby.

-Ja bym ich nie nazwała rodziną. Lepiej by pasowało określenie: banda wariatów. Jedyna coś warta to Caro. Ale od wieków jej tu nie widziałam. - Dwoma, trzema szybkimi ruchami strzepnęła koszulę. - I ma rację. Tu nic by z niej nie było. Niech się pan rozejrzy. - Na chwilę zamarła bez ruchu i odwróciła się do Berta. — Coś się stało z dziewczyną?

Bert miał wprawę w wykręcaniu się od odpowiedzi niezobowiązującym tonem, gdy stawało się to konieczne.

- Czysto rutynowy wywiad - odparł wymijająco. Natychmiast wyczuła jego odmowę i znów nabrała dystansu.

- Oboje rodzice bezrobotni, brat w trudnym wieku. Więcej nie wiem, a nawet gdybym wiedziała, na pewno bym panu nie powiedziała.

Bert wierzył jej na słowo.

- Wielkie dzięki - odparł i dokładnie przyjrzał się domowi. Z otworów w skrzynkach pocztowych wystawały prospekty reklamowe. Dwie były częściowo zerwane ze ściany i wisiały krzywo na zaczepach, pozostałe mocno powyginane, jakby ktoś młotkiem wyladowywał na nich złość.

Przy schodach w trawie stał talerzyk z zaschniętymi resztkami karmy dla kotów. Pół metra dalej pusta butelka po wódce. Wokół czarnej psiej kupy bzycały muchy. Wybite okno na drugim piętrze zostało prowizorycznie załatane papą. Na szybie obok ktoś nabazgrał na czerwono: „Gówniany świat”.

„Caro - pomyślał Bert. - Jak tu sobie radziłaś?”. Znał przecież odpowiedź. Wcale sobie nie radziła. Wyrwała się stąd. Uciekła. Ratując swoje życie. Które potem straciła w lesie.

Na pierwszym piętrze na balkon po prawej stronie wyszedł młody człowiek z papierosem. Pod trzydziestkę, ocenił Bert, figura kulturysty, efektownie wystawiona na pokaz w czarnym podkoszulku. Oba ramiona pokrywały tatuaże. Oparłszy się o balustradę, znudzony patrzył w dół na Bertę.

- Może pan mi pomoże — zagadnął Bert. — Szukam rodziny Steigerów.

- Tutaj obok. - Młody człowiek wskazał mieszkanie sąsiadów. - Ale prawie nigdy nie ma ich w domu. Kalle znowu coś nawyprawiał?

-Kalle?

- Syn.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

„Caro i Kalle” - myślał Bert. Przed oczami pojawiło się szczupłe ciało ostatniej ofiary, jej pociągła twarz. Zastanawiał się, jak może wyglądać brat dziewczyny. Był niemal pewny, że jest wysoki, toporny i ciężki. Czy krucha Caro kochała tego grubo ciosanego człowieka?

Nonsens. Odsunął na bok rozmyślania. Może Kalle miał znacznie mniej lat niż siostra. Niezgrabny piegowaty chłopak z o wiele za długimi rękami i nogami, który tęsknił za Caro, przeklinał swoje pochodzenie i wciąż popadał w tarapaty.

Bert skinął głową młodemu człowiekowi i wrócił do samochodu. Ostatnie odroczenie dla rodziny. Potem będą musieli uporać się ze śmiercią Caro. Ze swoim bólem, smutkiem i poczuciem winy. Jakikolwiek życie wiedli, rozpadnie się ono na kawałki i pozbawi ich wszelkiej ochrony.

Przyjdzie im nie tylko pogodzić się ze śmiercią. Muszą dopuścić do świadomości fakt, że córkę zamordowano. To kolosalna różnica.

*

Właśnie pogrążyła się w pracy, gdy zadzwonił telefon. Niechętnie podniosła słuchawkę i spojrzała na wyświetlacz. To Jette.

- Skarbie, to bardzo niedogodny moment. Jestem akurat w miejscu, gdy Justin wbrew wszelkiemu rozsądkowi decyduje się wziąć pierwszy lepszy... Co się stało? Dlaczego płaczesz? Uspokój się, dziecko.

Łzy zawsze wzbudzały w niej strach, a zwłaszcza gdy był to płacz córki. Jette była inteligentną, opanowaną młodą kobietą. Nie miała skłonności do sentymentalizmu, a tym bardziej do biadolenia. Imke rzadko widziała ją łkającą. Nie przypominała sobie nawet, kiedy to zdarzyło się ostatni raz.

- Dziecko, jeśli nie przestaniesz szlochać, to nie zrozumie ani słowa.

To nie był płacz. To czysta rozpacz. Nie zapowiadała kłopotów sercowych, tylko coś przerażającego. Jette kompletnie nad sobą nie panowała.

- Kochanie! Uspokój się!

Raz tylko córka tak się zachowała. Miała wtedy osiem lat i jej kot wpadł pod samochód. Nie mogła przestać płakać i dostała tak wysokiej gorączki, że Imke musiała wezwać pogotowie.

Lekarz podał Jette środek uspokajający i zalecił kupno małego kotka. Smutek przy nowym zwierzątku nie zniknął, ale stał się łatwiejszy do zniesienia.

„Szkoda - pomyślała Imke Thalheim. - Problemów dorosłych nie da się tak łatwo rozwiązać jak problemów malców”. Zapragnęła, żeby córka znów była dzieckiem - wtedy mogłaby wziąć ją na kolana, pogłaskać, utulić w ramionach i zanucić jej piosenkę.

- Caro...

Teraz przynajmniej mama wiedziała, że miało to coś wspólnego z przyjaciółką córki.

- Co z nią, kochanie?

- Ona... ona... nie...

- Daj spokój, na pewno nie jest aż tak źle. Co z nią? Na wszystko znajdzie się rada. Trzeba tylko poszukać

spodosobu. Może Caro jest w ciąży. Z tym też można sobie poradzić. Z drugiej strony - gdyby chodziło o ciążę, Jette nie byłaby bezgranicznie zrozpaczona. Imke zaczynała odczuwać narastający strach.

-Jette! Powiedz wreszcie, co się stało!

Łkanie. Ochryple i konwulsyjne, jakby dziewczyna wyplakała już wszystkie łzy. Imke Thalheim miała ochotę na nią nakrzyczeć. Czasem to pomaga, gdy ludzie histeryzują. Ale czy jej córka rzeczywiście histeryzowała?

- Caro. Ona... nie żyje, mamo.

Imke w jednym momencie poczuła silny wstrząs i jednocześnie przypływ ogromnej czułości do córki.

- Nie żyje? Ale jak... Miała wypadek?

Jeśli ludzie tak młodo umierają, to tylko w wypadku. Nic innego nie przychodziło Imke na myśl. Przyjaciółka córki przecież nie chorowała.

Jette znowu zaczęła szlochać. Kiedy znowu mogła mówić, jej głos z każdym słowem cichł i stawał się wyższy.

- Ona... została... zamordowana.

Kobieta omal nie upuściła słuchawki. Z osłupieniem patrzyła w okno. Czowała się tak, jakby na zewnątrz ktoś nagle wyłączył wszystkie dźwięki. „A przecież piszę kryminały - pomyślała. - Codziennie zajmuję się mordowaniem i zabijaniem. Ale gdy dotyczy to kogoś znajomego, nie jestem w stanie tego pojąć”.

Jakając się i zacinając, Jette opowiedziała jej, jak się o tym dowiedziała.

- Zostań tam, gdzie jesteś - powiedziała Imke. - Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz u was będę.

Wyłączyła komputer, wsunęła buty i pięć minut później wyszła z domu.

*

Brakowało mu jej. Pozostawiła puste miejsce w jego życiu.

Widział ją przed sobą. Słyszał jej śmiech. Caro.

Wymyślała dla niego najpiękniejsze imiona. Romeo. Lwie Serce. Najukochańszy. Jorian. I darowała mu je jak kwiaty lub napisane przez siebie wiersze.

Jej ręce dziecka.

I nagle zmieniła się nie do poznania. Czerwone wargi, czerwone paznokcie, róż na policzkach. Umalowała się, robiąc z siebie kobietę.

To jeszcze jakoś przełknął. „Skoro jej się to podoba - pomyślał - niech będzie”. Jej zachowanie wydawało się sztuczne, nieprawdziwe. Nie odpowiadało mu. Ale wierzył, że miłość czyni wielkodusznym i tolerancyjnym.

Ale później...

Potem go pocałowała. W sposób, który uznał za odrażający. Wdrapała mu się na kolana, bezwstydnie jak kocica, sapiąc i pojękując, szeptała, że wystarczająco długo czeka.

W jednej chwili stała się jedną z wielu. Pierwszą lepszą dziewczyną w dowolnym mieście na każdym rogu.

Czerwone usta. Czerwone paznokcie. Wysoko zadarta spódnica.

Uległ jej namiętności.

Już po wszystkim leżeli obok siebie, ciężko dysząc. - A teraz - szeptała mu do ucha głosem pijanym ze szczęścia - teraz musisz mi zdradzić swoje imię. Zrobił i to.

Wypowiadała je na głos, wciąż na nowo, a on za każdym razem czuł, jakby wbijała mu nóż w brzuch. Splugawiony. Splugawiony. Splugawiony. Już nie była dziewczynką. Wszystko zbrukała.

Komisarz odwiózł nas do domu. Merle nie powiedziała ani słowa więcej. Wciąż była blada jak ściana. Chciałam ją odprowadzić do pokoju, żeby trochę odpoczęła, ale potrząsnęła głową.

- Ja zwariuję - wyszeptała. - Nie zostawiaj mnie samej, Jette. Sama oszaleję.

W końcu udało mi się ją namówić, by położyła się na kanapie w kuchni. Pozwoliła się przykryć i dzielnie wypila wódkę ziołową, którą jej podałam. Własnej roboty, przyniesioną przez kogoś.

Merle wlała ją w siebie jednym haustem, wstrząsając się.

- Be - skrzywiła się jak małe dziecko.

Też wypilaam łyk, prosto z butelki, ale alkohol wcale mnie nie rozgrzał, mdłości też nie ustąpiły.

- Usiądziesz przy mnie? - poprosiła słabym matowym głosem, przez co poczułam się bezradna. Przysunęłam krzesło i usiadłam.

- To nie była Caro - Merle ujęła moją rękę, ściskając mi palce. — Nie chcę jej tak zapamiętać. To nie była ona. Tylko jej cień, rozumiesz? - „Cień” nie wydawał się właściwym słowem. - Albo raczej jej powłoka.

- Nie dawała za wygraną. - Sama Caro dawno opuściła swoje ciało. - Merle czytała

wszystko, co wpadło jej w ręce na temat życia po śmierci. W tej dziedzinie była ekspertką, a jej niesamowite opowieści kosztowały Caro i mnie niejedną bezsenłą noc. - Przejście do innego świata - zrobiła znaczącą przerwę, jak zwykle, gdy mówiła o innym świecie - po nagłej śmierci jest szczególnie trudne. - Spojrzała na mnie, a w jej oczach dostrzegłam ból, który i ja czułam. — Ona nie była przygotowana, Jette.

- Co masz na myśli?

- W jednej chwili została wyrwana z życia. Teraz jej dusza nie potrafi się odnaleźć. Nie wie, gdzie jest jej miejsce.

- Przestań! — Nie wystarczy, że Caro została zamordowana? Miałam sobie jeszcze wyobrażać, że wciąż cierpiała w zaświatach? - Nie chcę o tym słuchać. — Merle znowu zaczęła łkać. Poglaskałam ją po ramieniu. Na więcej nie potrafiłam się zdobyć. Wiedziałam, że gdy ustąpi szok, sama też się załamie. - Zadzwoń do mamy? - zapytałam.

Merle lubiła moją mamę bardziej od swojej, to tajemnica poliszynela. Jej rodzice mieszkali w zaściankowym, wypucowanym na połysk domku szeregowym w zaściankowej, wypucowanej na połysk wsi z zaściankowymi, wypucowanymi na połysk cmentarnymi ogródkami.

Pojawili się w naszym mieszkaniu tylko raz, stali w korytarzu jak manekiny, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie znaleźli żadnych słów. Nawet gdy w miłej atmosferze piliśmy w kuchni kawę, do której specjalnie upiekliśmy ciasto.

Później okazali dezaprobatę. W ich opinii w mieszkaniu nie panował dostateczny porządek. Caro uznali za typ aspołeczny. Ja zaś w ich oczach byłam rozpieszczoną pannicą. Merle więcej ich nie zaprosiła.

- Tak - skinęła głową. - Zadzwoń do niej. Od razu.

Miałyśmy świadomość, że obarczamy mamę ogromną odpowiedzialnością. Ale czy nie od tego są matki? Zastanawiałam się nad tym, wybierając jej numer. Kiedy usłyszałam znajomy głos, poczułam, jakbym znowu miała cztery, pięć lat. Przytrafiło mi się coś strasznego i potrzebowałam pocieszenia.

Ledwie przeszło mi to przez gardło. Caro. Nie. Żyje.

Brzmiało to tak, jakby słowa wypowiedział ktoś inny. A ja je tylko cytowałam. Nie miały nic wspólnego ze mną. Z Caro i z Merle.

Ale byłyśmy w tym strasznym budynku. Widziałam, że ona nie żyje. Musiałam to tylko zrozumieć.

Jakimś sposobem udało mi się o wszystkim opowiedzieć mamie. Usiadłam znowu przy Merle i czekałyśmy.

Niecałe pół godziny później rozległ się dzwonek. Obie pobiegłyśmy do drzwi. Jakbyśmy mogły poczuć ulgę, zaledwie naciskając guzik domofonu.

Mama objęła nas, Merle prawym, a mnie lewym ramieniem. Płakała z nami. Tusz do rzęs zostawiał krzywe strużki na jej policzkach. Była podobna do arlekina.

Potem nas puściła, osuszyła łzy i pomaszerowała do kuchni.

— Teraz potrzebujecie espresso - powiedziała. - A potem czegoś do jedzenia. Co powiecie na pizzę?

Nie mogłyśmy nawet myśleć o jedzeniu.

- Merle, jaki jest numer do tej pizzerii, w której pracujesz? Zobaczycie, że dobrze wam zrobi coś ciepłego.

Dziarskie zachowanie nie zdołało jednak zamaskować smutku mamy. Poznawałam po oczach. Jej spojrzenie prześlizgiwało się badawczo z Merle na mnie. <■

Nieco później (Claudio zawsze dawał pierwszeństwo naszym zamówieniom) stały na stole trzy pizze, wypełniając kuchnię apetycznym zapachem. Stwierdziłyśmy, że faktycznie zgłodniałyśmy.

Jadłyśmy w milczeniu. Mama, dobrze wiedząc, że w domu zazwyczaj dysponowałyśmy tylko tanimi sikaczami, wyczarowała z torby dwie butelki bordeaux. Nalegała, byśmy się napiły. Sama poprzestała na jednym kieliszku, bo musiała prowadzić auto.

Wino błyskawicznie uderzyło mi do głowy. Nie złagodziło jednak smutku.

Po zjedzeniu połowy pizzy Merle odsunęła talerz i wypła duży łyk alkoholu, wpatrując się w kieliszek.

- Jak krew - powiedziała, a jej wargi zaczęły drżeć. Dziś pojawiło się wiele słów, których nie będziemy w stanie wymówić obojętnie.

Krew. Śmierć. Błada jak trup.

Może przestaniemy pić czerwone wino.

- Kogoś podejrzewacie? — zapytała mama ostrożnie, gdy Merle i ja byłyśmy już prawie pijane.

- Podejrzewamy? — Merle spojrzała na mamę błędnym wzrokiem.

Ja też nie od razu zrozumiałam pytanie. Ale potem wyparło inne myśli z mojej głowy. Mama pytała o zabójcę Caro.

Pozostawał wciąż na wolności. I możliwe, że go znałyśmy.

*

Imke nie czekała, aż dojedzie do domu. Wsiadła do samochodu, wygrzebała z torebki telefon komórkowy i zadzwoni-

ła do niego. Czasem opłacało się z przyzwyczajenia od razu wprowadzać każdy nowy numer.

- Melzig!

Wręcz opryskliwie rzucił nazwisko do słuchawki. Prawdopodobnie, nie, na pewno mu przeszkadzała. Było tuż po północy, normalni ludzie nie siedzą o tej porze przy biurku, czekając na telefony.

- Imke Thalheim.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Jakby to nazwisko go zaszokowało. Nie traciła czasu na uprzejmą pogawędkę, tylko krótko i zwięźle dała upust swojemu oburzeniu.

- Jak pan mógł to zrobić? Narażać dziewczyny na tak okrutną procedurę?

Nie przeproszał, nie szukał wymówek.

- Było mi bardzo przykro - powiedział. - Jak one się czują?

- A jak mają się czuć? - Imke aż gotowała się ze złości. Jej głos drżał.

- Właśnie od nich wracam. Są wykończone, doszczętnie przybite.

- Są młode. Uporają się z tym.

Miał rację i ona o tym wiedziała. Denerwowało ją, że zareagował tak spokojnie i rozsądnie, podczas gdy ona zachowała się jak prychająca ze złości kotka.

- Pani córka to godna podziwu młoda kobieta - stwierdził. — Proszę się nie martwić. Jest silna.

Dlaczego reaguje na jego słowa z takim oburzeniem? Bo nie stwarza jej pola do ataku?

- Łatwo panu mówić - ofuknęła go. - Od pańskich dzieci, jeśli pan je ma, nikt nie wymaga, żeby identyfikowały za-

mordowaną przyjaciółkę. Pańskie dzieci nie będą przeżywały koszmarów. I pańskim dzieciom - na tę myśl ogarnął ją lodowaty strach - pańskim dzieciom nie grozi niebezpieczeństwo.

- Co pani ma na myśli?

- Mam na myśli to, że zabójca Caro mógł bywać w mieszkaniu dziewcząt. Czy to takie nieprawdopodobne?

- Nie da się tego wykluczyć.

- Nie da się wykluczyć! Cudownie! Co zamierza pan teraz zrobić? Jak będzie je pan chronił?

- Powiedziałem, że nie można tego wykluczyć, ale nie uważam tego za prawdopodobne. Pani Thalheim, proszę mi zaufać. Gdy tylko ochrona okaże się konieczna, zrobimy to.

Zakończyła rozmowę i włożyła telefon do torby. Poczula w oczach łzy. Powstrzymywała je przez cały wieczór, teraz opanowanie się wyczerpało. Płakała w ciemnym wnętrzu samochodu, dopóki nie poczuła się lepiej.

Energicznie wydmuchwała nos i zaczęła się zastanawiać. Czy to odpowiedzialne, aby zostawiać dziewczęta same w mieszkaniu?

- Jedź spokojnie, mam - powiedziała Jette, a język plątał jej się od wina, i wręcz popychała matkę w stronę drzwi. -Dziękuję za pomoc. Teraz Merle i ja same sobie poradzimy.

Czy Imke powinna im zaproponować, by zamieszkały razem z nią, dopóki zabójstwo Caro się nie wyjaśni?

Nie. Młyn stał zbyt daleko na uboczu. W tej samotni dziewczęta znalazłyby się w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Jeśli morderca je znał. Co nie było pewne.

Imke wychyliła się, żeby spojrzeć w górę na okna mieszkania. Wszędzie ciemno. Czyli poszły prosto do łóżka. I po-

grążą się w głębokim, mocnym śnie, dzięki wypitemu winu. Głęboki i mocny sen. W mieszkaniu w środku miasta. W domu, w którym lokale wynajmuje dziesięciu lokatorów. Co miałyby się im stać?

Jeszcze raz wyczyściła nos, uruchomiła silnik i włączywszy światła, ruszyła. Ulice były wyludnione. Jakby strach zatrzymał wszystkich w domach.

Nonsens. Dochodziła już pierwsza w nocy. Ogródki piwne i knajpy przy ulicach pozamykano. Padał drobny deszcz. Zrobiło się chłodno. O wiele za zimno jak na lipcową noc.

Na drodze krajowej panowała nieprzenikniona ciemność. Imke włączyła przycisk centralnej blokady drzwi. Tak na wszelki wypadek. Dopiero co czytała o kobiecie, na którą napadł jakiś mężczyzna, gdy samochód czekał na czerwonym świetle. Po prostu otworzył drzwi i wtargnął do środka.

Nastawiła radio. Muzyka oderwała ją od złych myśli i paskudnego uczucia, że nie potrafi sprostać życiu.

Gdy skręcała na podjazd, światło reflektorów padło na mury. Młyn tak niespodziewanie wynurzył się z ciemności, że Imke ze strachu wstrzymała oddech. Była zbyt spięta. Potrzebowała spokoju. I snu.

Odstawiła samochód do szopy i weszła na żwirową dróżkę. Przy każdym kroku rozlegał się głośnie chrzęst żwiru. Zmuszała się, by iść wolniej. Nie chciała sprawiać wrażenia wylęknionej, na wypadek gdyby ktoś obserwował ją z ciemności.

To właśnie jej sposób na chronienie siebie. Nikt nigdy nie widział jej strachu.

Zdążyła dotrzeć do schodów, gdy znienacka wyłonił się cień. Jej serce przestało bić. Zasłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

Cień zamiauczał żałościwie i otarł się o jej nogi.

— Edgar! - Z ulgą pochyliła się i podniosła kota. - Ale mnie przestraszyłeś. - Zniosła go do środka. Postawiwszy zwierzę na podłodze, zaryglowała drzwi, spuściła wszystkie rolety i wszędzie pozapalała światła.

W domu. Bezpiecznie.

Myślała o Caro. Tym razem płakała jedynie nad dziewczyną, która była najlepszą przyjaciółką jej córki.

Nowa ofiara kolekcjonera łańcuszków

Zabójca osiemnastoletniej Simone Redleff prawdopodobnie znów zaatakował. Jego ostatnia ofiara to również osiem-nastolatka, uczennica Carola Steiger z Brohl. Uczęszczała do liceum im. Ericha Kastnera, którego nauczyciele i uczniowie są głęboko poruszeni śmiercią dziewczyny.

Komisarz policji Bert Melzig potwierdził wspólne cechy potwornych czynów: w obu przypadkach ofiarę zabito w lesie, w obu wypadkach siedmioma ciosami nożem, obu dziewczynom skradziono łańcuszki.

Powołano specjalną komisję do wyjaśnienia tych zabójstw oraz dwóch zabójstw w północnych Niemczech (informowaliśmy o tym wcześniej). Kieruje nią komisarz Melzig. Nagrodę wyznaczoną za udzielenie wskazówek umożliwiających schwytanie mordercy zwiększono do siedmiu tysięcy pięciuset euro. To zapewne przyczyna niezliczonych telefonów, jakie codziennie odbiera policja. Żaden nie naprowadził jednak na gorący trop.

W naszych miastach i wsiach szerzy się panika. Tak będzie, dopóki policja nie zacznie skuteczniej działać.

Ten artykuł był straszny. Wiedziałam doskonale, że wywoła u ludzi po części przerażenie, po części dreszczyk ekscytacji, który pojawia się przy czytaniu opisów makabrycznych morderstw, gdy samemu się tego uniknęło, a gazetowa historia opowiada o kimś nieznanym. Czytelnik ma przytulne miejsce w łoży. Stamtąd nie doświadcza niebezpieczeństwa. Zagrożenie wydaje się nierzeczywiste.

Widząc pełne imię Caro, zdziwiłam się, tak jak za każdym razem, gdy je słyszałam. „Carola” nie bardzo do niej pasowało, było zbyt pocziwe, o wiele za grzeczne. Ale nie zastanawiałam się nad tym, bo artykuł mnie rozwścieczył. Roilo się w nim od ogólników. Zdania przeskakiwały od jednego frazesu do następnego.

„Wskazówki. Nagroda. Sprawca. Morderca. Ofiara. Schwywanie. Gorący trop”. Pojęcia, które setki razy czytałam lub słyszałam. Ale nic dla mnie nie znaczyły. Chodziło o Caro. A ona tak naprawdę nie pojawiała się w żadnym z tych zdań.

Tytuł wydał mi się niesmaczny. *Nowa ofiara kolekcjonera łańcuszków*. Jakby cały świat był wielkim kinem. A my postaciami w fabule wymyślonej przez chory umysł. Artykuł nie miał nic wspólnego z dziennikarstwem, to pogoń za tanią sensacją.

Potworne czyny - jedynie przez owo pojęcie przebijało człowieczeństwo. Widocznie redaktor na chwilę wypuścił z rąk szablon i wyobraził sobie śmierć Caro.

Zapisałam jego nazwisko. Hajo Geerts. Zadzwonię do niego albo napiszę. Później. Może. Kiedyś.

Merle poszła do szkoły. Nie wytrzymała w mieszkaniu. Ze mną zaś było odwrotnie. Ukryłam się jak chory kot, liżąc rany.

Na każdym kroku odczuwałam brak Caro. Wciąż ją widziałam. W kuchni, w łazience, w korytarzu. Jak siedzi w moim fotelu. Słyszałam jej śmiech. Czułam jej perfumy.

Wszędzie znajdowałam jej rzeczy, grzebień, szczoteczkę do zębów i szlafrok, buty, które zawsze niedbale zrzuciła, kopiąc na bok, porozrzucane w nieładzie czasopisma. Nawet w lodówce stały jeszcze jogurty Caro.

Ani Merle, ani ja nie zdobyłyśmy się na odwagę, żeby wejść do pokoju przyjaciółki. Zamknęłyśmy nawet drzwi. Klucz tkwił w zamku i odnosiłam wrażenie, jakby ktoś niewidzialną farbą napisał na drzwiach: Caro nie żyje.

Wciąż na nowo, niemal z uporem wyobrażałam sobie, jak umierała.

Całkiem sama. Przepelniona strachem.

Męczyły mnie wyrzuty sumienia. Gorączkowo się zastanawiałam, co robiłam w chwili, gdy moja przyjaciółka została zamordowana. Tamtego wieczora byłam we młynie, brałam udział w realizacji telewizyjnego portretu. Odgrywałam rolę córki sławnej osoby tak dobrze, jak tylko umiałam, i posłusznie uśmiechałam się do kamery, cierpliwie odpowiadając na wszystkie pytania. Jeszcze ten cały operator. Mówili na niego Lucky. Wydawało mi się to niedorzeczne. Choć fascynujące. Unikałam patrzenia na niego, ale kątem oka śledziłam każdy jego ruch. Czułam wzrok mężczyzny, jego zainteresowanie.

Podczas gdy ja flirtowałam, Caro umierała? Czy dopiero w nocy, gdy leżałam w swoim dawnym łóżku we młynie i wymyślałam historie, w których Lucky i ja odgrywaliśmy główne role?

Jakim cudem ktoś, kogo kochamy, może umrzeć, a my tego nawet nie czujemy?

Odłożyłam gazetę na stół w kuchni, przeszłam do swojego pokoju i rzuciłam się na łóżko. Czułam się, jakbym w czasie snu zrozumiała, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Ale się nie przebudziłam. Moją głowę opanowało jedno tępe uczucie, filtrując wszystkie myśli.

„Caro nie żyje - wciąż wracało do mnie jak bumerang. -Została zamordowana”.

To tylko myśli. Wyłącznie. Nie dopuszczałam ich do siebie. Może nadal chronił mnie szok. Jak długo jeszcze?

*

Bert niechętnie rozłożył gazetę. Po co w ogóle czyta te artykuły? Przecież zawsze są takie same. Jakby w każdym z tych przypadków nie chodziło o czyjś wyjątkowy los.

Patetyczne przywoływanie paniki szerzącej się w miastach i wsiach uznał jedynie za niesmaczne, a sugestię, że policja śpi i nie wykonuje swoich obowiązków, za bezczelną.

Kilka razy miał do czynienia z tym redaktorem. Twarz jedna z wielu. Nie z takich, które zapadają Bertowi w pamięć, pomijając północnoniemieckie nazwisko, przypominające mu dzieciństwo. Ten Hajo Geerts zadawał rutynowe pytania i wyciągał rutynowe wnioski.

„Ani odrobiny kreatywności - pomyślał Bert. -1 za grosz wycucia językowego. A przecież nawet małe lokalne pismo mogłoby tętnić życiem”.

Jemu samemu w zasadzie było obojętne, co pisze prasa. Ale nie szefowi. Bert czasem przypuszczał, że przełożony oceniał sukces swoich pracowników wyłącznie na podstawie przeglądu prasy. I to nie tylko z powodu próżności. Chodziło tu również o zaspokojenie wybujałych ambicji.

Bert wypił kawę, pocałował Margot i udał się do garażu. Dzieci poszły już do szkoły. Wczoraj pracował długo w nocy, dlatego dzisiaj wstał godzinę później.

- Musisz rozsądnie gospodarować swoimi siłami — niedawno znów przypomniał mu Nathan. - Nie żartuję, Bert. Jesteś idealnym kandydatem do zawału.

Po tym, jak na rozkaz przyjaciela w wyniku męczącej procedury rzucił palenie, dźwigał na sobie siedem kilogramów nadwagi. Nic dziwnego, przy jego trybie pracy. Całymi dniami siedział. Prawie nigdy nie chodził pieszo. Ledwie miał czas na normalny obiad. Najczęściej zjadał za ledwie szybki posiłek w jakiejś budce albo kanapkę w samoobsługowej kawiarni (z dużą ilością remolady, która wypływała spod sera i szynki). Same puste kalorie. Za dużo tłuszczu. Żadnego błonnika.

Nie żeby się bardzo zastanawiał nad swoim stylem życia. Ale Nathan wciąż wypominał mu wszystkie grzechy. Także Margot, która od lat przygotowywała pełnowartościowe potrawy.

Samochód zaskoczył dopiero za trzecim razem. Prawdopodobnie zapłon jest źle ustawiony. Albo zapowiada się poważna usterka. Od początku mieli pecha z tym autem. Pochłaniało majątek.

W drodze na autostradę Bert próbował przygotować się na spotkanie z przełożonym. Szef znowu zacznie wymachiwać gazetą, potem rzuci ją na stół i będzie wpatrywał się w Berta z poczerwieniałą twarzą. Szefa też należałoby uznać za kandydata do zawału. W niektóre dni jego ciśnienie zapewne osiągało rekordowe wartości.

Reprimenda nie potrwa jednak długo. Na dziesiątą Bert wezwał na rozmowę rodziców Caro. Woleli przyjść do biura.

Dobrze to rozumiał. Kiedy pojechał do nich drugi raz, *żeby* powiadomić ich o śmierci córki, zobaczył mieszkanie, którego widoku tak szybko się nie zapomina.

Na wszystkich blatach w ciasnej kuchni piętrzyły się brudne naczynia. Tapety i zasłony pożółkły od nikotyny. Nad niskim stołem w pokoju dziennym unosiły się błękitne smugi dymu.

Bert naliczył tam osiem kotów, śpiących we wnękach dębowej meblościanki albo wtulonych w fotele. Jeden bez ruchu obserwował oświetlone akwarium pokryte zielonym nalotem.

Matka Caro, krępa zaniedbana kobieta, paliła jednego papierosa za drugim, nieustannie głaszcząc czarnego kota, który leżał obok niej na kanapie. Jej mąż chodził po pokoju w tę i z powrotem.

- Wiedziałem, że kiedyś coś takiego się stanie. — Powtarzał to zdanie jak zaklęcie.

Pytania Berta trafiały w pustkę. Nie umieli lub nie chcieli na nie odpowiedzieć. Nie nalegał. zaproponował inny termin rozmowy.

- Ale nie tutaj - zaprotestowała matka Caro. I znowu pogrążyła się w milczeniu.

W drodze do samochodu Bert myślał o zamordowanej. Cóż za wyczyn, by uciec z tego koszmarnego środowiska. Dokładnie sobie wyobrażał, ile było w jej życiu winy i pokuty. Takiego dzieciństwa nie można było przetrwać bez blizn. „Dzielna dziewczyna” - pomyślał ze współczuciem.

Teraz znów to sobie przypominał, uwięziony w korku na autostradzie. Kto pozwala sobie na luksus mieszkania na wsi, pracując w mieście, musi płacić za to cenę. Włączył

radio. Jeden z tych nowych elektronicznych zespołów. Nie mógł zapamiętać jego nazwy. Pojawiały się nagle i równie szybko znikwały z pola widzenia. Czy Caro lubiła ten rodzaj muzyki? Czy często chodziła na dyskotekę? Postanowił ponownie odwiedzić jej przyjaciółki i przyjrzeć się pokojowi zabitej dziewczyny.

Wszystko wymagało czasu. Chociaż to rozumiał, niekiedy czuł niepokój, bo każdego dnia morderca mógł znaleźć nową ofiarę.

Let me tell you something - śpiewał miękki męski głos.

Zdarzały się chwile, gdy różne płaszczyzny rzeczywistości nie przystawały do siebie. To właśnie jeden z takich momentów. Morderstwo i muzyka. Czy istniały większe przeciwieństwa?

*

Widział ją we śnie.

Jeszcze żywą. I tak niewyobrażalnie młodą.

Śmiała się. Odrzuciła głowę do tyłu i zanosila się śmiechem.

To właśnie kochał w niej szczególnie.

I zuchwałość. Spontaniczność. Tak też żyła.

Przypominała mu, jaki smak ma szczęście. Gdy czasami nawet to czuł.

„Nawlecz te chwile na łańcuszek i zawieś go sobie na szyi - myślał we śnie. - Żebyś o niej nigdy nie zapomniał”.

Prawie mu się udało. Ale wtedy się obudził. Łzy spływały mu po policzkach. Tęsknił za nią. O Boże! Jak bardzo mu jej brakowało.

Nie wyglądał jak funkcjonariusz policji kryminalnej, w każdym razie nie tak, jak go sobie wyobrażałam. Chociaż bardzo dokładnie wszystko obserwował. Miał żywą, pełną skupienia twarz i przenikliwy, uważny wzrok.

Merle zaproponowała mu kawę. Podniósł się, stając za nią, bo zafascynował go ekspres do kawy. Jego bliskość wprawiała Merle w zakłopotanie. Była wojowniczą obrończynią zwierząt. Dzieliły ich całe światy.

Mimo to odpowiadając na pytania, wyjaśniała mu poszczególne funkcje maszyny. Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle i prawie po każdym zdaniu robiła przerwę. Skoro Merle w taki sposób mówiła, to znaczy, że miała się na baczności.

- Cud techniki - stwierdził pełen podziwu, wziął od Merle pierwszą filiżankę, zaniósł do stołu i postawiwszy przede mną, usiadł po lewej stronie.

Zmieniły się także ruchy Merle. Stały się gwałtowne, niedokładne. Kawa się przelała. Chciała ją wytrzeć, ale ścierka wypadła jej z ręki.

„Tak można ściągnąć na siebie podejrzenia” - pomyślałam. On zauważył, że z nią jest coś nie tak. Ale pewnie będzie

przypuszczał, że biedaczka wciąż jest w szoku. A może to prawda? Obie nie wiedziałyśmy, jak przetrwać ten dzień. Nie próbował nawiązywać towarzyskiej pogawędki.

- Jak się czujecie? - zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi, gdyż nie istniały słowa na opisanie stanu, w jakim się znajdowałyśmy.

Merle, która się do nas dosiadła, wzruszyła ramionami. Kiwnął głową.

- Wyobrażam sobie, jak się czujecie.

- Ach, pan też kogoś stracił? - rzuciła Merle. Patrzyła mu w oczy. Znałam ten rodzaj spojrzenia. Był czystą prowokacją. Czyżby chciała się z nim pokłócić?

- Nie. - Spokojnie odpowiedział na jej zaczepkę. — Ale często mam do czynienia z ludźmi w waszej sytuacji. - Merle uniosła filiżankę do ust. Drżała jej ręka, więc odstawiła kawę. - Przyszedłem zadać wam kilka pytań - powiedział. - Potem chciałbym jeszcze raz obejrzeć pokój Caro.

A przecież jego ludzie zrobili to już wyjątkowo skrupulatnie. I on przy tym był. Wszystkiego dotykali, przesuwali meble, otwierali każdą książkę. Szczególnie dużo czasu komisarz poświęcił albumowi ze zdjęciami naszej przyjaciółki.

Na fotografiach wydawała się taka żywa, bliska. Jakby w tej chwili miały otworzyć się drzwi i ona by weszła. „Zgadnijcie, kogo spotkałam!”.

- Wie pan, gdzie jest jej pokój. - Nie miałam ochoty mu towarzyszyć, tak samo Merle.

- Węszyciel - syknęła pogardliwie, gdy zniknął w pokoju Caro. - Zabrali nawet jej pamiętnik. Czy w ogóle im wolno?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli to im w czymś pomoże? Chyba też chcesz, żeby złapali mordercę.

Spojrzała na mnie oczami pełnymi złości.

- Zastrzeliłabym bydlaka.

- Może lepiej zostawić to nam? — Nie słyszałyśmy, kiedy komisarz wszedł do kuchni. Przysiadł się do stołu.

- Chce pan zastrzelić mordercę Caro? - zapytała Merle. Najwyraźniej chciała z nim zadrzeć.

- Nie - odparł spokojnie. - Ale postaramy się, żeby został ukarany.

- Piętnaście lat w miłej pojedynczej celi z książkami i telewizorem, odpowiednio dobranym wyżywieniem, opieką lekarską i wszystkim, czego mu potrzeba? Albo może tylko trzy lata w psychiatryku z powodu ograniczonej poczytalności.

- Jego życie w areszcie nie będzie tak przyjemne - stwierdził komisarz. - Nawet zamknięte drzwi i zakratowane okno mogą człowieka doprowadzić do szaleństwa.

- A potem napisze wspomnienia i będzie występował jako pożądany gość w każdym talk-show? - Merle gwałtownie odsunęła krzesło i wstała. - Niech pan sobie wsadzi gdzieś tę całą karę! — Po tych słowach wyszła z kuchni.

Popatrzyłam, jak odchodzi, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Pobiec za nią? Siedzieć tutaj?

- Daj jej czas - poradził.

- Właściwie wcale taka nie jest - próbowałam wyjaśnić. - Nienawidzi przemocy, jest gorącą przeciwniczką kary śmierci. Nawet wykonanie zwykłego wyroku odrzuca jako okrutne. Nie wiem, co w nią wstąpiło.

Już mówiąc to, zorientowałam się, że to nieprawda. Merle akceptowała przemoc, jeśli była stosowana w słusznej spra-

wie. Bardzo się zmieniła, odkąd dołączyła do wojujących obrońców zwierząt. W ryzykownych akcjach pod osłoną mgły i nocy uwalniali zwierzęta z laboratoriów badawczych, a jeśli ktoś im stanął na drodze, nie mieli żadnych oporów, by się z nim krótko rozprawić, spuszczać mu łomot. Ale nie mogłam przecież powiedzieć o tym człowiekowi, który stał po przeciwnej stronie barykady.

— Chętnie spróbuję odpowiedzieć na pańskie pytania — zaproponowałam. — A jeśli będzie nam potrzebna Merle, ściągnę ją z powrotem.

Komisarz się zgodził. Chciał wiedzieć właściwie wszystko. Jaki stosunek miała Caro do własnej rodziny? Jak wyglądały kontakty ze szkołą? Czy pracowała w wolnym czasie? Czy prowadziła uregulowane życie? Co wiedziałam o jej sprawach sercowych? Czy miała stałego chłopaka? Czy ostatnio zauważyłyśmy u niej jakieś zmiany?

— To mogą być drobiazgi, które wydają się wam zupełnie nieważne - wyjaśnił.

- Nie była szczęśliwa - stwierdziłam. - Chociaż niedawno się zakochała. Ale coś się nie układało.

Jego wzrok stał się czujny, a ja opowiedziałam mu o dziwnym przyjacielu Caro. O jej obawie, że może jest gejem, i o tym, że nie znała jego imienia.

Brzmiało to niedorzecznie, ale przecież to prawda.

Opowiedziałam, że moja przyjaciółka wymyślała dla niego coraz to nowe imiona. Że zabraniał jej mówić o tej znajomości. I żądał, by poczekała.

- Poczekała? Na co?

Niezręcznie mówić o tym z obcym mężczyzną. Płatałam się.

- On jej nie. .. tknął — powiedziałam, czując, jak się czerwienię.
- Ach tak. - Komisarz wędrował wzrokiem po kuchni, dając mi czas na ochłonięcie.

- Jak długo się znali, Caro i ten młody człowiek?

- Kilka tygodni, dokładnie nie wiem. Nie mam też pojęcia, czy ten człowiek jest młody. — Rzeczywiście niewiele mogłam o nim powiedzieć i żałowałam, że nie nakłaniałam wcześniej przyjaciółki do zwierzeń.

Komisarz mnie obserwował. Wyobrażałam sobie, co myślał.

- To nie tak, że każda była zajęta tylko swoimi sprawami - usiłowałam mu wyjaśnić. — Rozmawiałyśmy o wszystkim. Ale dopiero wtedy, gdy któraś z nas miała taką potrzebę. Wie pan, tym właśnie różni się nasze życie od mieszkania z rodzicami: nikt nas do niczego nie zmusza.

- Jak często Caro spotykała się z tym mężczyzną? - zapytał komisarz.
Wzruszyłam ramionami.

- Po raz pierwszy robiła z tego tajemnicę.

- Mówisz, że nie wiesz, czy ten człowiek jest młody. Czy to znaczy, że trudno ocenić jego wiek?

- Nie. Chodzi o to, że nigdy go nie widziałyśmy, Merle i ja.

- Nigdy nie przyszedł do tego mieszkania?

- Był tu. Czasem nawet nocował. Ale nie natknęłyśmy się na niego.

- Jak myślisz, dlaczego Caro go przed wami ukrywała?

- Zabronił jej o nim mówić.

- Powiedziała wam dlaczego?

— Chciał najpierw mieć pewność. Wiedzieć dokładnie, że w ich przypadku naprawdę chodzi o miłość.

Komisarz przez chwilę się nad tym zastanawiał. Ulicą przejechał wóz policyjny albo karetka pogotowia na sygnale. „Za późno - pomyślałam. - Już nikt nie może udzielić pomocy Caro”.

— Czy twoja koleżanka zawsze tworzyła tak skomplikowane związki?

— Miała problemy z facetami. Z większością zrywała po krótkim czasie. - Mógł to źle zrozumieć. Na przykład że Caro była łatwa. - Rozpaczliwie szukała miłości swojego życia.

— Tak to określała?

Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie, co mówiła na ten temat.

— Dokładnie tak. I wierzyła, że właśnie tę miłość znalazła.

— Czyli ona była pewna? Tylko jego nie opuściły wątpliwości?

Kiwnęłam głową. Zadałam sobie pytanie, skąd ten sceptycyzm u ukochanego Caro. Miał za sobą równie ciężkie życie jak ona, z tego mi się zwierzyła. To zrozumiałe, że nie podchodzi się wtedy do drugiej osoby bez obaw.

Ale jeśli tą osobą była Caro? Caro, która wolała po raz setny rozbić sobie nos, niż robić coś na pół gwizdka?

— Gdzie znajdę tego mężczyznę?

Dobre pytanie. Gdybym to wiedziała, dawno już bym go odwiedziła. Żeby porozmawiać z nim o Caro. Zadać mu kilka pytań.

— Nie wiem - powiedziałam. - Bardzo mi przykro.

Komisarza interesowały jeszcze inne rzeczy. Chciał wiedzieć, kiedy ostatni raz ja widziałam Caro, a kiedy Merle. Czy miałyśmy kontakt z jej rodzicami. A może w minionych tygodniach otrzymywałyśmy dziwne telefony. Czy widziałyśmy jakichś obcych przed naszym domem. Udzielałam odpowiedzi najlepiej, jak potrafiłam. Potem spostrzegłam, że z wyczerpania zaczęły mi drżeć ręce. On również to zauważył, więc się pożegnał. Gdy schodził po schodach, drewniane stopnie skrzypiały pod ciężarem kroków.

Zapukałam do Merle. Leżała na łóżku, słuchając muzyki, obejmując poduszkę ramionami.

- Nie ma go? - zapytała drżącym głosem.

- Tak. Właśnie poszedł.

- To dobrze. - Nieco się rozluźniła. - Przepraszam, że zostawiłam cię samą, Jette.

- W porządku.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego?

Owszem. Poznałam przybliżony czas śmierci Caro. Umarła między północą a trzecią nad ranem. Szeptem powiedziałam to przyjaciółce. Głośno może byłoby dla nas za trudno.

I coś jeszcze przekazał mi komisarz.

- Zostanie pochowana w poniedziałek - dodałam cicho. Merle ukryła twarz w poduszce i załkała. Położyłam się

obok i przyciągnęłam ją do siebie. Zastygłyśmy przytulone.

- Wiesz, jakie były ostatnie słowa, które skierowała do mnie? - zapytała po chwili. - Powiedziała, że jestem straszną wariatką. - Roześmiała się i wciągnawszy powietrze, zaśmiała się znowu. - Z powodu Claudia, wiesz? Stary temat. - Jej nerwowy chichot zamienił się w szloch. - Ze też akurat Caro musiała tak powiedzieć, co?

- Tak. Akurat Caro. - Pragnęłam móc wybuchnąć łzami, jak Merle. Zamiast tego czułam ból głowy. Albo żołądka. Czasem bolała mnie każda pojedyncza kość.

- A jakie były jej ostatnie słowa do ciebie? Pamiętasz?

- Podziękowała... za naszą przyjaźń. Merle wpatrywała się we mnie.

- To brzmi jak pożegnanie, Jette!

- Nie, to po prostu kwestia chwili. Przedtem opowiadała o tym facecie. Wyznała, że beznadziejnie się w nim zakochała.

„Dopóki śmierć nas nie rozłączy”. -Jette! Co ci jest?

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy, Merle. v -Co?

- Caro tak powiedziała. Kiedy mówiła o swojej miłości. Merle znów się rozplakała.

- Myślisz, że miała przeczucie?

Wcale tak nie uważałam. Ale może podświadomie odczuwała coś, czego nie chciała widzieć. „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

- Posłuchaj, Merle — zaproponowałam. — Spróbujemy odszukać tego typu.

Skurczyła się przerażona.

- Myślisz, że to on?

Przy tym wyobrażeniu nareszcie poczułam łzy. Merle objęła mnie ramieniem, mocno przytulając.

- Mam nadzieję, że to nie on - zaprzeczyłam, opanowując się nieco. — Ale na pewno może trochę rozświetlić ciemność.

Rozświetlić ciemność. Zaczynałam już mówić jak postaci z powieści mamy.

Gdy tego wieczoru Bert jechał do domu, autostradę zamknięto z powodu wypadku, a gęsty ruch z zastojami przetaczał się po drodze krajowej i przez małe miejscowości, zupełnie do tego nieprzygotowane. Komisarza bolała głowa, czuł ucisk w żołądku. Wyłączył radio, czując, jak napięte nerwy w jednej chwili się uspokajają.

Czasem pragnął wykonywać pracę, w której nie musiałby z nikim rozmawiać. Głos miał zdarty od ciągłego mówienia. Oczy piekły. I czuł wyczerpanie z powodu ciągłej koncentracji koniecznej podczas przesłuchań.

Najprzyjemniejsza z wszystkich obowiązków okazała się rozmowa z córką pani Thalheim. Zastanawiał się nad zachowaniem jej przyjaciółki, tej Merle. Postępowała, jakby miała wyrzuty sumienia. Z jakiego powodu? Nie sądził, by miało to coś wspólnego z morderstwem. Na wszelki wypadek będzie miał tę dziewczynę na oku.

Najbardziej wykończyła go wizyta rodziców Caro. Zimni jak sople lodu. Bez uczuć. Kobieta zakopciła mu gabinet, jej mąż, tak jak podczas pierwszej rozmowy, bezustannie chodził w tę i z powrotem z rękami splecionymi na plecach.

Oboje mówili krótkimi urywanymi zdaniami, nie z rozpaczy, tylko, jak się zdaje, z przyzwyczajenia. Zachowywali się agresywnie, mieli pretensje do Boga i całego świata, a także do nieżyjącej córki.

- Takimi jak my nikt się nie zajmuje - powiedziała pani Steiger. Nie wyjaśniła, co miała na myśli, po prostu rzuciła uwagę w przestrzeń.

Caro w oczach rodziców dopuściła się zdrady. Wyniosła się z domu, wykręcając od odpowiedzialności. I rzuciła się

na szyję bogatej pannicy, córce tej autorki bestsellerów, jak jej tam, wszystko jedno.

- ...i wstydziła się nas.

Córka zadzierała nosa. Zawsze uważała się za kogoś lepszego. I stale siała niezgodę.

- ...aż w końcu i Kalle był przeciwko nam.

Brata w tym czasie nie udało się znaleźć. Zniknął. Gdzieś. Nie obchodziło ich, gdzie się zatrzymał, jak żył, czy może popadł w tarapaty.

- ...jest dostatecznie dorosły. Wie, co robi.

Za nędzę rodziny winę ponosiła opieka społeczna. Urząd do spraw Młodzieży. Kurator, który nie zadbał, by Kalle zaprzestał włamań. Może postarają się o udział w talk-show. Żeby wreszcie wyrzucić z siebie złość.

Czy znali przyjaciół Caro?

- Nie interesowali nas. Już w wieku dwunastu lat stała się zdziwą.

W pierwszej chwili Bert pomyślał, że się przesłyszał. Jednak ojciec dziewczyny naprawdę tak powiedział. Zdzira. Już w wieku dwunastu lat.

Bert miał ochotę rzucić się na tego mężczyznę. Uratował go profesjonalizm. Odgrodził się. W tym miał wprawę. Zamykając się w sobie, filtrował okrutne słowa, by nie mogły dotrzeć do najwrażliwszych pokładów jego duszy. To strategia niezbędna, żeby przetrwać. Wiedział o tym już jako dziecko.

Nawet mu się udało uśmiechnąć do rodziców Caro. Mechaniczny gest, nadzwyczaj pomocny, żeby kogoś skłonić do mówienia.

Dali się na to nabrać. Nie spodziewał się niczego innego.

Uważnie ich wysłuchał, zważając na intonację. Steigerowie kreślili obraz córki, naznaczony brakiem miłości oraz ich wieloletnią nieufnością, niepoohamowaną przemocą i wciąż wyczuwalną złością. Bert rozumiał, dlaczego Caro uciekła.

Wiedział, ile odwagi to wymagało. I to aż za dobrze, bo sam się na nią nie zdobył. Dzień w dzień cierpiał z powodu wybuchów ojca. Dzień w dzień żył w strachu przed nim. Co miał zrobić? Nie mógł zostawić matki samej.

Ojciec traktował żonę i syna jak własność. „Trzeba im podciąć skrzydła! - wrzeszczał. - Żeby nie byli zuchwali!”. Ale nie podciął im skrzydeł. Tylko je złamał.

To trwa długo, zanim zranione skrzydła się zagoją. Czasem bolą jeszcze po wielu latach.

Wyglądało na to, że Caro przeżyła podobną odyseję. Bertowi przypomniał się widok jej nagiego ramienia i ścisnęło go w gardle.

- Czy od dawna się okaleczała?

Pani Steiger spojrzała na niego ponuro.

- To tylko takie wygłupy.

- I co? - Bert z trudem się opanował. - Czy córka otrzymała pomoc?

- Od jakiegoś konowała od psychiki? - Ojciec się roześmiał. - Tylko takiego nam jeszcze brakowało.

W biurze nagle zrobiło się duszno, nie tylko od liczby wypalonych papierosów. Bert gwałtownie otworzył okno. Stopniowo tracił panowanie nad sobą. Pora zakończyć tę rozmowę.

Zrobił to bez ceregieli. Otworzył im drzwi, na pożegnanie tylko skinął głową. Za nic na świecie nie mógłby podać im teraz ręki.

Wykonywał swoją pracę i starał się nic nie czuć.

Łatwo powiedzieć. Emocje miał pod kontrolą tylko wtedy, gdy był w dobrym humorze. Dobry humor. To się zdarzało rzadko.

Caro sprawiała, że udawało mu się zapomnieć. Caro i jej naiwne mrzonki.

Bo oczywiście nigdy nie istniało nic więcej niż to. Teraz doskonale wszystko pojmował. Nie żyła rzeczywistością. To go fascynowało. Zabierała go na wycieczki w świat, jaki sobie stworzyła. W krainę bez przemocy, głodu i wojen. Gdzie panuje pełna harmonia.

Początkowo przypuszczał, że brała narkotyki. Ale to nieprawda. Nie potrzebowała takich rzeczy. Sama z siebie była zwariowana. Szalona w sympatyczny, czarujący i rozbrajający go sposób.

Jego matce Caro nie przypadłaby do gustu. Nie nawiązałyby dobrego kontaktu. Według mamy dziewczęta powinny być ciche, skromne i nie wolno im zwracać na siebie uwagi. Ona sama tak właśnie próbowała się zachowywać przez całe życie.

Na próżno. Spod wygładzonej fasady wciąż przebijał obraz dziewczyny zakochanej na zabój. Z konsekwencjami, które zaważyły na jej całej przyszłości.

Dla Georga Caro była objawieniem. Uosabiała wszystko, czego szukał w partnerce. Młoda, piękna, dziecinna i czysta. Jej wiara w dobro w człowieku miała coś niewypowiedzianie wzruszającego, co zaskakiwało, biorąc pod uwagę jej pozbawione miłości dzieciństwo.

- Z tobą — mówiła w jego ramionach — z tobą wszystko mi się uda, może nawet pogodzę się z rodzicami.

Lubił jej słuchać. Uwielbiał brzmienie tego głosu, bardziej dorosłego niż ona sama. Lubił także, gdy milczała zamyślona. Z Caro cisza stawała się znośna.

Truskawki. Proste, niekończące się rzędy roślin. Pomiędzy nimi dłonie, ramiona, pochylone plecy, włosy, słońce, upał, pot, dźwięki, słowa i śmiech. A ponad wszystkim intensywny zapach dojrzałych owoców.

Georg pracował w milczeniu. Nie miał już nikogo, z kim mógłby je dzielić. Więc siedział w ciszy samotnie.

To był zły dzień na pogrzeb. Świeciło słońce. Głosy ptaków nakładały się na siebie. Miałam wrażenie, że jeszcze nigdy nie widziałam tak błękitnego nieba.

Wszystko pachniało latem. Wydawało się, jakby przesiąkł nim nawet stary mur cmentarny, w którego szczelinach zamieszkały porosty i mech. Dochodziła jedenasta, ale panował już taki skwar, że asfalt na drogach niemal parował.

Szłyśmy z Merle pieszo. Czuliśmy, że tak trzeba. Chciałyśmy jak najbardziej świadomie towarzyszyć Caro w jej ostatniej drodze. Dlatego zdecydowałyśmy się nie korzystać z samochodu czy autobusu.

Ostatnia droga. Nigdy nie rozumiałam tego wyrażenia. Doprowadziło mnie do płaczu wczesnym rankiem, kiedy, już nie śpiąc, leżałam w łóżku.

- Powinnyśmy były czuwać przez noc przy Caro - oznajmiła z wyrzutem Merle. Zasnęła z tym zdaniem i z nim się przebudziła. W czasie pomiędzy nimi walczyła z poczuciem winy.

- Przecież robili sekcję — wyjaśniłam jak za każdym razem. - Poważnie myślisz, że zwłoki zostały wystawione?

- Nawet nie zapytałyśmy. — Przyjaciółka mrużyła oczy w słońcu. - A teraz nie możemy tego zmienić.

Wzięłam ją pod rękę.

- Przestań się zadręczać, Merle. Chciałyśmy we wspomnieniach zachować Caro taką, jaką ją znałyśmy za życia.

Gwałtownie skinęła głową. Desperacko chwyciła się każdej deski ratunku.

- Poza tym byśmy się spóźniły. - Merle wyjaśniała mi kiedyś, że zmarli jeszcze jakiś czas po śmierci słyszą i czują. Ważne, żeby wtedy przy nich być, rozmawiać i ich dotykać. - Caro już za długo nie żyła. Po takim czasie wcale by nas nie czuła.

Obie walczyłyśmy ze łzami. Resztę drogi przebyłyśmy w milczeniu.

Jeśli sądziłyśmy, że będziemy pierwsze, to się myliłyśmy. Parking zapełnił się lśniącymi w słońcu samochodami. Przed domem pogrzebowym ludzie stali w małych grupkach. Większość ubrana na czarno. Gdzieś dało się dostrzec białe albo barwne plamy, mieniające się jak kwiat.

Były prawie wszystkie równoległe klasy z naszego rocznika. I Mellenböck, jeden z nauczycieli.

- Akurat on - szepnęła Merle. - Nie dosyć krzywdy wyrządził Caro?

Teoretycznie uczył fizyki. Jeśli można tak powiedzieć, bo na jego zajęciach zazwyczaj zajadaliśmy ciasto - musieliśmy je przynosić, gdy zapomnieliśmy pracy domowej albo książki.

Mellenböck kogoś takiego jak Caro zaliczał do ludzi drugiej kategorii, otwarcie to okazując. Za każdym razem, gdy Caro musiała przynieść ciasto, wybierała dla fizyka specjalny kawałek, który opluwała.

Ignorując nauczyciela, weszliśmy do domu pogrzebowego i usiadliśmy w drugim rzędzie.

Trumna stała w powodzi kwiatów i wieńców. Została zrobiona z drewna dębowego, z zimnymi zawiasami wyglądała surowo i okrutnie. Nie łagodziła tego nawet wiązanka z białych róż, która przykrywała sporą część pudła. Między bukietami kwiatów i wieńcami ustawiono lichtarze. Płomyki świec migotały w przeciągu.

Pomieszczenie zaciemniono i wyglądało teraz, jakby wraz ze światłem usunięto z niego życie.

Caro nie żyła. Ale była wielbicielką słońca. Ciemność napawała ją smutkiem. Zawsze rozpraszała mrok, zapalając świece.

To miejsce nie spodobałoby jej się mimo świec. Kwiaty pachniały śmiercią. Pełgające płomyki nie tworzyły przytulnego nastroju. Całość zaaranżowano jako chłodne nabożeństwo, od którego ścisnęło w gardle.

- Nie wytrzymam tego - szepnęła Merle.

- Owszem. Wytrzymasz. - Słyszałam, że moje słowa nie dodawały otuchy, zabrzmiały szorstko, prawie jak rozkaz.

Ławki się zapełniały. „Jakie to dziwne - myślałam. - Caro, która od zawsze nie cierpiała tłumów, po śmierci przyciągnęła tylu ludzi”.

Pierwszy rząd przez długi czas pozostawał pusty. Potem weszli rodzice Caro i Kalle. Kamienne twarze. Nieruchoma bladość. Brat zmarłej szukał naszego spojrzenia, uśmiechając się niepewnie. Widać było, że płakał.

Nieco później zjawili się krewni. Hałaśliwie zajmowali miejsca. Rozglądali się bez skrępowania, szepcząc między sobą i wnosząc w ciszę niepokój.

Pastor zajął miejsce przy mównicy i kartkował grubą księgę, leżącą przed nim. Merle i ja pod koniec uroczystości pogrzebowej zdecydowałyśmy się wygłosić krótką mowę. Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl, że mam wstać, przejść do przodu pośród spojrzeń wszystkich zgromadzonych i na dodatek jeszcze mówić. Merle najwyraźniej czuła to samo. Jej dłoń była mokra od potu. Mimo to trzymałam ją mocno.

Słowa. Modlitwy. Muzyka. Caro lubiła słuchać gospel, a w gminie była nawet taka grupa, która zgodziła się tu zaśpiewać. Pomieszczenie wypełniły piękne głosy i miałam nadzieję, że Caro być może skądś je słyszy.

Potem pastor skinął na nas i przeszliśmy do przodu.

- Ty mów — szepnęła do mnie Merle. Wsunęła mi do ręki przygotowaną kartkę.

Ugięły się pode mną kolana. Patrzyłam na pełne oczekiwania twarze, nieco rozmazane, jakby widziane przez mgłę. Miałam obawy, że zaleję się łzami.

Ale w tym momencie całkowicie się uspokoiłam. Nieoczekiwanie dla siebie wiedziałam, co powinnam powiedzieć. Zmięłam kartkę.

- Caro - zaczęłam, przez chwilę wsłuchując się we własny głos - nie wiem, czy mnie widzisz i słyszysz. Chciałabym. Bo mam ci coś do powiedzenia.

Nie układałam sobie tych słów. Mimo to nie bałam się, że się zatnę i nagle zamilknę. Załatwiałam sprawę między tragicznie zmarłą przyjaciółką a sobą i chciałam ją doprowadzić do końca.

- Nie umarłaś zwyczajnie. Zostałaś zamordowana. - Przez rzędy przeszedł pomruk, szmer, poruszenie. Ale nie zamie-

rzałam się powstrzymać. — Ciekawe, jakie wyjaśnienie wymyśli sobie na to Bóg. Choć on przecież nie rozmawia z ludźmi. I nie musi też usprawiedliwiać tego, na co pozwala. - Kątem oka widziałam, jak pastor podrapał się po twarzy w geście bezradności, bo przy wszystkich nie chciał mi przerywać. - Jeszcze tyle rzeczy zamierzałaś w życiu zrobić. Przede wszystkim chciałaś być szczęśliwa. - Merle chwyciła mnie za rękę. Zauważyłam na jej twarzy łzy. - Twój morderca wciąż pozostaje na wolności. Może myśli, że uda mu się uniknąć odpowiedzialności. Nie jestem gotowa mu wybaczyć. Nienawidzę go i brzydzę się nim. Zadał ci ból. Odebrał ci życie. - Merle wytarła oczy. Zobaczyłam, jak ludzie sięgają po chusteczki do nosa. Napotkałam zaniepokojone spojrzenie mojej mamy. Ale jeszcze nie skończyłam. - Muszę ci coś oświadczyć: będę go szukać. - Ludzie szeptali między sobą. Było mi to obojętne. — Nie spocznę, dopóki nie znajdzie się za kratkami. Chcę, żeby poniósł karę za to, co ci zrobił. To obietnica, Caro, a wiesz, że zawsze dotrzymywałyśmy słowa. Znajdę tego człowieka.

Po ostatnim słowie spokój mnie opuścił. Zaczęłam drzeć na całym ciele.

*

Wstrząsające sceny podczas pożegnania Carroll

Wczoraj przy licznych udziale zgromadzonych na leśnym cmentarzu pochowano ostatnią ofiarę kolekcjonera łańcuszków, Carolę Steiger. Dom pogrzebowy nie pomieścił natłoku żałobników, którzy przybyli pożegnać się z brutalnie zamordowaną dziewczyną, tak więc część osób musiała stać na zewnątrz.

Wśród żałobników była także autorka bestsellerów Imke Thalheim. Jej córka, Jette Weingartner, bliska przyjaciółka ofiary, wygłosiła przejmującą mowę pożegnalną, w której groziła zabójcy, że go odnajdzie i ukarze.

Ta zapowiedź wywołała skandal. Po wystąpieniu pastor Friedhelm Offtermatt w dobitnych słowach zwrócił się przeciwko postawie nacechowanej myślami o zemście i odwecie. Wezwał żałobników do modlitwy za mordercę Caroli, który - tu cytat - „zszedł na manowce”.

W zamieszaniu, jakie następnie powstało, Jette Weingartner i jej koleżanka wstały i opuściły dom pogrzebowy. Wielu żałobników wyszło w ślad za nimi i czekało na zewnątrz, by towarzyszyć konduktowi w drodze do miejsca pochówku.

*

Resztę Bert sobie darował. Czytał ten artykuł tyle razy, że znał jego słowa na pamięć. Wyjątkowo Hajo Geerts nie przesadził. Z nieznanymi powodów zrezygnował nawet z nadania wydarzeniom rangi sensacji.

„Skandal” i „zamieszanie” były niewinnymi określeniami wrzawy, jaka wybuchła po ostatnich słowach pastora.

- Proszę! - wołał pastor. - Proszę państwa! Proszę się uspokoić! To uroczystość pogrzebowa!

- Właśnie! - Komisarz usłyszał za plecami głos jakiegoś mężczyzny. - Pogrzebowa! Niech pastor o tym pamięta!

Bert życzył Caro godnej, stosownej uroczystości pogrzebowej. Już żałował, że wymknęła się spod kontroli, przyszło mu na myśl, że właśnie te zderzające się ze sobą, sprzeczne emocje były stosowne.

Zamordowano dziewczynę. To potworne. Właściwa reakcja to coś więcej niż kilka biblijnych mądrości.

Bert przypuszczał, że powściągliwość redaktora miała związek z Jette. Jej wystąpienie wywarło duże wrażenie. Wyrazisty głos wypełnił dom pogrzebowy po ostatni zakamarek. Dobitne słowa dotarły do każdej osoby.

Także do komisarza. Podziwiał jej odwagę. I wytrwałość Merle. Chociaż nie mogła powstrzymać łez, nie odstępowała koleżanki na krok. Mimo szacunku, jaki Bert odczuwał wobec obu dziewczyn, ich zachowanie go zezłościło. Jette jednoznacznie groziła mordercy. „Akurat tego mi jeszcze brakuje - myślał Bert - dwa anioły zemsty, które wchodzą mi w paradę”.

Coś mu podpowiadało, że przysięgi Jette nie należy lekceważyć. Ta dziewczyna mówiła to, co myślała. Po pierwsze, może sprawiać trudności policji, a po drugie sama może narazić się na niebezpieczeństwo.

Wstał i podszedł do tablicy korkowej, zajmującej w jego biurze niemal całą powierzchnię ściany między drzwiami a oknem. Bert używał jej, by uporządkować myśli.

Przypinał tam wszystko. Zdjęcia ofiar zabójstw i miejsc, w których znaleziono ich zwłoki. Wycinki z gazet. Karteczki z nabazgranymi myślami. Rysunki łańcuszków, jakie nosiły zamordowane dziewczyny. Plan okolicy z krzyżykami w miejscach, gdzie popełniono morderstwa. Taką samą mapę północnych Niemiec.

Czasem komisarz wymieniał jedną czy drugą kartkę. Na tablicy wciąż coś się działo. Każde wydarzenie zmieniało jej wygląd.

Koleżanka towarzysząca Bertowi na pogrzebie Caro dyskretnie robiła zdjęcia żałobnikom aparatem cyfrowym. Komisarz wydrukował niektóre z nich i również je przyszpilił.

Było raczej nieprawdopodobne, by morderca wmieszał się w tłum. Czasem zdarzały się i takie przypadki. Niejeden zabójca zachowywał się jak artysta, który ogląda swoje ukończone dzieło i przedstawia je publiczności.

Zwykle Bert bez większych trudności umiał wejść w umysł mordercy. Potrafił też zrozumieć motywy ich postępowania. „W każdym z nas tkwi morderca - myślał. - Tylko większość nie chce tego przyznać”.

Przyglądał się zdjęciom z pogrzebu. Sami porządni ludzie, wspólnie oplakujący zmarłą. Tak ich wielu, że obca twarz wcale nie zwróciłaby uwagi.

A jeśli sam zabójca oplakiwał Caro? Jaki miał stosunek do dziewczyn, które pozbawiał życia? To przypadkowe ofiary? Czy je znał?

„Może nawet je kochał - doszedł do wniosku komisarz. - Nawet za bardzo. Albo za mało”. Usiadł z powrotem przy biurku i otworzył pamiętnik Caro.

Jej pismo już dobrze znał - szybko stawiane niezgrabne litery, lekko pochylone w lewo, jakby w każdej chwili groziło im przewrócenie się do tyłu. Litery typowe dla pamiętnika, nieupiększone i szczere. Dziewczyna najwyraźniej była przekonana, że nikt nigdy nie przeczyta jej najskrytszych myśli.

Posługiwała się prostym językiem, bez ozdobników czy eufemizmów. Czasami skarżyła się na los, opisywała niechęć wobec ludzi. I nienawiść do siebie.

Bo dla siebie nie była łaskawa. Nie lubiła siebie. I nie oczekiwała, że życie będzie ją rozpieszczać.

Dopóki nie poznała tego mężczyzny. Wtedy zaczęła się dla niej uczuciowa huśtawka.

i lipca

Wypełnia Każdą moją myśl. Frunę-, unoszę się jak na skrzydłach motyla. Czuję się tak, jakbym znała go od zawsze-. A pofo-m znowu wydaje-mi się kimś obcym. Może tak jest, kiedy naprawdę się kocha.

Wcześniejsi faceci przy nim biedną. Co ja w nich widziałam?

On na mnie patrzy, a ja milknę pod jego spojrzeniem. Ola niego zrobiłabym wszystko, naprawdę wszystko.

3 lipca

Md mało czasu. Tęsknię za godzinami, kiedy mogę go widzieć. Testem spragniona jego głosu, zapachu jego skóry, tych nielicznych dotknięć, na które mi pozwala.

Nie rozumiem, dlaczego tak dziwnie się zachowuje. Jakby się bał moich rąk i ust. Najchętniej by na mnie patrzył. Nieustannie. Aż z zakłopotania zaczynam się śmiać.

4 lipca

Dziś znowu go nie widziałam. Stracony dzień. Czarno. Czarno. Czarno. Cudzie jesteś, ukochany? Nawet nie znam jego imienia.

5 lipca

Pocałował mnie! Nareszcie! Jego oddech miał smak lata i słońca.

Stan zakochania powodował, że stawała się liryczna. Bert ostrożnie przełożył następną kartkę. Każde jej słowo było takie żywe, kipiące, pełne nadziei i szczęścia. Stopniowo jednak narastały wątpliwości.

11 lipca

Dlaczego nikomu nie- mogę- o tym opowiedzieć? ?o raz pierwszy okłamuję Jette i Merle. Ale on chce trzymać to w tajemnicy. Mówi, że miał złe doświadczenia.

Złe doświadczenia! To ma być żart? Moje życie to patchwork zszyty z samych fatalnych przeżyć.

7 lipca

Jakbyśmy tylko odgrywali naszą miłość. Dla niewidzialnej publiczności. Jak gdyby ktoś już dawno z góry ustalił przebieg scenariusza.

*Mogę mówić, co chcę - on mnie nie słucha. „Jeszcze za wcześnie”.
-To jego odpowiedź. Za każdym razem.*

Potrafi być bardzo czuły, ale czasem zachowuje się w sposób odpychający, brutalny. Wtedy patrzy na mnie wzrokiem, którego się boję. Wciąż jeszcze nie rozumiem, dlaczego jego uczucia tak szybko się zmieniają. Przecież musi być jakaś przyczyna.

8 lipca

Kocham, kocham, kocham go!

1 lipca

Nie lubi, kiedy się maluję. Albo seksownie ubieram. Nie obchodzi go moda. I jest bardziej staroświecki od papieża. Ale nawet to w nim kocham.

Nie cierpi, kiedy za głośno mówię albo się śmieję. Uważa, że to ordynarne. Nie wiedziałam, że są mężczyźni, którzy jeszcze używają tego słowa. Czasem mówi jak postać i powieści Rosamunde Pilcher.

Właściwie wiele rzeczy mu się nie podoba. Ale dobrze, że mi o tym mówi. Dzięki temu nie muszę go niepotrzebnie denerwować. „

10 lipca

Myślę, że nie podobałoby mu się też, gdyby wiedział, że piszę pamiętnik. Nie mogę mu o tym pod żadnym pozorem powiedzieć! & o nie zrezygnuję z moich zapisków nawet dla niego. Przez te wszystkie lata pomagały mi przeżyć.

„Przeżyć”. Komisarz wyszedł na korytarz, stanął przed automatem do kawy i wrzuciwszy monetę pięćdziesięciocentową, obserwował, jak wyskakuje brązowy plastikowy kubeczek. Maszyna wydała kilka odgłosów, jakby za chwilę zamierzała wyzionąć ducha, a potem wypłuła kawę cienkim strumieniem.

„Może - myślał komisarz, kosztując gorącego napoju i powoli wracając do pokoju — może zbyt pochopnie stawiam na ten ślad. Cóż, nie mam niczego innego”.

Intuicja podpowiadała mu, że powinien odnaleźć mężczyznę, o którym Caro pisała w pamiętniku, człowieka zaprzatającego wszystkie jej myśli. Nie był to normalny związek.

Bert przypomniał sobie pierwsze tygodnie z Margot. Kiedy ją wreszcie zdobył, nie posiadał się ze szczęścia. Całe dni trwał w uniesieniu, działając na nerwy wszystkim wokół. Nie wyobrażał sobie, że mógłby nie mówić o swoim zakochaniu. Chybaby eksplodował.

11 lipca

Chciałabym pisać sonety. O nim. O sobie. O nas. I zrzucacie na całe miasto z samolotu. Żeby je wszyscy przeczytali. Żeby każdy wiedział - to jest mężczyzna, którego kocham.

A ja nawet nie mogę o tym mówić.

- A Jette i Merle? - zapytałam go. - Zawsze ze wszystkiego się sobie zwierzałyśmy.

- To tylko na krótko - powiedział, patrząc na mnie tak, że serce zaczęło mi trzepotać jak schwytyany ptak. - Fotem możesz to nawet wydrukować w gazecie.

Przytulił mnie, a ja miałam ochotę rozpiąć mu koszulę. Ale mocno chwycił mnie za rękę i pocałował. A potem zaczął o czymś mówić i nastrój przysł.

Bert w zamyśleniu pił kawę. Miała zadziwiająco dobry smak jak na napój z automatu. Może kofeina pobudzi jego umysł. Czuł się powolny i ociężały.

Godzinę później zamknął pamiętnik Caro i odłożył go na bok. Musi za wszelką cenę zachować obiektywność. Historia tej dziewczyny za bardzo go porusza. To niedobrze. Najważniejsze w tej chwili jest chłodne spojrzenie na sprawę. Tylko w ten sposób może schwytać mordercę. Los ofiary nie powinien go za bardzo rozczulać.

Myślał o pociągłej drobnej twarzy Caro. O jej szczupłym ciele. Szpiczastych ramionach. Obgryzionych paznokciach. Bliznach na rękach i nogach.

Z westchnieniem przysunął do siebie teczkę z dokumentami tej sprawy - była już dość gruba. Najchętniej zająłby się czymś innym, żeby odpocząć, ale papiery leżące na biurku dotyczyły wyłącznie tej zbrodni.

W tym momencie do pokoju weszła koleżanka. Odruchowo i bez powodu na nią warknął. Zmarszczyła brwi zdziwiona. Od lat stanowili zgrany zespół, znali swoje zalety i słabości, jak stare małżeństwo.

- Przepraszam - mruknął skruszony. - Nie wiem, dlaczego tak się przejąłem tą sprawą.

Znał jednak powód - Caro była bardzo podobna do niego. Cierpiała tak samo jak on. Ale to nie powinno nikogo obchodzić.

Imke Thalheim bała się o córkę. Próbowwała przepędzić strach, jak robiła z każdym uczuciem, które zagrażało wewnętrznemu spokojowi. Zwykle pomagało jej w tym pisanie.

Po pogrzebie wróciła do młyna, nakarmiła koty, zaparzyła herbatę, mieszankę Zimowy Czar, choć do zimy jeszcze daleko, i zabrała filiżankę na taras, żeby wprawić się w nastrój do pisania.

Jednak bez powodzenia. Przez cały dzień nie była w stanie zmusić się do jakiegokolwiek działania, poza zamartwianiem się. Zatelefonowała do matki, potem do Tila, który pojechał na kongres do Amsterdamu. Rozmowy także nie podniosły jej na duchu.

Po bezsennej nocy postanowiła spędzić czas na tarasie, z kolejną filiżanką Zimowego Czar. Może dzisiaj napisze kilka zdań.

W tym roku pełnia lata nastąpiła bardzo wcześnie. Dosłownie płonęła na łąkach. Imke obserwowała pasące się w spokoju owce oraz rozleniwione koty, które wylegiwały się w cieniu stodoły. Myszołowa siedzącego na słupie ogrodzenia, nieruchomo odwzajemniającego jej spojrzenie.

Znajome widoki dawały ukojenie. Mimo wszystko nie udawało im się przesłonić strachu otaczającego Imke jak gruby mur. Dlaczego córka chciała się tak narażać? Postradała rozum?

Zwracać się bezpośrednio do mordercy. Ba, nawet mu grozić!

Poczuła chłód. A jeśli ten człowiek siedział wśród gości w domu pogrzebowym? Może słuchał Jette, a nawet przyjął jej wyzwanie.

Imke poczuła, że drętwieją jej dłonie. Odstawiła filiżankę na stół i zaczęła masować palce. Jak napisać choćby jedno zdanie, kiedy nie można się pozbierać?

Rozległ się dzwonek. Wstała i weszła do domu, żeby otworzyć drzwi.

Na zewnątrz stał Tilo z tym swoim rozbijającym uśmiechem.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, przyciągając ją.

-Jak to, nie jesteś w Amsterdamie? - Imke pocałowała miejsce na szyi, które było tak cudownie wrażliwe. Poczuła zapach potu swojego mężczyzny. To podziałało na nią kojąco. — Przecież kongres się jeszcze nie skończył.

- Darowałem sobie ostatni dzień. - Odsunął ją odrobinę i spojrzał badawczo. - Ładnie wyglądasz. Tylko jesteś trochę blada. Zmęczona?

Potrząsnęła głową. Poszła pierwsza do kuchni, wyjęła dla niego filiżankę z szafki.

- Właśnie piłam herbatę. Chcesz?

Zbędne pytanie. Uwielbiał herbatę i nigdy nie odmawiał, gdy go częstowano. Zimowy Czar nie należał do jego ulubionych gatunków, ale nie protestował. Wyglądał na zatroskanego.

-Jakiś problem? - zapytała na tarasie.

- Chciałbym dowiedzieć się tego od ciebie. - Wyczekująco oparł się na krześle.

- Myślisz o czymś konkretnym? - Wyglądał świetnie. Lekko opalony, z niemal już posiwiątymi blond włosami. Nawet zakola mu pasowały. „Zakola — pomyślała Imke. - Muszę koniecznie sprawdzić, skąd ta nazwa”.

- Mówiąc dokładniej: o Jette i jej niebezpiecznej grze z kolekcjonerem łańcuszków.

Imke spojrzała na niego zaskoczona.

- Skąd wiesz...

- Czytam gazety.

- Tak. Ale gazety w Amsterdamie.

- Tam też jest niemiecka prasa. Wszystkie gazety o tym pisały: „Dziewczyna grozi mordercy przyjaciółki”, „Dziewczyna ściga kolekcjonera łańcuszków”. Tego dziennikarze nie przepuszczą. Zwłaszcza gdy chodzi o córkę autorki bestsellerów Imke Thalheim.

- Ci nędzni pismacy!

- Żyją z opowieści o znanych i bogatych. Sama wiesz najlepiej, Ike. - Tylko on ją nazywał w ten sposób. Zdrobnienie wzruszyło ją do tego stopnia, że poczuła wielką ochotę, by wypłakać się na ramieniu ukochanego.

- I dlatego wcześniej wróciłeś? - zapytała.

- Mogłem się domyślić, że niemal wariujesz ze strachu.

- Więc pomóż mi - poprosiła, próbując za pomocą głębokich oddechów opanować drżenie rąk, które pojawiło się po uczuciu odrętwienia i stopniowo obejmowało całe ciało. Głęboki wdech, myślała. I wydech. I wdech. I wydech. - Powiedz, co możemy zrobić.

Właściwie najchętniej spakowałby rzeczy i przeniósł się gdzieś dalej. Okolica, koledzy w pracy, upał, wszystko to budziło w nim odrazę. Tak było zawsze. Potem. Wszystko się potęgowało. Jego niechęć do ludzi przekraczała wszelkie granice.

Potrzebował dystansu. Żeby znów móc oddychać.

Wciąż brakowało mu Caro. Ale oprócz smutku pojawiła się też złość. Gniew, że go rozczarowała.

Mocno się tego trzymał. Złość to dobre uczucie. Dawała mu siłę. Inaczej niż smutek. Ten go zżerał.

A miłość?

Dwie części zrastały się w jedność. Tak jak być powinno. Połówki łączyły się w całość. W pełni. Pięknie. Doskonale.

A potem jedność pękła. Nie na dwie części. Roztrzaskała się w drobny mak. Na tysiąc odłamków.

On sam czuł się wyczerpany. Zniszczony. Rozbity. Wyładowany.

Nawet jeśli z trudem znów się pozbiera, pęknięcia już nigdy nie znikną. Pozostaną wiecznie wyczuwalne. Jak blizny. A przez kogo to wszystko?

Takie zniszczenia zawsze powodowały kobiety.

Nie mógł się z tym pogodzić. Nie umiał się w tym odnaleźć. Był człowiekiem, który miał marzenia. Pragnął życia doskonałego. Z żoną i dziećmi. W schludnym, małym domku w czystym, niewielkim miasteczku.

O niedzielnych popołudniach w kwitnącym ogrodzie, przy kawie i cięście, pod parasolem przeciwsłonecznym w niebieskie albo zielone paski.

Od czasu do czasu przychodziliby w odwiedziny przyjaciele, nie za często. Jedliby razem, gdy dzieci spałyby w łóżeczkach. W lecie na zewnątrz, w ogrodzie. W zimie przy wyszorowanym starym drewnianym stole przy kominku.

Jedzenie, otoczenie — wszystko byłoby idealne. Udekorowany stół. Światło. Muzyka. Piłoby wino z kosztownych ciężkich kieliszków, a na deser jedli ser i owoce.

Wszelkie wspomnienia z wcześniejszego życia zostałyby wymazane. Nie zrywałby się w środku nocy z koszmarnych snów, niespodziewanych przeblysków ponurych chwil z przeszłości, znikłyby najmniejsze ślady żalu. Wszystko stałoby się dobre.

Miałby prawdziwy zawód. Taki, z którego można czuć się dumnym. I wykształcenie. Rozmowy nie napawałyby go strachem. Jego język by się już nie potykał.

- Gorge! Twoja kolej!

Ocknął się z zamyślenia. Maile w jednej ręce trzymał swoją tygodniową wypłatę, drugą ręką przytrzymał mu drzwi do biura. „Niebezpiecznie tak odpływać - skarcił się Georg. - Muszę się lepiej kontrolować”.

W każdy czwartek po południu wypłacano zarobek. Najczęściej robiła to żona chłopca. Żona chłopca. Nigdy nie

przyszłoby mu do głowy nazwać ją chłopką. Nie pozwalały, na to jej paznokcie - za długie i za czerwone.

Siedziała za obskurnym czarnym biurkiem, przed nią piętrzył się stos papierów i stała kasetka pełna kopert z pieniędzmi. Spojrzała w jego stronę z uśmiechem.

— Cześć, Georg.

Tylko skinął głową. Nie odpowiadało mu, że mówiła do niego po imieniu (a zwracała się tak do każdego), sam unikał takiej formy w rozmowie z nią, chociaż tego chciała. Miała na imię Vivian, chociaż o ile wiedział, nie była ani Angielką, ani Amerykanką.

Gdy nie odwzajemnił uśmiechu, podała mu kopertę z wypłatą i podsunęła bloczek z rachunkami do pokwitowania. Powietrze wokół niej wydawało się chłodniejsze niż gdzie indziej.

— Proszę przeliczyć - poleciała.

I tak by to zrobił. Nie ufał nikomu oprócz siebie.

— Znowu najgrubsza koperta - zauważyła. Pomyślał, że w jej ustach ta uwaga brzmi obscenicznie.

Wszystko w niej wydawało się dwuznaczne. Czuli się nieswojo w obecności tej kobiety, nie cierpiał być z nią sam na sam. Szybko pokwitował odbiór wypłaty, udało mu się wykrzywić usta w grymasie przypominającym uśmiech i czym prędzej wyszedł na zewnątrz.

— Pójdziemy golnąć po jednym dziś wieczorem? - zapytał Maile, który na niego czekał.

Georg kiwnął głową. Od czasu do czasu trzeba krakać razem z wronami. Żeby nie zostać przez nie zadziobanym. Poklepał kolegę po ramieniu i poszedł do pensjonatu, żeby wziąć prysznic i trochę odpocząć, zanim wyruszą.

Maile to chodząca gazeta. A nie zaszkodzi poznać plotek, które od czasu obu zabójstw mnożyły się jak grzyby po deszczu.

Kuchnia wyglądała, jakby trwała tam balanga. Merle zaprosiła do naszego mieszkania najważniejszych przedstawicieli grupy obrońców zwierząt, by omówić sytuację. Spotykali się kolejno u któregoś z członków i czasem w trakcie tych spotkań robiło się gorąco.

Dawno darowałam sobie jakiegokolwiek dyskusje z nimi. Zasadniczo podzielałam ich zdanie, tylko rzadko zgadzałam się z wyborem metod. Kiedy chcieli załatwić dojazd do laboratorium albo przeszukać biura podejrzanych organizacji lub firm, nie zważali na nic i na nikogo.

Wszystkie trzy stale pielęgnowaliśmy zwierzęta uwolnione z laboratoriów badawczych: wystraszone, bojaźliwe psy, nieufne, agresywne koty, apatyczne króliki. W tamtych czasach Caro stosunkowo często się okaleczała. Jakby widok umęczonych stworzeń był dla niej spojrzeniem w lustro.

Merle zrobiła herbatę, położyła na stole bułki, ser i owoce. Panował niewiarygodny chaos. Ciągłe ktoś się zrywał na równe nogi i rozgniewany wpadał w słowo temu, kto akurat mówił.

- Tak właśnie jest z ludźmi zaangażowanymi - twierdziła przyjaciółka. - Nie siedzą na tłustych burżujskich tyłkach i nie pozwalają, żeby życie przemykało obok. Im o coś chodzi.

Bastian, Matze, Kika, Dorit, Uwe, Judith, Lizzie i Bob razem z Merle tworzyli trzon grupy. Opracowywali plany

akcji. W tym celu nawiązywano kontakty z różnymi aktywistami, którzy wywodzili się ze wszystkich kręgów społecznych, z różnych grup wiekowych, a jednak łączyły ich istotne cechy: kochali zwierzęta, byli bojowi, odważni i niezawodni.

Ja do nich nie należałam. Mimo to czasem współpracowałam przy różnych inicjatywach. Takich jak ja nazywali skoczkami - przydawali się od czasu do czasu, ale nie należeli do stałego grona.

Caro też była skoczkiem. Wobec niektórych akcji miała jeszcze większe zastrzeżenia niż ja. Raz podczas spotkania w naszej kuchni zawiesiła na ścianie transparent, na którym napisała czerwoną farbą: „A kto ochroni przed ludźmi człowieka?”.

Oczy łzawiły mi od dymu z papierosów, a hałas stał się niemal nie do wytrzymania. Chwyciłam bułkę i uciekłam do swojego pokoju, tam usiadłam przy biurku. Jedząc, snułam luźne rozmyślenia.

Komisarz nie przywiązywał wagi do współpracy z Merle i ze mną. Wyraźnie dał nam do zrozumienia, że nie powinnyśmy się mieszać do pracy policji. Musimy więc zorganizować działania na własną rękę.

Włożyłam do ust ostatni kęs bułki i wytarłam ręce o spodnie. Przeszłam na korytarz, zatrzymałam się przed pokojem Caro. Wciąż musiałam się przełamywać, żeby do niego wejść.

Niczego tam nie zmieniałyśmy. Zrobiłyśmy tylko porządek po oględzinach policjantów, którzy dotykali wszystkiego, również rzeczy, na które Caro nikomu na świecie nie pozwoliłaby nawet spojrzeć.

Kiedy poszli, otworzyliśmy szeroko okno, żeby usunąć ślady ich obecności. Do momentu, aż znowu zapachniało Caro, jej kremami i perfumami.

Z wahaniem pchnęłam drzwi. Za każdym razem, wchodząc do pokoju Caro, czułam jej obecność tak intensywnie, że serce biło mi szybciej. Tylko z powodu odgłosów z kuchni nie odwróciłam się na pięcie i nie zrezygnowałam z raz powziętego zamiaru.

Usiadłam przy biurku Caro i włączyłam komputer. Policjanci nie zabrali go ze sobą, może wzięli dyskietki albo w inny sposób zapewnili sobie dostęp do jej danych.

Moja myśl była prosta. Nie znałam się za dobrze na sprzęcie elektronicznym, Caro zaś uchodziła za ekspertkę. Wszystko jedno, z jakim problemem technicznym ktoś walczył, ona go rozwiązywała. Komputer był istotną częścią jej życia, dlatego liczyłam na znalezienie tam odpowiedzi na nasze pytania, jakiegoś tropu, czegokolwiek.

Wszystkie listy, jakie kiedykolwiek pisała, zostały starannie zebrane w folderach, tak samo jak jej maile. Nie powinnam grzebać w prywatnych rzeczach przyjaciółki, ale nie widziałam innego wyjścia. Ona już nie żyła i nie mogła nam pomóc. Gdzie indziej, jak nie w jej pokoju, miałyśmy szukać wskazówki?

Siedziałam przy jej biurku ponad godzinę i zabiłam trzy komary; stopniowo ogarniało mnie takie zmęczenie, że ledwie widziałam na oczy. Wtedy je zauważyłam. Wiersze Caro.

Nie miałam pojęcia, że pisała. To odkrycie nastąpiło nagle i nie zdążyłam się na nie przygotować. Rozplakałam się. Czytając pierwszy wiersz, miałam wrażenie, jakbym słyszała Caro wypowiadającą te słowa.

*Wieczór
ciemności
przed oknem
na czarnym szkle
moja twarz
pobladła
skóra innej*

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. To dobry tekst! Naprawdę dobry! A przecież z każdego testu z niemieckiego Caro dostawała trójcę.

*PRZYJACIÓŁKA
naprzeciwko
cicho
obok mnie
blisko
niekoniecznie słowa
może ręce*

Pobiegłam do kuchni. Wszyscy odwrócili się w moją stronę. Nie znosili, gdy ktoś im przeszkadzał. Judith akurat odczytywała jakąś statystykę. Przerwała na chwilę, patrząc na mnie pytająco, i z wahaniem wróciła do czytania. Dałam znak Merle.

Natychmiast wstała i podeszła do mnie.

— Co się stało?

Czyżbym wyglądała na tak wstrząśniętą? Ależ oczywiście, płakałam, pewnie wciąż miałam łzy na policzkach. Wytarłam twarz wierzchem dłoni.

- Muszę ci coś pokazać.

Zaciągnęłam ją do pokoju Caro i wskazałam na komputer. W osłupieniu wpatrywała się w monitor.

Ból
*a czasem
potrzeba
więcej
niż tej drobiny
życia
czasem
potrzeba
ognia
pod
skórą
żeby wiedzieć
że
jeszcze
jestem*

Merle zbladła.

- Czy to... Skinęłam głową.

- ...wiersze Caro - dopowiedziałam.

- Nigdy mi o tym nie mówiła - wyznała Merle.

- Mnie też.
- *Ile* ich jest?
- Nie mam pojęcia. Dopiero je odkryłam.
- ***Żeby wiedzieć- że -jeszcze -jestem.*** — Potarła ramiona. — A teraz jej...
- Nie mogła zapanować nad drżeniem wargi. Mrugała oczami, żeby się nie rozpłakać.
 - Wydrukuję je — zaproponowałam. — A kiedy skończysz w kuchni, usiądziemy razem i przejrzymy te teksty. Zgoda?
- Skinęła głową i znikła. Z powrotem usiadłam przy biurku. Zmęczenie się ulotniło. To będzie długa noc. Wreszcie znalazłyśmy początek.
 - Wyobraź sobie - powiedział Maile, z trudem już artykułując słowa. - Ona naprawdę rzuca wyzwanie mordercy!
- Georg obracał w palcach szklanę z piwem. Dokładnie wiedział, ile może wypić. Nigdy nie stałby się jedną z tych urżniętych świń, które co wieczór przesiadują przy barze, stają się głośne i agresywne albo ciche i płaczliwe. Nie znosił ani jednego, ani drugiego. Nie ma nic bardziej odrażającego niż szklane psie oczy pijaków.
 - Jego dziadek często tak wyglądał. Georg szybko się nauczył, że nie wolno bagatelizować pijaka. W jednej chwili dziadek miał to niewinne psie spojrzenie, by w następnej się zamierzyć i bić.
- Dzielna dziewczyna. - Maile mlasnął językiem. -1 kompletnie stuknięta, takie jest moje zdanie. Niech uważa, żeby nie została następną ofiarą.

Zawsze gdy była mowa o kolekcjonerze łańcuszków, chwilę to trwało, zanim do Georga docierało, że to chodzi o niego. To określenie go nie dotyczyło.

Nie czuł się mordercą, przecież wcale nie miał podłych, niskich instynktów. Wręcz przeciwnie. Jego oczekiwania wobec życia i wobec kobiety zawsze były wysokie.

Czy dlatego był przestępcą? Ze tak wiele pragnął i nie potrafił znosić rozczarowań?

Maile miał te informacje od jednej z kobiet zbierających truskawki, która brała udział w pogrzebie Caro, bo lubiła chodzić na takie uroczystości. Ale pisano o tym również w gazetach, dodał. Telewizja regionalna nadała nawet krótką wiadomość. Jednak tylko dlatego, że dziewczyna była córką znanej pisarki.

Georg nie był na pogrzebie. Nie wytrzymałby. Poza tym to zbyt niebezpieczne. Po co miałby kusić los. A gazety czytał bardzo rzadko. Dlatego jeszcze nie słyszał o tej historii.

Dziewczyna miała na imię Jette. Caro sporo mu o niej opowiadała. Za pierwszym razem pomyślał, jak to starodawnie, poczciwie brzmi. Ciekawiło go, jak wygląda osoba, którą tak nazwano.

- Jest ładna - powiedziała Caro, tuląc się do niego. -Spodoba ci się na pewno.

Otoczył ją ramieniem, rozglądali się za miejscem na piknik. W końcu znaleźli na ziemi jasną plamę słońca, która przebijała przez wysokie drzewa, gromadząc odrobinę ciepła. W lesie, w niemal uroczystej ciszy, przerywanej jedynie śpiewem ptaków, najlepiej czuł się u boku Caro. Obojgu nie przeszkadzało, że panował jeszcze dość duży chłód.

Las już dawniej dawał mu schronienie. Tylko w nim Georg mógł leczyć duszę, kiedy dziadek kolejny raz rozbijał ją na kawałki. Ile rys i pęknięć nosiła?

- Po Jette w ogóle nie widać, że ma niesamowicie nadzianą matkę - wyjaśniała Caro. - Myślę, że czasem ją to nawet męczy.

Tymi słowami rozbudziła w nim ciekawość. Mimo to od razu blokował podobne rozmowy. Nie pozwoli się wciągnąć w jej życie. Dopóki nie nabierze pewności. Każda przedwczesna bliskość w jego życiu pozostawiała rany. Jego ciało było nimi usiane.

- A przy tym podobno wygląda jak anioł - ciągnął Maile i zamówił jeszcze jedno piwo. Odpływał wzrokiem i lada moment miał się oddać pijackim wizjom. Ich męskie wieczory zawsze się kończyły w taki sposób. I za każdym razem Georg odprowadzał go do pokoju, bo Maile sam nie był w stanie go znaleźć.

Przedtem chciał jeszcze dopić piwo. Odpowiadało mu, że Maile dał mu spokój.

Jette. To imię wibrowało mu w głowie. „Jak anioł” — stwierdził kumpel.

„Kim jesteś - myślał obsesyjnie - że masz odwagę ze mną zadzierać?”.

Siedzący obok Maile zaczął śpiewać jakiś ckliwy przebój Heina. Gospodarz słał im złe spojrzenia.

- Chodź - zaproponował - zaprowadzę cię do domu.
- Dodomu, dodomu, dodomu nie pójdziemy - mamrotał pijany kolega
- dodomu, dodomu...

Georg zapłacił i wypchnął go na zewnątrz. Maile przestał śpiewać, za to zaczął biadolić nad swoim parszywym życiem.

Nieudanym małżeństwem. Że dzieci dorastają bez niego. I prawie go nie znają. Wymyślał Georgowi, bo zabronił mu pić dalej. I zapomnieć.

Georg go nie słuchał. W głowie utkwiło mu imię Jette. Słowa, które usłyszał. Coś się zaczęło. Gra?

Ta dziewczyna rzuciła mu wyzwanie.

— Więc dobrze - wybąkał, kiedy już odstawił kolegę i wracał do pensjonatu. - Niech się spełni twoja wola, dziewczyno.

Jego kroki rozbrzmiewały głośno w ciszy bezksiężycowej nocy. Nagle zrobiło mu się lekko na duszy. Jakby właśnie tego potrzebował - celu.

*

Wczesne narady były dla Berta torturą. Zwłaszcza odkąd odzwyczaił się od palenia. Rzadko spał w nocy więcej niż cztery, pięć godzin i zaczynał się czuć wyczerpany.

Dawniej mógł spać, kiedy, gdzie i jak długo chciał. Dzisiaj potrzebował co najmniej godziny, żeby zasnąć. W nocy kilkakrotnie wstawał i zataczając się, szedł do toalety, a potem rozbudzony leżał w łóżku. Wsłuchiwał się w głęboki, równomierny oddech Margot albo, co gorsza, w jej ciche chrapanie. Nad ranem zapadał wreszcie w głęboki sen, z którego brutalnie wyrywał go budzik.

Przedpołudniami komisarzowi doskwierało beznadziejne, przewlekłe zmęczenie. Każda czynność i każda myśl były zbyt trudne. Czasem przy biurku głowa opadała mu na piersi i wzdrygał się jak przyłapany na gorącym uczynku.

Ostatnio poranne narady odbywały się codziennie. Po drugim zabójstwie media ich naciskały. Opinia publiczna

wpadła w histerię. Kolekcjoner łańcuszków mógł w każdej chwili znów zaatakować. Nikt nie czuł się bezpiecznie. To wywierało presję na policjantów.

Tak wczesnym rankiem wszystko miało w sobie wielką niepewność. Jakby bogowie jeszcze nie rozstrzygnęli, w jakim kierunku ma się potoczyć dzień.

Koledzy gromadzili wyniki. Żeby stwierdzić, że właściwie nie znaleźli istotnego śladu. Wciąż zbierano informacje. Codziennie napływały wskazówki, których wiarygodność obowiązkowo sprawdzano.

Obowiązkowo. Bert potykał się o to słowo. Kto dzisiaj jeszcze się zastanawia nad takimi pojęciami jak obowiązek, przyzwoitość, pilność, umiłowanie porządku.

„Dojdzie do tego - myślał - że dzieci zaczną sprawdzać takie słowa w leksykonach, bo nie będą wiedziały, co one znaczą”. Po chwili zdał sobie sprawę, że mówi jak jego ojciec, który stale narzekał na społeczeństwo.

Kolacja była gotowa, stół w ogrodzie zimowym nakryty. To Tilo zaproponował, żeby zaprosić Jette i Merle.

— Trzeba stworzyć warunki do rozmowy, nie wywierając na nie nacisku - przekonywał. - Co się lepiej do tego nadaje niż kolacja?

Imke nigdy nie ufała psychologom. Nie wierzyła też Tilowi, gdy wypowiadał tego rodzaju opinie. Do dziś nie rozumiała, jak mogła zakochać się w kimś, kto przez cały dzień nie robi nic innego, tylko wyciąga od ludzi najskrytsze myśli i uczucia.

Umówili się na godzinę ósmą. To dobra pora. Wszyscy już zakończą dzień pracy i będą chcieli się zrelaksować. Nawet

Tilo, w którego terminarzu brakowało już wolnych miejsc, obiecał przyjść punktualnie. Będzie zupa pomidorowa z krabami. Ciepły chleb czosnkowy. Sałatka z łososiem i świeżymi owocami. Na deser truskawki ze śmietaną. A na zakończenie espresso.

Imke rzadko gotowała. Może właśnie dlatego sprawiało jej to taką przyjemność. To przyjemne uczucie na kilka godzin poddać się iluzji, że znów wszystko wygląda jak kiedyś, Jette mieszka jeszcze w domu, a życie jest mniej skomplikowane. Poza tym akurat utknęła ze swoją powieścią w trudnym miejscu i z wdzięcznością przyjmowała każdą chwilę rozrywki.

„Zawsze lubiłam uciekać od problemów” - myślała, doglądając stołu i sprawdzając, czy o czymś nie zapomniała. Przetawiała kieliszek, przesunęła nóż i wyrównała serwetkę.

Czasem życzyła sobie, żeby życie wyglądało tak jak w jej książkach. Żeby także w rzeczywistości mogła wziąć za wszystko odpowiedzialność. Stwarzać postaci, towarzyszyć im w drodze. Gdyby miała taką moc, Jette nigdy by nie cierpiała.

„A Caro by nie umarła” - pomyślała.

Usłyszała chrzęst opon na żwirze i podeszła do drzwi wejściowych, żeby je otworzyć. Czule uściskała Jette, potem Merle. Często jej się wydawało, że ma trzy córki. Teraz czuła, jakby wraz ze śmiercią Caro straciła jedną z nich.

„Tylko nie popadaj w patetyczny ton — przywołała się do porządku. -1 przestań wreszcie każde nieszczęście traktować jak własne”.

Były blade. I o wiele za szczupłe. Na pewno mało jadały. Imke nie mogła mieć im tego za złe. Wyobrażała sobie, że to

straszne przebywać w mieszkaniu, w którym wciąż jest pokój Caro. Jakby dziewczyna w każdej chwili mogła wrócić.

Kiedy wygodnie się rozsiadły w salonie, zajęczał samochód Tila. On też serdecznie uściskał dziewczyny.

Przeszli do ogrodu zimowego. Imke szeroko otworzyła rozsuwane drzwi, a chłodny powiew powietrza wniósł świeżość. Upał dnia ustępował dosyć powoli. Już niebawem nie uda się go wywietrzyć z pomieszczeń.

- Caro pisała wiersze — oznajmiła Jette bez wstępów. Nalała sobie zupy po brzeg talerza i mieszała ją niezdecydowanie, jakby źle oceniła swoje możliwości. - Znalazłyśmy je w jej komputerze.

- Niesamowite wiersze — dodała Merle. - Jeszcze nigdy nie czytałam tak dobrej poezji.

- Macie je przypadkiem ze sobą? - zapytała Imke, natychmiast budząc w sobie instynkt łowiecki.

- Nie przypadkiem - odparła Jette. - Celowo. Chcemy poznać twoją opinię.

- Moją opinię? - Imke z satysfakcją obserwowała, jak Merle zajada z wielkim apetytem. - Nie jestem pewna, czy potrafię ocenić wiersze. Nie jestem poetką.

- Nie chodzi o jakość - wyjaśniła Merle. - Tylko o treść.

- Policja nie zabrała komputera? - zapytał Tilo. - To mnie dziwi. Myślałem, że wszędzie szukają śladów.

- Wystarczy skopiować dane - oznajmiła Jette, uśmiechając się, gdy uderzył się otwartą dłonią w czoło. Sięgnęła do plecaka, który leżał obok krzesła, i wyciągnąwszy z niego niebieską teczkę, podała ją mamie.

- To duży błąd - uznał Tilo. - Teraz zatopi się w lekturze i koniec z miłą kolacją.

Rzeczywiście Imke już włożyła okulary do czytania, otworzyła teczkę i przebiegła wzrokiem pierwszą kartkę. Na jej twarzy malowało się skupienie.

- Jak sobie radzicie? - chciał wiedzieć Tilo. Wino w jego kieliszku połyskiwało jak płynny rubin.

- Za niecały tydzień rozpoczną się wakacje i wreszcie będziemy mogły zabrać się do pracy - odparła Merle.

- Do pracy? - zdumiał się, choć natychmiast się zorientował, o czym mowa. - Co zamierzacie robić?

- Odnaleźć mordercę Caro. — Jette oświadczyła to ze zdziwieniem, jakby się nie spodziewała, że będzie aż tak niedomyślny.

Tilo nie zamierzał dawać im wykładu, ale jednak to zrobił. „Źle - zorientował się - bardzo źle. To wbrew wszelkim zasadom”. Mimo to kontynuował, nie mogąc się powstrzymać.

Dziewczyny nałożyły sobie sałatki i raz po raz sięgały po chleb czosnkowy. Jedząc w milczeniu, pozwoliły mu spokojnie skończyć wywód.

Imke, która tego nie obserwowała, zamknęła teczkę i odłożyła ją na podłogę obok krzesła.

- Niesamowite - podsumowała. - Taki talent.

- A poza tym? - dociekała Jette.

- Co chcecie wiedzieć? — odpowiedziała pytaniem Imke.

- Metafory - wyjaśniła Merle. - Nad niektórymi zastanawialiśmy się godzinami, co mogą wyrażać.

- Metafora dla każdego może znaczyć co innego - stwierdziła Imke. - Nie ma jednoznaczności. Interpretacja zawsze pozostaje subiektywna.

- Kim jest na przykład *czarny pan?* - drążyła Jette. - Albo co znaczy *pan bólu?*

- Czy te wiersze łączą się ze sobą? - Merle również nie dawała za wygraną. - Czy opowiadają jej historię?

- A gdyby tak było? - zapytał Tilo.

- Wtedy — Jette rzuciła przyjaciółce porozumiewawcze spojrzenie - poprowadziłoby to nas kawałek dalej.

- Mogę tylko ostrzec przed dosłownym odczytywaniem tych tekstów - doradziła Imke. - Caro w wierszach zaszyfrowała swoje wypowiedzi. W przeciwnym razie pisałyby bezpośrednio pamiętnik.

- Rozumiem - Jette odsunęła talerz. - Ale szyfry można rozpracować, prawda?

- Bez pomocy autorki? - Imke z powątpiewaniem pokręciła głową. - To raczej niewykonalne.

- Ale kryje się w nich wszystko - Jette podniosła z podłogi wiersze Caro. — Jej dzieciństwo, stosunek do rodziców. Jej związek. Samookaleczanie. Nasze mieszkanie. Merle i ja.

Imke przeraziła się, widząc zapalną córkę. Zrozumiała, że dziewczyny nie spoczną, dopóki nie wyjaśnią tej sprawy. Ogarnął ją strach. Uświadomiła sobie, że nigdy nie przestanie martwić się o Jette. „Los matki” - pomyślała. Brzmi jak tytuł jednego z tych amerykańskich filmów, które stale pokazują w telewizji.

- Jest. - Jette odnalazła wiersz, który ją interesował. - Posłuchajcie:

*PYTANIA
obiecujesz mi
swoje życie
a nie mówisz*

*niczego
choć o mnie.
wiesz
wszystko*

Czy pisze to z myślą o swoim ostatnim chłopaku?

- Niekoniecznie - uznał Tilo. - Równie dobrze może chodzić o któregoś z wcześniejszych.

- Albo o czystą fantazję - dodała Imke. - Nie każdy tekst jest autobiograficzny, Jette, przecież wiesz. Pomyśl o moich książkach.

Córka skinęła głową.

- Mimo to w każdej twojej książce można odnaleźć nasze prawdziwe życie, jeśli się dokładnie przyjrzeć.

- Dlaczego nie miałyby to być wiersze o poprzednim chłopaku? - upierał się Tilo.

- Bo jej wiersze są datowane - wyjaśniła Merle. — Wiemy, że pisała to w czasie, kiedy była z facetem, którego nie znałyśmy.

- Opowiadała mi o nim. Na krótko przed... zanim... -Jette chrząknęła - .. została zamordowana. Zachowywał się bardzo tajemniczo. Nie zdradził jej nawet swojego imienia.

- Jak długo z nim była? - Tilo zareagował z zawodową rutyną, jak na psychologa przystało. Nie mógł zignorować nietypowych sposobów zachowania.

- Tak dokładnie nie wiemy. Kilka tygodni.

- I akceptowała fakt, że nie ujawniał swojego imienia?

- To rodzaj gry, której nie mogła zrozumieć. Codziennie wymyślała dla niego nowe imię.

- Fascynujące - uznał Tilo. Imke skarciła go strofującym spojrzeniem.
- Wciąż wyobrażała sobie, że zasłuży na jego miłość w dniu, gdy odgadnie prawdziwe imię.
- Titelitury. - Tilo zignorował upomnienie Imke. Żył takimi historiami jak ta.
- Caro też użyła tego porównania - zauważyła Jette. — Wprawdzie z ironicznym uśmieszkiem, ale w rzeczywistości wierzyła, że wszystko dobrze się skończy. Właśnie jak w bajce.
- A bajki bywają okrutne - dodał Tilo. - Zapomniała o tym?
- Zapadło nieprzyjemne milczenie. Imke zniknęła w kuchni, żeby przyrządzić dla wszystkich espresso. Jette wyszła razem z nią.
- Kto widział coś podobnego?! - Imke z wściekłością pobrzękiwała filiżankami. - Miłość, na którą trzeba zasłużyć.
- Szczególna odmiana miłości - odpowiedziała Jette.
- Przecież to chore. - Imke zrozumiała aluzję i kręcąc głową, włączyła ekspres do kawy.
- **Ty**, do którego zwraca się Caro w wierszach - kontynuowała Jette, gdy znowu zasiedli do stołu - ma dużo mrocznych cech. Ciekawe, co ją w nim tak fascynowało.
- Dowiemy się, kiedy go znajdziemy - stwierdziła Merle.
- Nie wolno wam wykonywać pracy za policję. To zbyt niebezpieczne
- Imke szukała wzrokiem pomocy u Tila. -Śmiertelnie niebezpieczne.
- Zdajecie sobie sprawę, że ten człowiek naprawdę może być mordercą Caro? — mężczyzna poparł partnerkę.
- Właśnie dlatego. Znajdziemy go - odrzekła Jette.

Imke wiedziała, jak krnąbrna jest jej córka. Nauczyła się, że próba wyperswadowania Jette tego pomysłu nie ma sensu. Dawniej też to się nie udawało. Ale być może istnieje inne wyjście. - Chciałabym zrobić wam prezent - ogłosiła. - Trzy tygodnie wakacji w wybranym przez was miejscu. Co wy na to?

Jette położyła jej dłoń na ramieniu.

-Jeszcze niedawno z radości skakałybyśmy do sufitu, mamo. Ale teraz to nie jest dobry moment na urlop. Jesteśmy to winne Caro.

- Byłoby cudownie - Merle uśmiechnęła się do Imke. W jej oczach pojawiły się łzy. - Ale bez Caro to już nie to samo.

- Wiem - westchnęła Imke, gdy tuż po północy została sama z Tilo - Bez Caro to już nie to samo. I jeszcze długo to się nie zmieni.

Tilo pocałował ją, delikatnie głaszcząc po karku. Odsunęła jego rękę.

- Nie teraz, kochanie - powiedziała. - Nie gniewaj się, ale muszę przeanalizować wiersze Caro. Ja też jestem jej coś winna.

Trzy pierwsze ofiary morderca zgwałcił, ale za każdym razem używał prezerwatywy. I nie pozostawił żadnych śladów. Przy Caro sprawa przedstawiała się inaczej. Choć wiadomo, że na krótko przed śmiercią dziewczyna odbyła stosunek płciowy.

Na pierwszym miejscu zbrodni znaleziono ciemny włos, który zaplątał się w obciętych kosmykach denatki. Równie dobrze mógł jednak należeć do kogoś innego niż sprawca. Tam, gdzie zabito kolejną dziewczynę, policja nie zabezpieczyła podobnych poszlak.

Morderstwa na prowincji były morderstwami na prowincji. Przez nieuwagę ślady często były zdeptywane. A to przez osoby, które znalazły ofiarę, a to przez kolegów przybyłych na miejsce zbrodni przed technikami kryminalistyki albo przez dziennikarzy, którzy w mniejszych miejscowościach już z daleka wietrzyli sensację.

Żadnego jednoznacznego materiału. Nic, na czym można by się oprzeć. Bert prowadził niezliczone rozmowy. Jednak wciąż nie pozwalały one wpaść na trop tajemniczego przyjaciela Caro. Nikt go nie widział, nawet Jette i Merle. Chociaż nocował w ich mieszkaniu. Jak to możliwe? Ktoś wkroczył

w życie innego człowieka, nie pozostawiając żadnych śladów poza kilkoma wpisami w pamiętniku i garścią wierszy.

Komisarz wiązał nadzieję z pamiętnikiem i dyskietką z wierszami. Tylko nie zdołał w tych tekstach niczego znaleźć.

Rozdał wydruki kolegom i koleżankom, licząc na to, że ktoś z nich może się zna na formach lirycznych. Miał pecha. Dowiedział się tylko tego, że jest jedyną osobą w pracy, która w ogóle czyta książki.

Policjanci z północnych Niemiec także dreptali w miejscu. A tamtejsza prasa równie zawzięcie jak tutejsza wypisywała złośliwości. „Sezon ogórkowy - myślał Bert. - Dziennikarze się cieszą, że nie muszą znów wygrzebywać historii o Nessie”*.

Tymczasem utworzono komisję specjalną, składającą się z tutejszych śledczych i kolegów z północy. Nawiązano ścisłą współpracę, wymieniając wszelkie informacje. Dotychczas bez efektu. Można od tego zwariować.

Psycholożka policyjna, również wyznaczona przez szefa na członka komisji specjalnej, opracowała profil sprawcy, który przedstawiła na jednej z porannych porad: *Samotny. Zahamowany (możliwa jednak także odwrotność). Syn dominującej matki. Jedynek. Dzieciństwo naznaczone przemocą. Silne przekonania religijne. Brak więzi społecznych. Inteligentny. Ostrożny. Niski próg agresji. Niedoświadczony seksualnie.*

— Dlaczego nigdzie nie jest napisane „perwersyjny”? - zapytał Bert psycholożkę.

***Właśc. potwór z Loch Ness —temat artykułów w prasie w sezonie ogórkowym.**

- Bo nie myślimy w takich kategoriach - odpowiedziała.
- Nie chodzi o wartościowanie. Tylko o ocenę.
- Nie — zaproponował. — Ważne są precyzyjne sformułowania. Jeśli te morderstwa nie są perwersyjne, to jakie?

Nie mogli się dogadać. Stało się to tajemnicą poliszynela. Ale Bert i tak wołał polegać na swojej intuicji niż na oficjalnym profilu sprawcy. A przecucie mówiło mu wyraźnie

- powinien się skupić na nieznanym przyjacielu Caro. Dziewczyna nie została zgwałcona. Może dlatego, że morderca był w niej zakochany?

Komisarz szeroko otworzył okno w gabinecie, zdjął marynarkę i po raz kolejny zabrał się do lektury pamiętnika i wierszy. Prawda leżała przed nim na stole. Musiał ją tylko znaleźć.

Różniła się od Caro. Była poważniejsza. Bardziej zamknięta. W jakiś sposób nieprzystępna. Trzymała obserwatora na dystans. Na pewno chłopakom trudno ją zagadnąć.

Georg od razu wiedział, która z tych dwóch to Jette, a która Merle. Ochroną zwierząt się nie interesował. Zwłaszcza gdy przekraczała pewne granice. Ostatnio słyszał w radiu, że wilczurowi przysługuje więcej metrów kwadratowych niż dziecku. Czy ten świat nie staje na głowie?!

Zaparkował pod jej domem i czekał. Kiedyś ją zobaczy. Był wieczór, miał czas.

Kiedy wyszły z domu, wysiadł i poszedł za nimi. Przez myśl przemknęła mu Caro, ból wciąż nie do opanowania.

- Czas leczy wszystkie rany - zawsze mówiła jego babcia. Chciałby jej wierzyć. Ale już jako mały chłopiec wiedział, że

to tylko litościwe kłamstwo. Niektórych ran nic i nikt nie uleczy.

Jette i Merle wzięły się pod rękę. Rozmawiały cicho, ale bez śmiechu, jak to mają w zwyczaju dziewczyny. Czas smutku także dla nich nie skończy się szybko.

Zatrzymały się przed multipleksem, studiując tablicę z ogłoszeniami. Kino. To było dobre miejsce. Ciemne i dostatecznie anonimowe, aby bardziej się do nich zbliżyć.

Zdecydowały się na komedię. Jemu też to odpowiadało. Wśród śmiechu można znacznie więcej dowiedzieć się o człowieku niż pośród płaczu.

Siedział za nimi w ciemności tak blisko, że wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, by dotknąć Jette.

Pisała i pisała. Słowa wręcz wypływały z jej umysłu. Sprawily to wiersze Caro. Imke czuła się jak pasożyt. Ale co miała robić? Przerwać ten natłok myśli?

Historia miłosna w jej nowej powieści nabrała barwności, szczerości i poetyckiego charakteru. Zawdzięczała to uczuciom młodej dziewczyny do tajemniczego, nieznanego mężczyzny.

Imke pocieszała się, że tą książką w jakiś sposób upamiętnia Caro. Jednak gdzieś w środku uporczywy głos nie dawał jej spokoju - wykorzystuje zmarłą, i to w nikczemny sposób.

Edgar i Molly spały na dywanie pod oknem. Lubiły odgłosy stukania na klawiaturze i cichy szum komputera. Krajobraz za oknem lśnił jak wypolerowany. Krótki deszcz po południu dobrze zrobił zieleni.

Idylla. Ta ziemia należała do niej, jak daleko wzrokiem sięgnąć. Nigdy nie przyzwyczai się do bogactwa. Zawsze będzie jej towarzyszyć dziwna obawa, że pewnego dnia się obudzi i stwierdzi, że to wszystko było snem.

Zadzwoił telefon.

Nie odebrała. Pisząc tak jak w tej chwili, niemal bez wytchnienia, nie pozwalała sobie na przerwę. Pomysły mogły się w każdej chwili wyczerpać.

A gdyby opublikowała wiersze Caro? Pośmiertnie? Żeby naprawdę ją upamiętnić?

Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Nie teraz. Nie chciała też rozmyślać o zabójstwie dziewczyny. Zaprzętała sobie tym głowę już zbyt długo. Przez to gubiła wszelkie słowa. Tym bardziej nie chciała myśleć o mordercy. Bała się. Jakby w ten sposób mogła sprowokować los i narazić na niebezpieczeństwo Jette i Merle.

Jeszcze kilka stron i zadzwoni do córki, aby upewnić się, że u dziewczyn wszystko w porządku. Jeszcze tylko kilka stron. Tak długo czekała, by wreszcie móc znowu pisać.

Zasłużyłyśmy na ten film.

Całe przedpołudnie spędziłyśmy na ponownym przeszukiwaniu pokoju Caro. Policjanci wykonali zadanie skrupulatnie, ale nie znali naszej przyjaciółki. Pewne rzeczy, na które my natychmiast zwróciłybyśmy uwagę, dla nich mogły być bez znaczenia.

- Każdy rozsądny człowiek przechowuje listy od ukochanego - Merle stęknęła, wsuwając szufladę biurka. - Dlaczego ona nie?

- Bo wcale nie była rozsądna — odparłam, chociaż Merle wiedziała o tym równie dobrze jak ja.

Caro to typ kolekcjonerki. Wszędzie miała schowki, w których przechowywała najprzeróżniejsze skarby. Guziki. Pocztówki. Kamienie. Pióra ptaków. Szklane paciorki. Czy coś z tego dostała w prezencie od nieznajomego? Albo zachowała na pamiątkę? Czy może taki podarunek znalazłby się w specjalnym miejscu?

W odtwarzaczu CD ciągle jeszcze tkwiła płyta Phila Collinsa. Ostatnia, jaką włożyła Caro. Przejrzałyśmy tytuły poszczególnych piosenek. *Come with me. Driving me crazy. Can't stop loving you. You touch my heart.* Jakby w ostatnich dniach jej życia wszystko miało szczególne znaczenie.

A przecież Caro po prostu lubiła muzykę Collinsa. Może nawet któryś z tych utworów był jej ulubionym. Jej i nieznajomego. Z każdą miłością kojarzy się jakaś piosenka.

TY

*Kim jesteś tyle
niezadanych pytań
tyle
pieśni
niewyśpiewanych
dziewięć
nieprzeżytych istnień*

*na ustach twych
strasznie
czerwony
słodki uśmiech*

Ten wiersz od początku mnie przerażał. Za każdym razem, gdy go czytałam albo tylko myślałam o nim, coś się we mnie kurczyło do kształtu małej twardej pestki.

Nieprzeżytych istnień. Caro nie chciała już marnować życia. I była na najlepszej drodze, by jej się to wreszcie udało. Doświadczyć tych wszystkich istnień, za którymi tęskniła.

Tyle - pieśni - niewyśpiewanych. Co miała na myśli, pisząc te słowa? Że coś przeoczyła? Coś pięknego? Albo on czegoś nie zauważył?

...I ten *strasznie czerwony — słodki uśmiech*. Tego zupełnie nie rozumiałam. **Strasznie czerwony** - czy to oznaczało transwestytę? Z jaskrawo umalowanymi ustami? Czy miała obawy, że chłopak może być gejem?

Nasza ostatnia rozmowa. Krążyła wokół niego. Powinnam była uważniej słuchać. Wypatrywać alarmujących sygnałów. Na pewno jakieś się pojawiły. Tylko ich nie dostrzegłam.

Zwróciłam jednak uwagę, że Caro znów się okaleczała. Ale to przecież nic szczególnego. Zawsze miewała fazy zadawania sobie bólu i czas, kiedy żyła ze sobą w zgodzie.

Przyzwyczailiśmy się do tego z Merle. Przestałyśmy bombardować Caro pytaniami. Zaufanie rodzi zaufanie. Wierzyłyśmy w to mocno. I tak też się działo.

- Dlaczego Caro nie mówiła o tym facecie?

- Ze strachu - stwierdziła Merle, trzymając w ręce płytę z piosenkami Phila Collinsa. - Bo jej zabronił.

Zabronił! Caro!

- Skoro mu się to udało, to chyba jest czarownikiem. Po raz setny przywołałam w pamięci ostatnią rozmowę

z Caro. Hołdująca swobodnym obyczajom Caro zakochała się w mężczyźnie, który nawet jej nie tknął. W" takim, co ciągnie za sobą bagaż złych doświadczeń i dlatego czeka, by zdobyć pewność, że to jest właśnie ta miłość.

- Czy można kochać kogoś, przed kim odczuwa się strach?

- zapytałam.

- Można odczuwać strach przed kimś, kogo się kocha — odpowiedziała Merle.

W milczeniu szukałyśmy dalej. Pod koniec odkryłyśmy dwie rzeczy, o których nie miałyśmy pojęcia: czarną bawełnianą chustkę o rozmiarach około sześćdziesięciu na sześćdziesiąt centymetrów i zasuszony biały kwiatek z trzema zielonymi listkami.

Chustkę wyciągnęłam spod stosu bielizny, kwiatek i liście Merle odkryła w ulubionej książce Caro, antykwarycznym wydaniu wierszy Rabindranatha Tagore. Nie wiedziałyśmy, czy te przedmioty mają jakieś znaczenie, ale odłożyłyśmy je w poczuciu, że to znaczący krok naprzód.

A więc zasłużyłyśmy na ten film. I na śmiech, który na nowo odzyskałyśmy. Myślałam o zdaniu ostatnio wypowiedzianym przez wszystkich wokół: „Życie toczy się dalej”. Choć to straszne — właśnie je potwierdzałyśmy.

Czego się spodziewałam? Ze świat przestanie się kręcić?

- Ludzie przypominają mrówki - szepnęłam do Merle.

— Biegają po okolicy wiecznie zajęci i nie jest istotne, czy coś nam się przydarzy, czy nie, bo bez nas będą się krzątać nadal.

- Pst! - Merle wsunęła mi do ust popcorn. Miała rację. W życiu nic nie jest pewne. Każdy powinien się śmiać i zajadać popcorn, dopóki może.

Nie słyszał nic z tego, co do siebie szeptały. A siedział tak blisko, że gdy się nachylał, czuł ciepło ich ciał.

- Jette to dar nieba - powiedziała mu kiedyś Caro. - Bez niej pewnie już bym nie żyła. - Uśmiechała się do niego, marszcząc przy tym nos; ten gest zawsze go wzruszał. - Albo siedziałabym w wariatkowie.

Na pewno nie chodziło jej o próbę wzbudzenia zainteresowania, to nie była przesada ani słowa bez znaczenia. Caro mówiła, co czuła, i wyrażała to w sposób całkowicie oczywisty.

„Przez co musiałaś przejść” - pomyślał i za to jeszcze mocniej ją kochał. Już dawno zauważył, że miała ręce pokryte bliznami, mimo iż bardzo starała się to ukryć.

Pozwalała mu głaskać swoje ręce. Wiedział, że nie mogła dać mu większego dowodu miłości. Mimo to chciał jeszcze poczekać. Wciąż nie był pewny. Bo jego dusza wyglądała jak ręce Caro. Pokryta bliznami. Tylko że jego blizny nie były skutkiem ran zadanych przez siebie. Pozostawili je inni.

W Merle ceniła przede wszystkim bojowego ducha i podziwiała ją za zaangażowanie polityczne.

- Dla mnie to absolutnie polityka - wyznała - jeśli ktoś walczy o ochronę i prawa zwierząt.

Sporo się dowiedział o jej współlokatorkach. Znacznie więcej, niż chciał wiedzieć. Każda pojedyncza informacja tworzyła wątki łączące go z Caro, a ją z nim.

Kilka razy nocował w jej mieszkaniu, zupełnie nie dbając o ostrożność. Początkowo czuł dreszcz emocji, który z czasem ustępował, co pozwalało mu chłonąć atmosferę pokoju Caro i jej obecność.

Czytała mu wiersze Rabindranatha Tagore. Teksty głęboko go poruszały, chociaż nie znał się na poezji. Prosty i łatwy do zapamiętania styl, a przy tym barwny i oddający rzeczywistość. Tworzył w jego głowie obrazy, poruszał dawno zatarte wspomnienia.

Z pozostałych pokoi nie dobiegały żadne dźwięki. O tej porze miasto pogrążało się we śnie. Potem przekradał się do łazienki, rozglądając i podziwiając te wszystkie maleńkie buteleczki, pudełeczka, naczynka i tubki, które zajmowały całą wolną powierzchnię.

Zajrzał też do kuchni, gdzie panował totalny chaos. Na stole stały jeszcze nakrycia z ostatniego posiłku. W zlewie piętrzyły się brudne garnki i miski. Różne rzeczy używane do gotowania leżały porozrzucane na kuchennych blatach.

Mimo to pomieszczenie wydało mu się przytulne. Rośliny na parapecie tryskały zdrowiem. Obrazki na ścianach emanowały pogodą ducha i ciepłem.

W korytarzu wisiało kilka kolaży z fotografiami lokatorek. „Może — myślał, stojąc przed zdjęciami — może pewnego dnia się zaprzyjaźnimy”. Jeszcze nigdy w życiu nie miał prawdziwego przyjaciela.

Caro też tego chciała.

- Po prostu mam ochotę trochę się tobą popprzechwalać. Czy to źle?

To, że była z niego taka dumna, chwytало go za serce. Cała historia z Caro, ona sama i wszystko, co się z nią łączyło,

wydawało mu się nadzwyczajne. Uczyniło go nieostrożnym, uspiło jego naturalną nieufność.

Naprawdę myślał, że znalazł miłość swojego życia.

W ciemności kina nikt nie widział łez spływających mu po policzkach. Zdławił szloch, podchodzący mu do krtani, płacząc niemo nad sobą, Caro i miłością, która okazała się tylko pożądaniem.

*

Margot okazywała mu lekceważenie. Dzieci leżały już w łóżkach. Od dwóch dni nie widziały ojca.

Nawet nie posmarowała mu chleba. Bert siedział w kuchni, pijąc piwo, chociaż mu nie smakowało. Przez cały dzień nie zjadł konkretnego posiłku, czuł, że go mdli, wciąż nie opuszczała go frustracja.

Z salonu dobiegały odgłosy telewizora. To był kryminał. Jakby Margot chciała mu zademonstrować, jak należy wyjaśniać sprawy. Bert uśmiechnął się pobłaźliwie. Scenarzyści rozwiązywali swoje przypadki na papierze. W rzeczywistości tak to, niestety, nie funkcjonowało. Można mieć genialne przeczucia, pracować ze zgranym zespołem, wykazując się wielką gorliwością - gdy brakuje odrobiny szczęścia, chybia się celu.

Przez cały dzień kolejny raz analizował wszystkie ślady. Ponad godzinę siedział przed swoją tablicą, wpatrując się w zdjęcia, mapy i notatki. Jeszcze raz przeczytał wiersze Caro i jej pamiętnik. Telefonował do północnych Niemiec i rozmyślając, wypił sześć kubków kawy. Wszystko na nic.

„Tak to jest, Margot - myślał. - Tak i nie inaczej. Mój zawód polega głównie na żmudnej, niespektakularnej dłuba-

ninie i rozmyślaniu. Tamten kryminał możesz włożyć między bajki". Wypił ostatni łyk piwa i wstał. Bolały go wszystkie kości. Jak u starego człowieka. Powłókłszy się po schodach na górę, po cichu wszedł do pokoju syna. Naciągnął zsuniętą kołdrę, by przykryć chłopca, i postał chwilę, patrząc na niewinną dziecięcą twarz.

„Gdyby nie ty - pomyślał — i twoja siostra, spakowałbym się i poszukał pokoju. Czuję się tak pusty, zużyty i niezrozumiany".

Córki w pokoju obok nie musiał przykrywać, tylko delikatnie pogłaskał jej włosy. Spała tak mocno, że nawet nie drgnęła.

Bert przysiadł w nogach łóżka, opierając się plecami o ścianę, podwinął kolano i objął je rękami. Słuchając oddechu śpiącej, z ulgą zamknął oczy. Żyła. Cała, zdrowa i wesola. Do tej pory nikt nie zadał jej cierpienia. W wieku ośmiu lat wciąż świat jej nie zagrażał.

„Do tej pory" - pomyślał. Ze zmęczenia piekły go oczy. Musi wreszcie pójść do lekarza, by przepisał mu okulary. Tylko kiedy? Nigdy nie miał czasu na takie błahostki.

„Do tej pory" - przemknęło mu po raz kolejny przez głowę. Powinien wiedzieć najlepiej, że nikogo nie da się ustrzec przed niebezpieczeństwem.

Córka, jakby w odpowiedzi na jego myśli, cicho westchnęła.

-Już dobrze - mruknął Bert uspokajająco. - Śpij dalej.

Czasem miał wrażenie, jakby życie rodzica składało się głównie z zaklęć. „Wszystko będzie dobrze". „Nic ci się nie stanie". „Nie bój się". Czy kiedykolwiek wierzył we własne słowa?

Za każdym razem, gdy stał przed zwłokami dziecka albo młodego człowieka, dzwonił do domu, żeby się upewnić, czy z jego dziećmi wszystko w porządku. I zawsze na widok martwego ciała przeszywał go ból, który tłumiał oddech.

Co by czuł, gdyby córce ktoś wyrządził taką krzywdę jak kolekcjoner łańcuszków tym czterem dziewczynom?

„Zabiłbym go - pomyślał chłodno Bert. - Wytropiłbym go i zabił”.

Ale teraz nie chciał sobie zaprzętać głowy tą sprawą. Pragnął tylko posiedzieć i strzec snu swojej córki. Jako zadośćuczynienie za to, że dzisiaj nie miał dla niej czasu.

A za pół godziny może zejdzie i spróbuje porozmawiać z Margot. Małżeństwo kończy się dopiero wtedy, gdy brakuje już słów. I uczuć. Dopóki ludzie się kłócą, istnieje jeszcze nadzieja.

Nie spostrzegł się, kiedy broda opadła mu na piersi. W półśnie poczuł, że żona go budzi. Po omacku przeszedł do sypialni, rozebrał się i padł na łóżko. Czuł, jak Margot go przykrywa, głęboko odetchnął i spał do rana.

*

Nie mógł zasnąć. W pokoju panował nieznośny zaduch. Powietrze wisiało nieruchome, ciężkie przed zbliżającą się burzą.

Z filmu właściwie nic nie zapamiętał. Po pierwsze, nigdy nie przepadał za komediami, po drugie, nie nadawał się do szpiegowania. Nie miał jednak umiejętności detektywa.

Najchętniej pozwoliliby się dziewczynom rozpoznać. Powiedziałby im, jak bardzo brakuje mu ich przyjaciółki. Ze tak niezmiernie go rozczarowała. I że jej miłość tak naprawdę okazała się czymś innym.

Caro bardzo rozpała jego emocje, nie mógł się od niej uwolnić, jak od kolców jeża morskiego, na którego kiedyś nadepnął w czasie urlopu. Ale usunął je lekarz.

W ciemnym kinie wspomnienia wspólnie spędzonego z nią czasu opadły go jak chmara much. Cały ociekał potem.

Może, uczepił się tej nadziei, może z bólem i smutkiem jest jak z atakiem gorączki, potem się od niego uwolni. Od Caro. Od miłości. Od żalu.

Przestanie być zależny od jakichkolwiek uczuć.

Gdyby jakiś cud mógł ożywić dziewczynę, czy modliłby się o jej wskrzeszenie?

Tak. Tak. Tak! Omal nie wykrzyknął tego na głos. Zasłonił usta dłonią. Nie wolno mu stracić kontroli.

Żeby oderwać się od natrętnych myśli, skoncentrował się na dziewczynach siedzących przed nim. Przypomniął sobie, po co tu przyszedł. I udało się. Smutek ustąpił miejsca ciekawości. Kim jest ta, która odważyła się rzucić mu wyzwanie?

Może nagły przyływ uczuć naprawdę go oczyścił, jak ogień. Zapewne teraz znów uda mu się myśleć o przyszłości.

Potrzebował całej swojej siły, by zachować ostrożność. To niewybaczalny błąd uważać policję za zgraję głupków. Niedoceniając przeciwników, tylko się ich wzmacnia.

Dotyczyło to także Jette i jej przyjaciółki. Ich smutek i złość czyniły je nieobliczalnymi.

Wyprostował się, napinając wszystkie mięśnie. „Jak pantera przed skokiem - pomyślał i uśmiechnął się w ciemności. - Czarny cień, giętki i niemy. Groźny". Czy ta Jette o tym wiedziała?

Była druga w nocy, gdy Imke wyłączyła komputer. Wypalona i wyczerpana. Nie czuła satysfakcji, na którą tak liczyła. Ogarnęło ją raczej przygnębienie.

Udała się do toalety, a potem zeszła po schodach do kuchni. Ostatnio przegryzła coś późnym popołudniem. Edgar i Molly stały, miaucząc, pod drzwiami na taras. Zupełnie o nich zapomniała. Pełna wyrzutów sumienia wpuściła je do środka i podała karmę. Zawsze, gdy z pasją oddawała się pisaniu, nic innego jej nie obchodziło.

Wstawiła do zmywarki nakrycia, których już sporo się nazbierało. Przetarła wilgotną ściereczką blaty i nastawiła czajnik. Kuchnia wyglądała jak chlew. Trzeba koniecznie umyć podłogę. Na czarno-białej terakocie od razu widać każdą plamę.

Już teraz brakowało jej pani Bergerhausen. Nawet jej śpiewu. W tym tygodniu zaczęły się wakacje i wzięła pełne sześć tygodni urlopu. Żeby zająć się licznymi wnukami, które po kolei zapraszała do siebie na wakacje, rozpieszczając je.

Imke zrobiła kanapki z serem i zaparzyła czarną herbatę. Chętnie posiedziałyby w ogrodzie zimowym, ale czuła się tam jak na wystawie. Od czasu morderstw, szczególnie zabójstwa

Caro, samotność tego domu wydawała jej się szczególnie dotkliwa.

- Dlaczego piszę kryminały psychologiczne? - zapytała koty, które tylko na chwilę odwróciły uszy w jej stronę, nie przerywając jedzenia. - Kiedyś musi człowieka ponieść fantazja.

Poczekala, aż herbata naciągnie, postawiła filiżankę i talerz na tacy, po czym zaniósła je do salonu. Może o tak późnej porze puszcza w telewizji jakiś dobry film. Włączyła odbiornik w trakcie sceny przedstawiającej rozmowę matki z córką.

Jette! Zapomniała do niej zadzwonić. W okolicy grasował morderca, a ona zajęta pisaniem zapomniała o córce. A przecież już zdążył zabić Caro.

Imke przeskakiwała kanały, z odrazą patrząc, jak młode kobiety prostytuują się w seksistowskich spotach reklamowych. Na zewnątrz w ciemnościach słyszała absolutną ciszę.

Nie lubiła czasu między godziną drugą a piątą rano. Kiedyś gdzieś przeczytała, że właśnie wtedy najczęściej ludzi umiera. Czuli się krucha, bezbronna i bliższa śmierci niż życia.

„Później - pomyślała. - Zaraz po śniadaniu zadzwonię do Jette. I jeszcze raz spróbuję ją zachęcić do podróży. Dla dziewczyn wyjazd to najlepsze wyjście, najbezpieczniejsze, nieważne, dokąd się wybiorą”.

Czy powinna poprosić o pomoc Berta Melziga? Mógłby przemówić im obu do rozsądku. Uzmysłować im, w jakim niebezpieczeństwie się znajdują. Zwłaszcza po nieprzemyślanej groźbie Jette. A jeżeli obie wiedzą coś o mordercy, choć nie są tego świadome? Albo zabójca tak przypuszcza?

A jeśli ma klucz do ich mieszkania? Imke zagryzła kciuk, żeby nie krzyknąć. Jeżeli rację ma Tilo, to mordercą był

nieznany przyjaciel Caro! Trzeba koniecznie skłonić Jette do wymiany zamka w drzwiach. Albo jeszcze lepiej - z samego rana ona sama zadzwoni do ślusarza i postawi dziewczyny przed faktem dokonanym.

Edgar i Molly chciały wyjść. Otworzyła im drzwi na taras i szybko znów je zatrzasnęła. O koty nie trzeba się martwić. Nie musiały obawiać się mordercy. Najwyżej kuny, która grasowała w okolicy.

„Świat — myślała Imke — to miejsce straszliwie zimne i wrogie”. Wyłączyła telewizor, zostawiając tacę w salonie, i poszła na górę. Położyła się do łóżka z książką w rękę. Powieki miała ciężkie ze zmęczenia. Ale była zbyt zdenerwowana. Sen okazał się niemożliwy.

*

Na półpiętrze spotkałam panią Mertens z mieszkania pod nami, z dwuletnią Caroline, którą niosła na biodrze. Pozdrowiła mnie z uśmiechem i chwilę się wahając, poszła dalej. Jej córeczka szczebiotała jakieś niezrozumiałe słowa.

Mieszkańcy domu reagowali na śmierć Caro dosyć bezradnie. Wszyscy z zakłopotaniem przekazywali nam kondolencje, bojaźliwie unikając jakiegokolwiek rozmowy na ten temat. Być może uczestniczyli w pogrzebie, ale ani Merle, ani ja nikogo z nich wtedy nie zauważyliśmy.

Wtedy. Jak to zabrzmiało. Jakby ten dzień wydarzył się przed laty. Od śmierci Caro całkowicie straciłam poczucie czasu.

Otworzyłam drzwi do mieszkania i rzuciłam torbę z bułkami. Merle też wstała. Nakryła stół i wyczyściła ekspres do kawy. Postanowiłyśmy, że się nie poddamy, nie pograżymy się w smutku.

Zacząły się wakacje i chciałyśmy je wykorzystać. Ubrać się, zjeść śniadanie i realizować nasz zamiar, taki program ustaliłyśmy na najbliższe tygodnie. Jako cel wyznaczyłyśmy sobie znalezienie mordercy Caro.

Gdy siedziałyśmy przy śniadaniu, rozległ się dzwonek do drzwi. Dorit i Bob przynieśli nam dwa koty, które uratowali z laboratorium doświadczalnego podczas ostatniej akcji. Leżały apatycznie w koszach, nafaszerowane lekami.

Przygotowałam im kuwety w łazience. Merle rozłożyła koc pod umywalką. Na początek koty potrzebowały niewielkiego, dającego się objąć wzrokiem, zamkniętego pomieszczenia. Później, kiedy nabiorą ufności, zaczną stopniowo penetrować resztę mieszkania. Tak było zawsze.

Kiedy Dorit i Bob poszli, zadzwoniła mama. Oznajmiła, że zleciła ślusarzowi wymianę naszego zamka w drzwiach. Podczas jej monologu wzbierała we mnie dawna złość. Jak długo, nieproszona, zamierza się wtrącać w moje życie?

- Mamy jasną umowę - przypomniałam. - Ty żyjesz swoim życiem, a ja swoim. Nie możesz wreszcie zacząć się tego trzymać?

Słyszałam, jak głęboko wciągnęła powietrze. Może nie szło jej pisanie i była rozdrażniona.

- Proszę cię, Jette - powiedziała. - Musicie się mieć na baczności. Morderstwo przestało być wyłącznie słowem z wiadomości.

Pół godziny później zadzwonił tata. Zazwyczaj rzadko się odzywał, właściwie tylko gdy trzeba było załatwić coś ważnego. Nie miałam o to żalu, a ta odrobina bliskości w zupełności mi wystarczała.

Tym razem zapraszał, żebym pojechała na urlop z nim, Angie i moim małym przyrodnim bratem.

- To pomysł mamy? - zapytałam.

Odrzucił tę sugestię z wielkim oburzeniem, a ja zyskałam pewność, że się nie myliłam.

- Zaproszenie dotyczy też twojej koleżanki - dodał. Nie byliśmy ze sobą na tyle blisko, żeby zapamiętał imię Merle.

Grzecznie odmówiłam.

- Miło z twojej strony, tato. Ale nie musisz nas chronić. Same o to zadbamy.

- Księżniczko - mówił tak cicho, że ledwo go rozumiałam — jesteś mi potrzebna. Uważaj na siebie.

Już dawno nie nazywał mnie księżniczką.

- Wiem. Nie martw się.

Kliknęło w telefonie, gdy zakończył rozmowę. Jeszcze przez chwilę trzymałam słuchawkę w ręku. Urlop z Angie był ostatnią rzeczą, jaką mogłam sobie wyobrazić. To świadczyło o straszliwej desperacji, skoro mamie przychodziły do głowy takie pomysły.

Poszłam do pokoju Caro, wyjęłam z półki album i wybrałam jedno z jej zdjęć. Zajrzałam jeszcze do kotów. Pogrążyły się w głębokim i mocnym śnie. Zamknęłam drzwi od łazienki i wsadziłam głowę do pokoju Merle.

- Możemy ruszać?

Merle złożyła plan miasta, który właśnie studiowała, i kiwnęła głową.

- Od czego zaczniemy? - zapytałam, kiedy stałyśmy przy moim samochodzie.

- Od Płonącej Świecy - odpowiedziała. - Caro często tam bywała.

Płonąca Świeca to knajpka, w której spotyka się głównie okolicznych punków. Nasza przyjaciółka przez jakiś czas kręciła się w tym środowisku i została wierna temu lokalowi, nawet kiedy od nich odłączyła. Podtrzymywała jedynie kilka dawnych przyjaciół.

Tak wcześnie rano niewiele się tu działo. Zwietrzały zimny dym papierosowy mieszał się ze świeżym. Dwaj młodzi ludzie, których nigdy nie widziałam, siedzieli przy jednym ze stolików z tyłu, zaciągając się jointami. Staralam się oddychać jak najpłycej. Ten słodkawy zapach był nie do zniesienia. Często go czułam w pokoju Caro.

- Poza nimi nie ma nikogo? — zapytała Merle kelnerkę pracującą tu chyba od niedawna.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Żuła gumę. Miała wygoloną głowę z wyjątkiem wściekle czerwonego pasma włosów biegnącego od czoła od karku.

Pokazałam jej zdjęcie.

- Widziałaś tu kiedyś tę dziewczynę?

Patrzyła na fotografię z rezerwą, powoli cofając się o krok.

- Nie. A jeśli nawet, co was to obchodzi?

- Miała na imię Caro - powiedziałam - była naszą przyjaciółką. Została zamordowana.

Nieufność zniknęła z twarzy dziewczyny.

- Kolekcjoner łańcuszków? - zapytała. Kiwnęłam głową.

- Naprawdę mi przykro. Ale nie mogę wam pomóc. Pracuję tu dopiero od tygodnia.

Chłopaki przy stole z tyłu też nigdy nie widzieli Caro. Opuściłyśmy Płonącą Świecę i wróciłyśmy do samochodu.

- Najlepiej chodźmy na piechotę - zaproponowała Merle.

Miała rację. Po wąskich uliczkach starówki, z dramatycznym brakiem miejsc do parkowania, najlepiej chodzić pieszo. Auta możemy użyć później, gdy zajmiemy się dzielnicami na obrzeżach. Odnajdziemy wszystkie kawiarnie i bistra, w których mogła kiedyś bywać Caro, każdą knajpę i dyskotekę.

Pewnie policja już to zrobiła, ale być może przeoczyli jakiś ślad. Poza tym z nami porozmawiają także ci, którzy glinom nie puściliby pary z ust.

Nasz plan wydawał się dobry. Krok po kroku. Nikt nas nie powstrzyma.

*

Bert usłyszał chrzęst żwiru pod oponami. Gdy wjeżdżał na podjazd, odniósł wrażenie, że gra w jakimś filmie. Tak nie mieszka żaden zwyczajny człowiek! Ale bogactwo zapewne za nic ma normalność. Patrząc na stary budynek, z trudem stłumił ukłucie zazdrości. To spełnienie jego marzeń.

Domek szeregowy — wszystko, na co mogli sobie pozwolić z Margot - w porównaniu z młynem, odrestaurowanym z pietyzmem, wydał mu się pudełkiem na buty. „Potrzeba pieniędzy - myślał - żeby tworzyć piękne rzeczy”.

Kiedy wysiadał z samochodu, pisarka już szła mu naprzeciw. Miała na sobie białą sukienkę bez rękawów, która podkreślała jej opaleniznę.
- Wspaniale, że znalazł pan dla mnie czas.

Jakimś sposobem ta kobieta zawsze dobierała właściwy ton. Tą uwagą zbiła go z tropu, bo właściwie w ogóle nie miał czasu na tę wizytę. Ale rano szef znowu wygłosił kazanie. Imke Thalheim, a także jej córkę należy traktować w sposób

uprzywilejowany. „Wykorzystując znajomości, może nam zamienić życie w piekło” - to jego słowa.

Ale i tak komisarz był gotów przyjąć od niej zaproszenie. Gdy szli w stronę domu, zastanawiał się, o czym chciała rozmawiać. Przez telefon nic na ten temat nie wspomniała.

Weszli do bajecznie urządzonego holu, w którym panował przyjemny chłód. Na rattanowym fotelu w świetle słońca wpadającego przez wysokie okno leżały przytulone do siebie dwa koty. Mniejszy z nich wstał, przeciągnął się i zeskoczywszy na podłogę, podszedł do Berta i zaczął się łąsić.

Imke Thalheim spojrzała zaskoczona.

- Tak jest z większością kotów - tłumaczył zakłopotany. - Coś im się we mnie podoba. - Dopiero teraz spostrzegł wodę płynącą w rynnie na podłodze.

- Architekt uznał za dobry pomysł, aby poprowadzić strumień przez dom - wyjaśniła Imke swobodnym lekkim tonem, typowym dla kobiety zamożnej. - Nie przewidział, że moje koty lubią łowić ryby. Stale mam tu drobne powodzie.

- A jeśli strumień wystąpi z brzegów? - zapytał Bert.

- Nic się nie stanie. Uwzględniono i taki scenariusz. Poprowadziła go na taras, prosząc, żeby usiadł przy stole nakrytym dla dwóch osób. Potem poszła po kawę, zostawiając go samego.

Bert się rozglądał. Krajobraz przypominał mu północne Niemcy. Przestrzeń, w oddali beczenie owiec i szemranie strumienia w pobliżu na chwilę wzmogły jego senność. Co by dał za to, żeby móc tak mieszkać!

Pomyślał o osiedlu, w którym stał jego szeregowy domek. Mur przy murze, drzwi w drzwi, okno w okno z innymi do-

mami. Z tak maleńkimi ogródkami, że właściwie nie zasługiwały na tę nazwę. Ledwie starczało miejsca na kilka krzewów i bylin, może jeszcze na minitaw.

Imke Thalheim przyniosła kawę i postawiła na stole napoczęty tort migdałowy.

- Proszę się częstować - zachęciła.

- Chętnie, dziękuję.

Podstawił jej talerzyk, na który nałożyła kawałek deseru.

- Przepyszny, ale dla figury zabójczy. - Natychmiast uświadomiła sobie, co powiedziała, gdyż oblała się rumieńcem.

Bert to znał. Większość ludzi konfrontowanych z nagłą śmiercią reaguje niezwykle drażliwie na słowa, które mają z nią związek. Spróbował tortu.

- Rzeczywiście znakomity - potwierdził. - Ale przecież nie zaprosiła mnie pani na pogawędkę przy kawie.

- Rzeczywiście. - Opanowała się już i jadła z wyraźnym apetytem. - Chciałabym z panem porozmawiać. A ponieważ jeszcze nie zdążyłam zjeść śniadania, pomyślałam, że dobrze byłoby wspólnie coś przekąsić. I zanim pan zapyta - tort nie jest własnej roboty. Kupiłam go.

- Nie zapytałbym o to.

- Oczywiście. Głupio z mojej strony.

Bert miał wrażenie, że zna tę kobietę całe życie. Jej balansowanie słowami wydało mu się odwieczną grą prowadzoną między nimi. Jednocześnie wszystko, co mówiła i robiła, podniecało świeżością.

- Chcę z panem porozmawiać o mojej córce - oświadczyła.

Skinął głową. Właściwie mógł się tego domyślać.

- Martwię się o Jette i Merle. Czy może mnie pan uspokoić? Śledztwo posunęło się dalej? Czy istnieje konkretny trop?

Bert odstawił talerzyk.

- Wie pani, że nie wolno mi o tym mówić. - Właściwie powinien być teraz poirytowany. Po to go tutaj wezwała? Ale się nie zdenerwował. Przeciwnie — cieszył się z zaproszenia.

- Nic z tego, co pan powie, nie wyjdzie poza to miejsce.

- Spojrzała na niego szczerze i z przekonaniem.

„I to - pomyślał - obiecuje mi akurat pisarka. Z przyzwyczajenia zapewne wykorzystuje każdą informację". Ale nie chodziło przecież tylko o jej zawód. To także matka dziewczyny, której być może groziło niebezpieczeństwo.

- Otrzymujemy niezliczone wskazówki od mieszkańców

- zaczął ostrożnie - i badamy każdy trop. - Wzruszył ramionami. - Dotychczas jednak żaden z nich nie okazał się właściwy.

- Czytałam wiersze Caro - wyznała Imke Thalheim. Bert zdziwił się, dlaczego go to zaskoczyło. Nie musiał pytać, w jaki sposób zdobyła te teksty.

- Dziewczyna miała ogromny talent. Przecież pan o tym wie. Przypuszczam, że pan też je zna.

Komisarz przytaknął.

- W umiejętny sposób szyfrowała swoje wypowiedzi. Znów skinął głową.

- W jej wierszach kryją się wskazówki dotyczące mężczyzny, z którym ostatnio się spotykała.

- Zakłada pani, że on jest mordercą?

- Tak. Bo ta poezja opisuje bardzo ciemną, groźną miłość. „Czy to nie jest jedyny prawdziwy rodzaj miłości? - zastanawiał się Bert. — Czy wszystko inne nie jest zwykłą grą?”.

Spojrzała na niego badawczo i miał wrażenie, że odgadła jego myśli. Urażony unikał jej wzroku.

- To wcale nie oznacza, że musiała zakończyć się morderstwem - powiedział i sam wydał się sobie nieszczerzy. Czy jego rozważania nie szły w tym samym kierunku?

- Słabo mi się robi na myśl, że ten człowiek niezauważony może przebywać w pobliżu dziewcząt - wyznała Imke Thalheim. - Dopóki nie znamy jego tożsamości, nie można wykluczyć, że to właśnie on jest mordercą.

- Przypomina zjawę - powiedział Bert. - Przystudiowałem dziennik Caro, ale nie ma w nim ani jednej przydatnej wskazówki na jego temat. Nic. Zupełnie. Nie do wiary. To niemożliwe, żeby człowiek nie pozostawił żadnych śladów w życiu innego.

- Zwłaszcza gdy ludzie się kochają. - Imke Thalheim oparła się i założyła nogę na nogę. - Myśli pan, że Jette i Merle grozi niebezpieczeństwo?

Już się zorientował, że jej taktyka polega na tym, by wzbudzić w rozmówcy poczucie pewności, a potem znenacka zadać podchwytliwe pytanie. Dlatego był przygotowany.

- Nie bezpośrednio - odparł.

- To wystarczająca pożywka dla mojej wyobraźni. - Zacisnęła oczy. - Wyobraża pan sobie, jakie to uczucie patrzeć na własne dziecko, które biegnie w stronę przepaści, i nie potrafić mu pomóc?

- Niech pani gdzieś wyśle dziewczęta — doradził. — Są przecież wakacje.

- Właśnie o tym chciałam z panem porozmawiać.

- Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie się zatrzymają - dodał. — Mogą się jeszcze pojawić pytania.

- Odmawiają wyjazdu. I w tym tkwi problem. Dlatego pomyślałam o panu. Czy porozmawiałby pan z nimi jeszcze raz i jakoś na nie wpłynął?

- Wpłynął? Na Jette i Merle? Chyba nie mówi pani poważnie.

- Ma pan rację. Obie są tak uparte, że najchętniej własnoręcznie zawlokłabym je na dworzec i wsadziła do pociągu.

- Czemu pani tego nie zrobi?

- Jeszcze pan pyta?

Roześmiali się i dystans, który powstawał przy każdym jej zdaniu, zniknął.

- Dobrze - obiecał komisarz. - Spróbuję. Ale proszę nie wiązać z tym zbyt wielkich nadziei.

Odprowadziła go do samochodu. Kiedy chciał jej podać rękę, nachyliła się w jego stronę i stając na czubkach palców, szybko pocałowała go w policzek.

*

Na drodze krajowej Bert nastawił płytę Johna Milesa, dodał gazu i usiłował odzyskać jasność umysłu. Nie zaliczał się do mężczyzn poszukujących miłosnych przygód. Kochał swoją żonę. Miał dobre relacje z dziećmi. Swoje życie akceptował takim, jakie jest. Nie potrzeba mu komplikacji. Policjant nawet nie powinien o tym myśleć, by zbliżyć się do kogoś związanego ze sprawą.

Niemożliwe. Taka kobieta jak Imke Thalheim i mężczyzna jak on. Nie do pomyślenia. Jak woda i ogień. Jak góra i dolina. Jak światło i cień.

Musie was my first love and it will be my last, śpiewał John Miles. Przy tej piosence Bert zawsze miał wrażenie, że wy-

starczy wyciągnąć ręce, by pofrunąć. *Music of the future and music of the past*. Nastawił dźwięk głośniej. Samochód wydawał się wręcz unosić ponad drogą.

Jej śmiech. Sposób, w jaki słuchając go, przechylała głowę na bok. Jak się poruszała. I dlaczego go pocałowała?

„To nie ma przyszłości” - powiedział sobie.

Wiedział, że piosenka, której słuchał, w niektórych miejscach to czysty kicz. Ale nim wstrząsnęła. Włoski na rękach stanęły dęba, po plecach przebiegł mu dreszcz.

Zmuszał się, by mocno trzymać kierownicę, żeby nie zawrócić i nie popełnić największego głupstwa w swoim życiu.

*

Ledwie weszła do domu, zadzwonił Tilo. Czułe tony w jego głosie były dokładnie tym, czego potrzebowała. Opowiedziała mu o spotkaniu z Bertem Melzigiem. Nie opuściła niczego z wyjątkiem pocałunku. W rzeczywistości jednak i tak większość zataiła.

Słuchał z uwagą. Poświęcał jej czas, którego w ogóle nie miał.

- Może uświadomi dziewczynom, w jakim są niebezpieczeństwie — stwierdziła Imke. — Już nie wiem, co robić. Ach, nawiasem mówiąc, wysłałam do nich ślusarza, który ma im wymienić zamek w drzwiach.

- Dobry pomysł - potwierdził.

- Wiem. Bo ja to wymyśliłam.

Uśmiechnął się. Czuła to. I nagle uświadomiła sobie, jak jest jej bliski.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Dziękujesz? Za co?

- Po prostu za to, że jesteś, jaki jesteś.

Po skończonej rozmowie siedziała jeszcze przez chwilę ze słuchawką w ręku i była zła z powodu własnej spontaniczności. Pocałunek w policzek nic nie znaczył. Ale czy komisarz też o tym wiedział?

*

Nie miałam pojęcia, w ilu kawiarniach i bistrach przesiadywała Caro. Ilu ludzi znała. I ile osób ją lubiło. Niektórzy płakali, widząc jej zdjęcie.

Nikt jednak nic nie wiedział o jej przyjacielu.

- Czy to ten... to znaczy, czy on ją... Wiedziałam, jak ciężko wymówić to słowo. Nawet nie

dało się o tym myśleć. Z czasem zaczynałam mieć senne koszmary. Z Merle działało się to samo. Obie bałyśmy się iść spać.

- Znowu nic. — Jęknęła, odhaczając Kakadu. — Pieką mnie stopy, burczy mi w brzuchu, leje się ze mnie pot i czuję się wykończona.

Rzuciłam okiem na listę w jej ręku. Teraz kolej na kawiarnię Na Wieży.

- Tam coś zjemy, okej?

Już sama myśl o posiłku dodała nam energii. Szłyśmy szybciej, znowu wstąpiła w nas nadzieja. Ktoś musiał widzieć Caro i tego mężczyznę razem. Trudno wciąż pozostawać niewidzialnym. Zawsze istnieje jakiś ślad, choćby najmniejszy.

*

Zadał sobie pytanie, co sądzi o tej Jette. Czy w ogóle coś do niej czuje. Nie potrafił powiedzieć.

Może ciekawość. Tak. Trochę go intrygowała.

Odkąd stracił Caro, coś w nim zgasło, wypaliło się. Georga ogarnęło zmęczenie. Dzień w dzień odnosił wrażenie, że apatycznie snuje się sam za sobą jak cień.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy Jette rzuciła mu wyzwanie, które w okolicy wciąż pozostawało tematem numer jeden. Uwolniła myśli Georga, zaprzatając mu głowę. Na przykład zaciekało go, czy uda mu się zdobyć tę dziewczynę.

Zdobyć. Lubił te dumne słowa, których w dzisiejszym świecie pozostało niewiele. Te szlachetne, sugestywne, potężne słowa, bez których trudno byłoby znieść powierzchowną rzeczywistość.

Rozkochać w sobie dziewczynę, która go nienawidziła. Uśmiechnął się. To by mu odpowiadało. Taka gra bardzo mu się podobała.

Ona go nie zna. Nic o nim nie wie. Nie ma pojęcia, że to właśnie jego nienawidzi.

I trzeba pamiętać jeszcze jedno: to najlepsza przyjaciółka Caro. W pewnym sensie stała się więc jej częścią. Gdyby go pokochała, jakaś część Caro wciąż by do niego należała.

Znowu się uśmiechnął, a łzy napłynęły mu do oczu. Może jednak nie stracił Caro ostatecznie.

Po pierwszym zabójstwie Bert od razu pomyślał o zbieraczach truskawek. Typowe. Zgodnie z zasadą: „Zamykajcie kury w kurniku, jadą Cyganie!”.

Teraz powrócił do tego tropu. W jednym z wierszy Caro napisała:

*śpieszysz
przez świat
w siedmiomilowych
butach*

Robotnicy sezonowi jeździli z miejsca na miejsce i zostawiali tam, gdzie znajdowali pracę. Czy *siedmiomilowe buty* właśnie to oznaczały? Czy w przypadku mężczyzny, którego kochała Caro i być może stała się jego ofiarą, chodziło o zbieracza truskawek?

Komisarz zaklął. Wołałby swoje rozmyślenia opierać na bardziej solidnym fundamencie niż wiersze.

Szef ostrzegał go, żeby pochopnie nie koncentrował się na jednej osobie, przez co nie badałby dostatecznie wnikliwie innych śladów.

„Jaki stosunek łączył nieznanego przyjaciela Caroli Steiger z pierwszą ofiarą, Simone Redleff? W jej przypadku nigdy nie pojawiła się sprawa podejrzanego związku”.

Trudno temu zaprzeczyć. Simone nie miała stałego chłopaka. Przynajmniej z rodzicami nigdy nie rozmawiała o żadnym przyjacielu i nie przyprowadziła nikogo takiego do domu.

Redleffowie późno zostali rodzicami i wydawało się, że nie idą z duchem czasu. Córkę wychowali na powściągliwą, nieśmiałą, niemal lękliwą dziewczynę. Potwierdzali to wszyscy uczniowie i uczennice z jej rocznika.

Czy pierwsze morderstwo mogło wydarzyć się przypadkiem? Czy zabójca nie znał ofiary? Ale jak dopasować do tego drugie?

Komisarz zadzwonił do kolegów z północnych Niemiec. Dokładnie prześwietlili wówczas robotników sezonowych w całej okolicy. Sporządzili listy nazwisk dla okolic Jever i Aurich, tak samo jak Bert zrobił to tutaj.

Zaraz po zabójstwie Simone Redleff Bert prosił, by wymienili się listami. Wśród zbieraczy truskawek w okolicy Eckersheim odnalazł kilku pracujących przy zbiorze szparagów, truskawek i na plantacjach owoców także na północy. Ale wszyscy mieli alibi.

Koledzy z północy nie mieli żadnych nowości. Błądzili po omacku, nie inaczej niż Bert i jego zespół, tyle że znacznie dłużej.

Komisarz ponownie przejrzał notatki z rozmów. W większości zbieracze truskawek pozostawali małomówni, niektórzy

zaś porywczy i agresywni. Nikt nie chciał się wychylać przed szereg. Skoro nie mogli się bronić przed dociekliwością policjantów, to przynajmniej chcieli im jak najbardziej utrudnić pracę.

Na notatki składały się krótkie, robione na poczekaniu opisy osób, z którymi Bert rozmawiał. Dla niego miały większą wagę niż wszelkie nagrania na magnetofon. Bo musiał dokonać wyboru wrażeń i informacji. Po czasie najczęściej się okazywało, że zapisał to co istotne.

Jego metody śledcze Margot określała jako własnoręcznie dziergane. Jeśli była w dobrym humorze, nadawała temu wyrażeniu sympatyczne zabarwienie, a jeśli nie, brzmiało złośliwie. Jednak było ono trafne. Z biegiem lat wypracował własny styl pracy. Długo próbował różnych możliwości łączenia ze sobą wiedzy i intuicji.

Jego sposób postępowania pozostawał staroświecki. W ważnych sytuacjach bardziej ufał rozumowi niż najbardziej wyrafinowanym badaniom technicznym. I uczuciu. Ale tym się raczej nie chwalił. Niektórzy i tak traktowali go jak dziwaka.

Po ponownej lekturze notatki nie nasunęły żadnego nowego podejrzenia. Może powinien jeszcze raz wybadać zbieraczy truskawek.

Szef miał rację, brakowało widocznego związku między przedostatnią i ostatnią ofiarą. Nic. Nigdzie. Poza faktem, że obie dziewczyny zostały zabite w ten sam sposób i obie mieszkały niezbyt daleko od Eckersheim.

A pola truskawek należały do jednego z tutejszych chłopów.

Bert zamknął notes i włożył go do kieszeni marynarki. Wyszedł z biura i wsiadł do samochodu, ruszając w drogę do

właściciela plantacji. Jeszcze dokładnie nie wiedział, co będzie tam robił.

Następnie postanowił skontaktować się z Jette i Merle. Pomijając fakt, że to obiecał, denerwowała go myśl, że może już zaczęły jeździć po okolicy w poszukiwaniu zabójcy.

Kawiarnia Na Wieży rzeczywiście znajdowała się w wieży, pochodzącej z XV czy XVI wieku. Gdy byłam jeszcze w podstawówce, zwiedzaliśmy kiedyś starówkę w Bróhl i przed każdym, nawet najmniejszym zabytkiem musieliśmy zdzierżyć wykład naszej nauczycielki, pani Laubsam.

Na tej wycieczce pierwszy raz się zakochałam. On miał cudowne rude włosy, na imię Justin, ojca Niemca i matkę Angielkę, a kiedy się denerwował, używał słów z obu języków.

Wnętrze kawiarni miało kształt kolisty, jak przystało na wieżę, stoliki i krzesła były zabytkowe albo przynajmniej tak wyglądały, towarzystwo mieszane. Obrazy na ścianach to oryginały. Do nabycia, ale po cenach absolutnie nieprzystępnych. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś wychodził z kawiarni z obrazem pod pachą.

Jadłyśmy z Merle sałatkę letnią z pieczywem czosnkowym, początkowo starając się nie rozmawiać o Caro, bo obu nam dotkliwie jej brakowało. Często przychodziłyśmy tutaj we trzy.

- Smakowało? - zapytała kelnerka. Zbliżała się do trzydziestki, bardzo wysoka, bardzo szczupła i bardzo ładna. Pracowała tu od dawna. Do białej bluzki miała przyczepioną plakietkę, na której widniało imię Anita.

- Jak zawsze - odpowiedziała Merle.
- Świetne - dodałam.
- Dzisiaj bez koleżanki? - zapytała, stawiając talerz Merle na mój.
- Caro nie żyje - wypaliła Merle. Powiedziała to w jakiś przekorny sposób. Jakby kelnerka miała zamiar temu zaprzeczyć.
Anita pobladła. Patrzyła na nas bez słowa.
- Została zamordowana — wyjaśniłam. Dziewczyna odstawiła talerze i zasłoniła usta dłonią. Drugą ręką oparła się o stół.
- Kiedy była tu ostatni raz? - chciała wiedzieć Merle. Pomyślałam, że trzeba dać kobiecie trochę czasu. Zeby
wzięła się w garść. Wyglądała na całkowicie zszokowaną. Potrząsała głową, z trudem powstrzymując łzy.
- Na to nie zwraca się uwagi. Nikt nie liczy się z tym, że ktoś... zostanie zabity. - Jej głos z każdym słowem stawał się cichszy i cieńszy. Ostatnie słowo zamieniło się w tchnienie.
- Pamięta pani, czy przyszła tu sama? - zapytałam. - To znaczy niedawno.
Zastanawiała się. Mechanicznie pocierała ręką blat stołu. Słysząc było suchy szmer.
- Czasem przyprowadzała tu przyjaciela. Nieczęsto, może dwa, trzy razy.
Serce zabiło mi szybciej.
- Znała go pani? Potrząsnęła głową.
- Nigdy przedtem go nie widziałam. Potem zresztą też nie.
- Jak wyglądał? - chciała wiedzieć Merle. Zdawało się, że z napięcia wstrzymała oddech.

- Wysoki. Silny, ale szczupły. Wysportowany. Około trzydziestki.
Dobra twarz.

Cokolwiek miało to znaczyć.

- Jakież cechy szczególne? - drążyłam temat.

- Niesamowicie opalony - powiedziała z wahaniem. - Ale tak naprawdę, nie jak z solarium. Najpierw sądziłam, że pochodzi z Południa. Ale potem zauważyłam, że mówi bez akcentu. - Uśmiechnęła się. - Byli bardzo zakochani. Prawdziwe turkaweczki. Pamiętam, pomyślałam, że mnie też by się podobał. Ale patrzył tylko na nią.

- Czy coś poza tym zwróciło pani uwagę? - zapytałam.

- Mało mówił. Słuchał tylko waszej koleżanki, jakby się bał uronić jakieś słowo. - Pokiwała z namysłem głową. - To wszystko. Nie mam czasu obserwować gości i się nad nimi zastanawiać.

Ktoś ją zawołał, zabrała talerze i zniosła je do kuchni. Zajęła się innymi gośćmi. Po około dziesięciu minutach wróciła do naszego stolika.

- Dlaczego chcecie to wszystko wiedzieć?

- Próbujemy zrekonstruować ostatnie dni Caro - odparła Merle.

- To taki rodzaj pożegnania - dodałam.

- Rozumiem.

- Przyniesie nam pani jeszcze cappuccino? - poprosiłam.

- Oczywiście — odparła. - I wołałabym, żebyście mówiły mi po imieniu.

- Okej. - Uśmiechnęłam się do niej. - Jestem Jette, a to Merle.

Patrzyłyśmy za nią, gdy szła do kuchni. Merle nachyliła się do mnie.

— Może wie więcej. I stopniowo coś jej się przypomniało. Mocno chwyciłam jej rękę. Zrobiło mi się słabo ze zdenerwowania.

*

Arno Kalmer miał nosa do policjantów. Już po sposobie, w jaki ciemny peugeot wjechał na podwórze, rozpoznał samochód gliniarza.

Wysiadł ten cały komisarz. Zatrzasnął drzwi, ale ich nie zamknął. Czyżby naprawdę wierzył, że złodzieje nie ruszą auta tylko dlatego, że pracował w wydziale kryminalnym?

Arno splunął. Wiedział, że to jeszcze nie koniec. Spokój był złudny. Jeśli gdzieś coś się stało, zawsze w pierwszej kolejności podejrzewano jego pracowników.

Nie, żeby nie mógł tego zrozumieć - robotnicy sezonowi to faktycznie szczególna zbieranina, do której trudno przykładać zwykłe kryteria. Bardzo się między sobą różnili. Tylko jedno ich łączyło: najważniejsza była dla nich wolność.

Już po pierwszych dochodzeniach niektórzy się ulotnili. Nie chcieli, by ktoś zaglądał im w karty. Nawet wtedy, gdy nie mieli nic do ukrycia.

Nieraz się zdarzało, że jeden czy drugi zniknął w nocy. Takie sytuacje należało przewidzieć z góry, żeby zrealizować plan zbiorów.

Kalmer nie lubił swoich robotników. Ale ich potrzebował. I szanował ich trud. Jedyne pracowników, jakiego zatrudniał na stałe, zrobił się ociężały i leniwy. Mógłby teraz brać przykład z robotników sezonowych.

Z westchnieniem Arno wyszedł komisarzowi naprzeciw. Nie musiał pytać o powód jego wizyty.

- Usiądźmy gdzieś i porozmawiajmy — zaproponował policjant.

Poszli do domu.

- Zona jest na zakupach - powiedział Arno Kalmer. - Ale kawę potrafię zrobić. Życzy pan sobie?

Bert Melzig wolał szklankę wody. Usiadł na ławie w kuchni i wyciągnął z kieszeni notes.

*

Widział przejeżdżający samochód komisarza. Przynajmniej zakładał, że to jego auto, bo z daleka nie mógł rozpoznać kierowcy.

Należało się tego spodziewać. Nie wolno się denerwować. To przecież gra, którą podejmował już wielokrotnie. I znowu wygra. Z uśmiechem pochylił się nad roślinami, nie przerywając pracy.

- Nastrój ci dziś dopisuje? - zapytał Maile, balansując z pełną skrzynką przed sobą.

- Nie bardziej niż zwykle - bąknął Georg. Wolałby mu odpalić, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, ale wśród robotników tylko jeden go lubił - właśnie Maile. A od czasu do czasu sojusznik się przydaje.

Niektórzy w pośpiechu wyjechali. Tymi komisarz zajmie się w pierwszej kolejności. Dzięki temu Georg zyska czas. Mlasnął językiem. Czas? Na co?

Owoce pachniały oszałamiająco. Ciemnoczerwone i nagrzane od słońca. Prawie wszystkim zdążyły się już przejeść, ale jemu wciąż wydawały się pyszne.

Kiedy pozwalał sobie na szczerość, odczuwał dręczący niepokój. Komisarz powrócił. Rozpoczęło się polowanie. Ważne, żeby teraz nie popełnić błędu.

Leniwie stanął na nogi, uniósł skrzynkę i ruszył w stronę przyczepy, żeby odstawić owoce. Nikt nie pozna po nim zdenerwowania. Marnował talent aktorski. Tak zawsze powtarzała babcia.

Jednak nie traktowała tego jako pochwały. I wkrótce dziadek znowu ciągnął go do stodoły.

Wyprężył się. Nikt go już nie uderzy. Nigdy.

Nawet staruszek w końcu to pojął.

„Kiedyś - myślał Georg - wszyscy to zrozumieją”.

Nic więcej nie udało się wydobyć z Anity. Przyniosła sobie kawę i bułkę z serem i na chwilę się do nas dosiadła. Nie było dużego ruchu, a jeszcze nie jadła śniadania.

Należała do ludzi, którzy zawsze dobrze wyglądają, nawet gdy podczas jedzenia zostają im okruszki w kącikach ust. Zapewne gdy płakała, nie miała zapuchniętych oczu.

- Nie znasz przypadkiem jego imienia? - zapytałam, nie robiąc sobie wielkich nadziei.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiedziałam nawet, jak nazywa się wasza koleżanka.

— Nachyliła się, mówiąc bardzo cicho. — A teraz szczerze

- dlaczego naprawdę o niego pytacie? Tej wersji z pożegnaniem nie kupuję.

Z wahaniem spojrzałam na Merle. W końcu to żadna tajemnica, że szukamy mordercy Caro. Obwieściłam nasz zamiar przed szeroką publicznością. Pisano o tym w gazecie.

- Myślicie, że on ją zamordował? - Odłożyła bułkę na talerz, strzepując okruszki z palców. - Wiedziałam. Więc obsługiwałam gościa, który zabił waszą koleżankę. I trzy inne dziewczyny. O Boże!

Merle zapisała nasz numer stacjonarny i telefony komórkowe na podstawce do piwa, po czym podała ją Anicie.

- Okej - kelnerka powoli dochodziła do siebie. - Zadzwoń do was, jeśli coś mi się przypomni. Obiecuję.

- Co nieco już wiemy - stwierdziła Merle, gdy byliśmy na zewnątrz, i liczyła informacje na palcach. - Wiek około trzydziestki, wzrost wysoki, włosy ciemne, potrafi zawrócić kobietom w głowie. Ta Anita była nim zachwycona.

- I umie słuchać - dorzuciłam.

- A na dodatek naprawdę zakochał się w Caro. — Merle po chwili potrząsnęła głową. - Nie pozbawia się życia kogoś, kogo się kocha.

- Kto tak powiedział? - Merle miała skłonność do wyciągania pochopnych wniosków. Na matmie z tego powodu spotykały ją tylko kłopoty. - A zabójstwa w afekcie?

- Obcinał dziewczynom włosy. Caro nie mógł tego zrobić, bo go, że tak powiem, uprzedziła. Czyli przy każdym z morderstw schemat pozostaje ten sam.

- Czy to nie mogły być zabójstwa w afekcie? - Koniecznie chciałam, żeby Caro była kochana. Przynajmniej tyle.

- Jak sądzisz, ile takich „afektów” spotyka człowieka w życiu? - ironicznie zapytała Merle.

Miała rację.

- A jeśli to nie on zabił Caro? Niemożliwe, żeby kochała swojego mordercę!

- Właśnie tego chcemy się przecież dowiedzieć, Jette.
- Tłumaczyła mi jak matka dziecku, cierpliwie, powoli, chociaż z subtelną nutką irytacji.
- Ty też nie chcesz, żeby on okazał się zabójcą - zauważyłam.
- Oczywiście, że nie. - Merle wyciągnęła z torby listę.
- Tylko zdumiewa mnie, że się z nami nie kontaktuje. Przecież musiał pograć się w żałobie, może chciałby coś powiedzieć, zabrać jedną czy drugą rzecz z pokoju Caro. Na pamiątkę.
- Przecież życzył sobie nawet, żeby nam o nim nie mówiła.
- Rzeczywiście - przyznała Merle ponuro. - Mam do niego tysiąc pytań. Dlatego muszę go znaleźć.

*

Ile razy próbowała dodzwonić się do Jette i Merle? Dziesięć? Więcej? Tłumaczyła sobie, że w wakacje dziewczyny mają lepsze rzeczy do roboty niż przesiadywanie w domu. Ale to nie pomogło. Zamartwiała się.

Manuskrypt powiększał się o kolejne rozdziały. Szło jak po maśle. Jeszcze żadnej ze swoich powieści nie tworzyła w takim gorączkowym niemal pośpiechu. Każda książka miała własny charakter. Każda stanowiła nową część jej życia.

Pół godziny temu na tarasie podczas przerwy na kawę zwróciła uwagę na dwa fakty: na zbliżającą się zimę nie zgromadziła przy ścianie szopy wystarczającej ilości drewna i że morderca z powstającej powieści stał się jej bliski. Na zamówienie opalu miała jeszcze czas, ale od zabójcy powinna się jak najszybciej zdystansować.

W ostatnich dniach kilkakrotnie przyszło jej na myśl, czy aby jej twórczość nie przygotowywała gruntu dla strasznych morderstw. Wprawdzie rozsądek podpowiadał, że to urojenie, ale nie umiała pozbyć się tego uczucia.

Zrobiła jeszcze jedną kawę i wyszła z filiżanką do ogrodu. Widok sielskiego krajobrazu i nieba rozpiętego nad nim jak błękitna chusta w białe ciapki działał kojąco.

„Gdyby jednak jakieś niewidzialne nitki łączyły moje fikcyjne zbrodnie z rzeczywistością, w której rozgrywają się prawdziwe przestępstwa, natychmiast przestałabym pisać. Albo pisałabym tylko powieści o miłości”.

Zadzwoił telefon. Odkąd Imke zamieszkała w tym ogromnym domu na wsi, zawsze miała pod ręką komórkę. Dlatego odbierała już po drugim sygnale.

- Nie miałabyś ochoty zaprosić mnie na herbatę?

Jej matka. Od razu stało się jasne, że właśnie tej osoby teraz potrzebowała. Mama miała wprawdzie wiele wad i często ledwie dawało się z nią wytrzymać, ale w trudnych sytuacjach można było na niej polegać. Wtedy była jak skała w morskiej kipieli.

- Kiedy możesz tu być? — chciała wiedzieć Imke. Krótkie milczenie.

- To takie pilne? - usłyszała w odpowiedzi.

Tak. Do licha. Muszą porozmawiać. Mama miała to, co nazywa się zdrowym rozsądkiem. Jakimś sposobem zawsze umiała wyprowadzić sprawy na prostą. A może od tego są matki?

- Już nastawiam wodę.

Jak dziecko uczepliła się nadziei, że rozmowa z matką rozwieje wszelkie zagrożenia. I zaczęła cicho nucić.

- Czy za swoich robotników ręczę głową? - Arno się roześmiał. Zbyt głośno i bez wesołości. - Widzi pan, prawie nie znam tych ludzi. Oczywiście są tacy, którzy przyjeżdżają co roku, ale nawet oni pojawiają się tylko na kilka tygodni.

- Więc nie? - zapytał Bert.

Kalmer się nachylił. Jego ciemne oczy błyszczały, jakby miał gorączkę. Komisarz zwrócił na to uwagę już podczas pierwszej wizyty. Ten człowiek wydawał się stale działać na wysokich obrotach.

- Tak. Nie. - Uniósł dłonie. - Dla pana istnieje tylko białe albo czarne? Nic pomiędzy?

Gdyby już od początku nie wydawał się Bertowi niesympatyczny, tą uwagę udałoby mu się skutecznie do siebie zniechęcić.

- Więc może jednak?

- Pan się ze mnie natrząsa. — Arno oparł się i splótł na piersiach masywne ręce. Były mocno owłosione. Nad prawym nadgarstkiem ciągnęła się gruba blizna.

- Nic podobnego. Usiłuję jedynie być precyzyjny. Teraz Kalmer poczuł się urażony. Obserwował, jak jego opanowanie zamienia się w złość.

- Dla pana to w porządku, że po każdym przestępstwie w okolicy policja kieruje swoje kroki najpierw do mojego gospodarstwa?

Komisarz milczał. Tylko w ten sposób można rozwiązać język rozmówcy.

- Ludzie, których najmuje, są skrupulatni i wytrwali, co niekoniecznie można powiedzieć o miejscowych. Pracują uczciwie. Ich życie prywatne mnie nie obchodzi. - Bert nadal

nic nie mówił. - Są między nimi tarcia, jasne. Ale to się zdarza za każdymi drzwiami w tej cholernej wsi. Rozumie pan? Zapewne moi robotnicy nie mieszczą się w kategoriach przyzwoitości. To włóczędzy. Niektórzy nawet nie chcą spać w łóżku i wolą rozłożyć się w szopie. - Patrzył na komisarza wyzywająco. -1 co z tego? Czy przez to automatycznie stają się przestępcami?

„Dlaczego nie lubię tego faceta? - myślał Bert. - Przecież mówi, jakby czytał mi w myślach”.

- Oczywiście, że nie - przyznał mu głośno rację,

- To czego pan tu szuka? Już dawno wszystkich pan przepytał. Czy pojawiły się nowe poszlaki, które prowadzą do mnie?

- Chyba pan rozumie, że nie wypowiem się na ten temat. - Bert sam zauważył, że się wykręca.

Czasem nienawidził siebie za postawę wobec innych. Nieraz przy takich rozmowach pragnął zrzucić skórę policjanta i być sobą.

„Co by się wyłoniło spod maski policjanta?” - zastanawiał się.

Zanotował nazwiska mężczyzn, którzy wyjechali przed czasem. W pośpiechu, jak niechętnie przyznał Kalmer. Wypił wodę i wstał.

Arno odprowadził go do samochodu, patrząc za odjeżdżającym z dziedzińca.

„Cieszy się, że skończyłem” - pomyślał komisarz. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jego pojawienie się w roli policjanta wywołało czyjąś radość.

Imke Thalheim.

Od razu zrobiło mu się lżej na duchu. Głośniej podkręcił radio i zmierzał w kierunku Bróhl, by porozmawiać z dziewczętami. Nie tylko dlatego, że obiecał to pisarce, w żadnym wypadku nie chciał ich też spuścić z oczu.

*

Ciemny samochód odjechał. Ulga rozlała się po ciele Georga jak fala. „Muszę uważać - pomyślał. — Jeśli zawładnie mną lęk stanę się podatny na ataki”.

Nigdy więcej nie chciał taki być. Podatny na ataki.

Georg, poskromiciel smoków.

Drżały mu ręce. Wprawdzie lekko, ale drżały.

Głęboko nabrał powietrza i powoli wypuścił.

To jeszcze ciągle pomagało.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Omiał nie zaczął się modlić.

Wszyscy poznawali Caro, ale nikt poza Anitą nigdy nie widział jej z innym chłopakiem niż Gil albo z jej wcześniejszymi przyjaciółmi. Niektórzy nie byli pewni. Wahali się, unikali ostatecznych wypowiedzi.

Gdybyśmy chociaż miały zdjęcie z pogrzebu - może wtedy ktoś rozpoznałby tego człowieka. W to, że towarzyszył ukochanej w jej ostatniej drodze, nie wątpiłam ani przez chwilę. Jeśli był niewinny.

Miałam taką nadzieję. Muszę go koniecznie poznać. Bo kochał Caro. Zbliżył się do niej. Tak jak Merle i ja.

*witaj
czarny panie
twoje miejsce w mroku
nie przy mnie
witaj
najdroższy
mój
wejdź
ze mną
w światło*

Jaka była jego tajemnica? Dlaczego pozostawał w ukryciu? Co skłaniało go, by trzymać Caro w klatce milczenia jak ptaka, któremu zabroniono śpiewać?

Późnym popołudniem odhaczyłyśmy prawie wszystkie knajpy z naszej listy. Postanowiłyśmy jechać do domu, żeby zająć się kotami i trochę odpocząć, zanim wieczorem wyruszymy na objazd kilku klubów jazzowych i dyskotek.

Nie ograniczałyśmy się do Bróhl, bo miasto zawsze wydawało się Caro za ciasne. Jej aktywność wykraczała poza jego granice. Nie pierwszy raz cieszyłam się, że mam renault. Nawet bez klimatyzacji wygodniej docierałyśmy na miejsce niż autobusem czy kolejką.

Koty nie spały. Wyjadły z miski wszystko. Jeden nasikał obok kuwety. Lękliwie przycupnęły we wnęce między wanną a kabiną prysznicową.

Posprzątałam i nasypałam im suchej karmy. Uważnie mnie obserwowały, cofając się za każdym razem, gdy wyciągałam ku nim rękę.

- Są ogłupiałe - wyjaśniła Merle, wsuwając dwa kawałki pizzy do piekarnika. - Nic dziwnego, po tym, co przeszły. Może je zatrzymamy?

Też o tym myślałam. Z coraz większym trudem znajdowałyśmy domy dla tych wszystkich kotów, psów, świnek morskich, szczurów i myszy, które Merle ratowała ze swoją grupą.

- Uważam, że kot nadaje codzienności szczególny wyraz. - Nalała śmietanki do małej miseczki i zaniósła ją do łazienki. Poczłapałam za Merle, zagładając jej przez ramię. Koty pozwalały, by ich dotykała, wprawdzie wciąż jeszcze

nieufnie, ale nie schodziły jej z drogi. Wszystkie zwierzęta lubiły Merle.

- Nie mam nic przeciwko - przyznałam.

Ktoś zadzwonił do drzwi, nacisnęłam guzik domofonu. Poznałam go już po odgłosie kroków. Wchodził zawsze po dwa stopnie naraz. Zdyszany dotarł na górę.

- Takie schody to niemal sportowe wyzwanie — wysapał.

Zaprowadziłam go do kuchni. Zaproponowałyśmy mu kawę, ale odmówił.

- Chciałem tylko zobaczyć, jak wam się wiedzie - wyjaśnił.

- Bez ukrytych zamiarów? - nieufnie rzuciła Merle.

- Oczywiście - odparłam. - Założymy się? — Czułam się wykończona i rozdrażniona, na dodatek nie podobał mi się sposób, w jaki komisarz na nas patrzył, bo wzbudzał we mnie wyrzuty sumienia.

- Mam nadzieję, że porzuciłyście pomysł szukania mordercy Caro? - zapytał wprost.

- Nie - powiedziała Merle. - Nie porzuciłyśmy.

- I co? Są jakieś nowiny, które przed nami zataiłyście? — nie ustępował.

- Do tej pory nie - wyjaśniłam. To, czego dowiedziałyśmy się od Anity, wydawało się tak niepewne, że policja niekoniecznie musiała o tym wiedzieć.

- Czy ma sens ponownie przypominać wam o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdziecie, jeśli morderca słyszał twoją groźbę i potraktuje ją poważnie?

Potrząsnęłyśmy głowami.

- Mogę kazać was obserwować - wyjaśnił. - Żebyście nie wchodziły w kompetencje policji.

A jeśli już to zrobił? Od tej pory będziemy uważać, czy ktoś nam nie depta po piętach.

- Czy za pańską wizytą przypadkiem nie stoi moja mama? - zapytałam.

Jego milczenie i fakt, że unikał wzroku, wiele mówiły. Zanim jednak zdążyłam się zdenerwować, pizze były gotowe. Merle wyjęła je z piecyka.

- Zje pan z nami? - zapytała.

- Nie. Ale dziękuję za propozycję. Odprowadziłam go do drzwi. Przy schodach jeszcze raz , się odwrócił.

- Uważajcie na siebie! I pod żadnym pozorem nie lekceważcie mordercy. Zostawiłem wam na stole wizytówkę. W razie potrzeby możecie do mnie w każdej chwili dzwonić. Słyszycie? W każdej chwili.

Słyszałam, jak jego kroki się oddalają, wreszcie całkiem ucichły. Ten komisarz wydawał się właściwie całkiem miły. Zamknęłam drzwi i wróciłam do kuchni.

- Jego wizytówka. - Trzymałam ją w górze.

- Olej to - powiedziała Merle.

Nie wyrzuciłam jej. Oparłam o telefon. Nigdy nic nie wiadomo.

Imke potraktowała odwiedzinę matki jak dar. Pierwszy raz od długiego czasu nie padło między nimi ani jedno złośliwe słowo. To tak niezwykle i nieoczekiwane, że ze wzruszenia zwilgotniały jej oczy.

- Bardzo mi pomogłaś - wyznała. - Dziękuję.
- Przestań stale dziękować. - Mama machała w powietrzu mięsistą, upierścienioną ręką. - Ty też byś tak zrobiła.

„Mam nadzieję - pomyślała Imke. — Rola duchowej pocieszycielki to zupełnie nie mój styl”. A przecież matka wcale jej nie pocieszała. Po prostu pewne rzeczy ustawiła we właściwej hierarchii. „Podchodź do problemów realistycznie, a już w połowie same się rozwiążą”. To właśnie jej dewiza. I najwyraźniej doskonale się sprawdzała. W każdym razie jeszcze nigdy nie prosiła córki o pomoc.

- Wyślij dziewczęta na jakiś czas do mnie.

- Jette i Merle już nie są w tym wieku, żeby je gdzieś wysyłać, mamo.

- Nie możesz spróbować?

Pomysł nie wydawał się zły. Przynajmniej nie siedziałyby same w domu, gdzie każdy lokator zostawiał otwarte drzwi na klatkę, jak mu akurat pasowało.

- Zastanowię się - obiecała Imke.

- Jak tam twoja nowa książka? - Mama zmieniła temat, wchodząc tym samym na grząski grunt. Ich poglądy na literaturę znacznie się różniły.

- Idzie mi całkiem dobrze - wymijająco odrzekła córka. - Jaki temat tym razem wybrałaś?

Czyżby dało się słyszeć prawdziwe zainteresowanie? Czy mama prowadziła jedynie uprzejmą konwersację? Imke nie była pewna.

- Przetwarzam literacko morderstwa Caro i Simone Redleff.

- Niemożliwe! - Mama opuściła filiżankę. - Nigdy nie przyszło ci do głowy, że można też... przywołać katastrofę?

- Chcesz powiedzieć, jeśli o tym napiszę?
 - Właśnie.
 - Nie wierzę w takie rzeczy.
 - Rzeczy!
 - Te wszystkie ezoteryczne zabobony. To przecież wymysły!
- Nie powinna była tego mówić. Ale słowa już padły. Nie mogła ich cofnąć.
- Przepraszam, mamó. Nie chciałam przez to powiedzieć. ..
 - Już dobrze. Wiem, że te sprawy nic dla ciebie nie znaczą.
 - Zajmowanie się tym tematem dobrze mi robi - wyjaśniła Imke. - W ten sposób oswojam lęki: po prostu przelewam je na papier.
 - Chcesz powiedzieć: na monitor.
 - Oczywiście. Na monitor.
- Roześmiały się, a ta wesołość miała w sobie coś wyzwalającego. Ponad nimi bezgłośnie unosił się szybowiec. Przed oknem w kuchni gęstą chmurą tańczyły komary. Powietrze pachniało latem.
- „Zostaw moje dziecko w spokoju - powtarzała w myślach Imke. - Zostaw moje dziecko w spokoju”.
- Miała pełną świadomość, że w myślach rozmawia z mordercą. Z prawdziwym zabójcą, nie z jego wizerunkiem, jaki sobie wyobrażała podczas pisania.
- Chodź, mamó - zaproponowała, rozcierając sobie ramiona. — Wejdźmy do domu. Robi się rześko.

*

Rzeško? Mama spojrzała zdziwiona, nic jednak nie p_o wiedziała. Od dawna nie było tak gorąco. Wstała i poszła za Imke do domu. Na progu jeszcze raz się odwróciła.

Od samego początku, gdy córka wprowadziła się do tego domu, matka zwróciła uwagę na brak jakichkolwiek odgłosów cywilizacji. Co wówczas odbierała bardzo pozytywnie. Teraz myślała o tym inaczej.

Imke nie powinna mieszkać tutaj sama. Warto, by wprowadził się do niej ten Tilo. Przynajmniej dopóki nie zostanie schwytany morderca.

Nie lubiła przyjaciela córki. Miał zbyt przenikliwy wzrok. Wciąż odnosiło się wrażenie, że potrafi z człowieka czytać jak z książki. Ale to jedyny mężczyzna, który wchodził teraz w rachubę.

- Czy ten Tilo nie mógłby się na jakiś czas do ciebie wprowadzić?! - zawołała w kierunku kuchni, gdzie Imke pobrzękiwała talerzami. Zasunęła za sobą drzwi na taras, starannie je ryglując.

- Mamo, kiedy wreszcie przestaniesz mówić o nim ten Tilo? Tak. Kiedy? Westchnęła. Trudno uniknąć sprzeczki, skoro

obie są tak przewrażliwione. Skoro żadnej z nich nie mogła umknąć najdrobniejsza nawet aluzja w zdaniu albo intonacja.

„Pies też by się przydał - pomyślała matka. - Duży, silny, z łapami jak u drapieznika. Taki, który oddałby życie, by bronić swojej pani”.

- A gdybyś sprawiła sobie psa? - zawołała.

- Psa? Może jeszcze coś?

Znowu westchnęła. Córka zawsze była tak strasznie odważna, gdy chodziło o nią samą. Jakby tajemne zaklęcie czyniło ją nieśmiertelną.

„No dobrze - pomyślała. - Pójdę do niej do kuchni i delikatnie jej wytłumaczę, że się myli. Ze nie żyje pod kloszem. Ze ma czułe miejsca. I w końcu znów się pokłócimy. Będę sobie robić wyrzuty, tak jak i ona. Trochę później zadzwonimy, przeprosimy się i postanowimy, że następnym razem nauczymy się postępować ostrożniej wobec siebie. Nie za bardzo będzie się nam to jednak udawało, tak jak -dzisiaj”.

Zadzwonił telefon. Wzdrygnęła się i odczuła z tego powodu złość. Czy ją też opanował już strach?

*

Trudno za nimi jechać i ich nie zgubić. W kryminałach zawsze wyglądało to tak prosto. Dziś panował duży ruch. Jakby w tak piękną pogodę wszyscy ludzie wyruszyli w drogę.

Cieszył się, że jedzie samochodem, który nie zwraca uwagi — fiatem, niezbyt nowym, niezbyt starym, nie za dużym, nie za małym, o nierzucającym się w oczy kolorze. Nic nie zwracało uwagi.

Zajechały na parking przed dyskoteką i wysiadły. Zatrzymał się przy krawędzi ulicy, wyłączył silnik i obserwował je. Poszedł za nimi, dopiero jak zniknęły za drzwiami pomalowanymi zjadliwie zieloną farbą.

To nie było jedno z tych nowoczesnych miejsc, do których przychodzi tylko młodzież. Wszystko wydawało się tu starodawne, jakby czas zatrzymał się dziesięć lat temu.

Panował jeszcze niewielki ruch, muzykę nastawiono na taką głośność, przy której goście mogą rozmawiać i nie muszą do siebie wrzeszczeć. Usiadł przy barze i zamówił colę. Kiedy

przyjeżdżał samochodem, z zasady nie pił alkoholu. Wołał oszczędzić sobie komplikacji.

Jette i Merle usiadły z innymi młodymi ludźmi przy stoliku i puściły w obieg jakieś zdjęcie. Ci przyglądali się po kolei fotografii i przekazywali ją dalej. Zastanawiali się. Kręcili głowami. Z ubolewaniem wzruszali ramionami.

Przez chwilę poczuł się niepewnie. Czy to może jego zdjęcie? Zacisnął palce na szklance. Potem jednak uporządkował myśli. Caro nigdy go nie fotografowała. Nigdy nie odwiedziła go w pokoju w pensjonacie. A gdyby nawet - nie robiono mu zdjęć. Może z wyjątkiem tych, które miała jeszcze jego matka.

Caro nie udałoby się też sfotografować go potajemnie. Zauważyłby. Więc pewnie dziewczyny pokazywały jej zdjęcie i miały nadzieję, że ktoś widział ją razem z nim.

„Nonsens” - uspokajał siebie. Nie mogły nic o nim wiedzieć. Przecież Caro obiecała, że dochowa tajemnicy.

Dziewczyny wstały i podeszły do kolejnych gości. Georg działał instynktownie. Wziął szklankę i zajął miejsce całkiem z tyłu w rogu. Siedział tam i czekał. Widział, jak wędrują od stolika do stolika.

Teraz poczuł całkowity spokój. Nigdy nie odwiedził z Caro tej dyskoteki. W ogóle bardzo rzadko pokazywał się z nią w tej okolicy. Najczęściej wsiadali do samochodu i wyjeżdżali. Zatrzymywali się w innym mieście, jakimś malowniczym zakątku, i tam się włączyli.

Czasem zapraszał ją na obiad w wiejskim zajeździe, niekiedy pili cappuccino i jedli deser w lodziarni. Nigdzie nie spotkali znajomych, on już o to zadbał.

Większość jego kolegów nie miała samochodu, dlatego poruszali się jedynie po bliższej okolicy. Najczęściej i tak czuli

się zbyt zmęczeni, by robić dłuższe wycieczki. Schylenie się i dźwiganie skrzynek z truskawkami dawało w kość, nie tak łatwo to wytrzymać.

Natomiast Caro znała wiele osób. Traktował to jak wyzwanie, żeby schodzić im z drogi. Co nawet mu się udawało. Nikt nie przypomni sobie ich razem. Może ktoś widział ich przelotnie, ale takie niewyraźne wspomnienia nie stanowiły dla Georga zagrożenia.

Zaraz dziewczyny podejść do niego. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą książkę. Wyciągnął ją z kieszeni i otworzył, udając pogrążonego w lekturze.

- Przepraszam. Możemy na chwilę przeszkodzić?

Zmarszczył czoło i udawał zmieszanego - sprawiał dokładnie takie wrażenie, jakie zamierzał. Czytał, został zagadnięty i starał się odnaleźć w rzeczywistości.

- Chciałybyśmy pana o coś zapytać - powiedziała Jette. — To nie potrwa długo.

Jej oczy od razu mu się spodobały. Uśmiech przydawał jej zmysłowości i łagodności.

- Proszę. - Skinął głową. Merle podała mu zdjęcie.

- Zna pan tę dziewczynę?

Widok Caro wstrząsnął nim. Nie był na to przygotowany. Pogrzebał w kieszeni spodni, wyciągnął chusteczkę i wytarł nos, by zyskać na czasie. Potem pokręcił głową.

- Nie. Przykro mi.

Jak się śmiała do obiektywu! Była taka piękna! I jak bliska. Wciąż stanowiła jego cząstkę. Udało mu się uśmiechnąć.

- Chętnie bym wam pomógł.

- W czym? - zapytała Merle, patrząc na niego lekceważąco. Mniej więcej tak ją sobie wyobrażał, zgodnie z opisem Caro: chłodna, logiczna, bezpośrednia. „Ale w środku cudowna, bardzo, bardzo delikatna” - dodała.

- Odnaleźć ją - wyjaśnił szybko. - Chyba jej szukacie, czy nie? Bo inaczej po co pokazywałybyście wokoło jej zdjęcie?

- Właściwie szukamy jej przyjaciela - sprecyzowała Jette. - Wysoki, szczupły, ciemnowłosy. I bardzo opalony. — Uśmiechnęła się do niego, nagle zakłopotana. — Mniej więcej jak pan.

Poczuł mrowienie na skórze głowy.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby być jej przyjacielem, ale niestety... - Uniósł z żalem ręce. - Szkoda. Wasza koleżanka to ładna dziewczyna.

Jette chciała coś powiedzieć, ale Merle ją uprzedziła i dziękując mu, pociągnęła ją za sobą.

Akurat w odpowiednim momencie. Nie miał już sił, by sprawiać naturalne wrażenie. Zaczekał, aż dziewczyny opuszczą dyskotekę, potem sam również wyszedł. Siedział w samochodzie gotowy do jazdy, dopóki nie zobaczył, że ich renault odjeżdża z parkingu.

*

Komisarz skończył dzisiaj wcześniej. Grał z dziećmi w piłkę nożną w ogrodzie, a potem razem gotowali. Włożyli do piecyka frytki, ustawili parówki, jedno i drugie polewając dużą ilością keczupu, następnie spałaszowali wszystko wśród wielkiego śmiechu.

Margot wykorzystała ten czas dla siebie. Czytała, telefonowała i ufarbowała włosy. Od dawna unikała wspólnych zajęć.

Jakby godziny spędzane ze sobą uważała za najpiękniejsze na świecie.

W pewnym stopniu Bert to rozumiał. Codziennosc wypłukuje z człowieka energię. Trzeba szukać źródeł, by zaczerpnąć jej na nowo. Kiedyś siłę dawało mu przebywanie we dwoje. Godzili się na wszystko, byle tylko móc być blisko. To się zmieniło.

Nie umiał się do tego przyzwyczaić. Wciąż boleśnie to odczuwał.

Siedział z żoną na tarasie. Przed nimi stały kieliszki wina. Gdzieś w sąsiedztwie rozpalono grilla. W powietrzu unosił się zapach węgla i podpieczonego mięsa. Sąsiedzi z prawej strony cicho rozmawiali w ogrodzie. Przez drzwi do ogrodu z domu po lewej stronie dobiegały dźwięki telewizora. Mieszkańcy oglądali western na drugim programie.

Bert myślał o posiadłości Imke Thalheim. Jeśli teraz siedziała na dworze, słyszała pewnie cykanie świerszczy. Spojrzał na Margot z poczuciem winy.

Kartkowała czasopismo poświęcone ogrodowi. Żeby podpatrzeć pomysły, jak mówiła. Nie mógł sobie wyobrazić Imke w takiej sytuacji. Kiedy był u niej, nie widział żadnych „pomysłów”. Wszystko wydawało się nietknięte.

- Jak postępy w pracy? — zapytała żona, wrywając go z zamyślenia. „Skoncentruj się” - pomyślał. I coś jeszcze: że skrytość wkłada się na długo przed zdradą.

- Brak — odparł. - Tkwimy w martwym punkcie. Zamknęła czasopismo i spojrzała mu w oczy. W pewien sposób cierpliwie, ale bez prawdziwego zainteresowania. Może miała jasne wyobrażenie, jaka powinna być żona po-

licjanta. I wtedy przeszła mu ochota, by rozmawiać o śledztwie.

Poszedł po pamiętnik Caro schowany torbie. Kiedy wrócił na taras, Margot przeniosła się z pismem i kieliszkiem wina do domu. Możliwe, że poczuła się urażona jego małomównością.

Przeglądał zapiski Caro. Czytał je często i znał prawie na pamięć. Tyle razy wsłuchiwał się w opisy skrywające porywy uczuć dziewczyny, które nie były przeznaczone dla niego. Jak nikczemnie czuł się w takich chwilach.

Caro nie rozpisywała się, nie poświęcała uwagi nieistotnym wydarzeniom. Każdy zapisek pozostawał samoistny i miał znaczenie. Jej oszczędne i przemyślane słowa nigdy nie pojawiały się bez powodu.

Bert spędził nad pamiętnikiem prawie godzinę. Następnie zajął się jeszcze raz listą od właściciela plantacji truskawek. Rozmyślał nad nazwiskami, które nic mu nie mówiły. Wyznaczy kogoś, żeby sprawdził każdego z robotników. Dlaczego przedwcześnie wyjechali? Czemu w takim pośpiechu?

Może po prostu zdenerwowało ich węszenie policji. To nie musiało nic znaczyć. Wielu spośród robotników sezonowych prowadziło różne niezbyt czyste interesy. Te sprawy nie interesowały Berta. Starał się wyraźnie dać im to do zrozumienia podczas pierwszej wizyty.

Ponownie przeczytał kilka wierszy Caro. Poddał się sile metafor. Gdzieś tutaj kryła się odpowiedź, którą musi znaleźć. Na pewno. Z westchnieniem zanurzył ręce we włosach i rozmyślał.

Kiedy się ocknął, butelka po winie była pusta. Światło w domu zgaszone. Margot najwyraźniej poszła już do łóżka.

„Wszystko jedno” — pomyślał, zgarniając rzeczy. Ale nie było mu wszystko jedno. Chciał poczuć odrobinę bliskości, choćby przez pół godziny.

I nic. Poza Anitą nikt nie widział Caro z jej przyjacielem. Śledztwo szło jak po grudzie. Zmęczone i sfrustrowane jechałyśmy z Merle do domu, w drodze nie odzywając się ani słowem.

Koty na nas czekały. Prosiły o jedzenie. To dobry znak. Zaakceptowały nas. Postanowiłyśmy od tej pory zostawiać otwarte drzwi do łazienki, żeby spokojnie mogły zbadać mieszkanie.

Nasypałyśmy im świeżej karmy, a sobie zrobiłyśmy herbaty. Siedziałyśmy strapione w kuchni.

- Może komisarz ma rację - przyznała Merle. - Ze to wszystko nas przerasta.

- Bzdura. To po prostu niezwykle skomplikowana sprawa. W przeciwnym razie policja też posunęłaby się dalej. A nie poczynili postępów, prawda?

Co miałyśmy? Wiersze Caro, czarną chustkę, zasuszone liście z białym kwiatkiem i opis mężczyzny, z którym była, podany przez Anitę. Niezbyt wiele. To jakby opierać się na czymś tak ulotnym jak zapach perfum albo wody po goleniu, czegoś, co w jednej chwili jeszcze istniało, a w następnej już uleciało.

- Nie wiem. — Merle wykrzywiła usta. — Dziwnie się czuję. Chyba się boję.

- Boisz się? Czego?

- Nie czegoś określonego. To po prostu rodzaj niejasnego zagrożenia. Nie odczuwasz tego?

- Czuję tylko, że jestem potwornie zmęczona. Wtedy człowiek niepotrzebnie panikuje. Ja w każdym razie idę spać.

- Dobry pomysł. - Wstała i odniosła filiżanki do zlewu. -Jutro świat będzie wyglądał już zupełnie inaczej. - Ulubione powiedzonko mojej babci. Nie wiedziałam, że Merle też miała je w repertuarze.

Padłam na łóżko i ledwie zdążyłam zgasić światło, a już zasnęłam.

W nocy słyszałam jakieś odgłosy. „Koty” - pomyślałam, obracając się na drugi bok. Musimy się przyzwyczać, że teraz mieszkamy we czwórkę.

*

Koty go przestraszyły. Zupełnie się ich nie spodziewał. Najpierw myślał, że słyszy w kuchni jedną z dziewczyn, ale potem przemknął obok niego drobny cień, a za chwilę drugi.

Dobrze, że nie sprawiły sobie psa. Wtedy wszystko by się wydało.

Właściwie nie wiedział, co go tu przygnało. Caro dorobiła mu klucz. Nalegała, żeby go przyjął. „Na wszelki wypadek” - oznajmiła, nie wyjaśniając, co ma na myśli.

I teraz był tutaj.

Zatrzymał się w kuchni i jak kiedyś chłonał nastrój pomieszczenia. Słabe światło ulicznych latarni rozjaśniało kuchnię na tyle, że rozpoznawał zarysy.

Co on tutaj robi? To obłąd!

Cicho przeszedł przez korytarz i ostrożnie otworzył drzwi do pokoju Caro.

Najwyraźniej zostawiły tu wszystko tak, jak było. Usiadł na łóżku i przejechał ręką po prześcieradle. Może przyszedł, by się pożegnać. Ostatecznie. Jeszcze nigdy nie przyszło mu to z takim trudem.

Znowu odesłały ślusarza! Z kwitkiem. Powiedziały mu, że nie potrzebują nowego klucza do drzwi. Ze to chyba jakaś pomyłka. Tak lapidarnie poinformował Imke fachowiec. Nie denerwował się, skoro i tak płaciła mu za dojazd.

Straciła panowanie nad sobą. Nie mogą być tak głupie, by nie dostrzegać niebezpieczeństwa. A może to wyzwanie dla mordercy. Czyżby chciały, żeby przyszedł do mieszkania?

Urojenia. Wyszła do ogrodu. Musiała coś robić. Pracować fizycznie. Żeby nie zwariować.

Gdy stała na dworze, rozglądając się, nie wiedziała, od czego zacząć. Niezdecydowana skierowała się w stronę pastwiska dla owiec, potem jednak zawróciła do domu.

Przed wyjazdem na wakacje pani Bergerhausen zostawiła gospodarstwo domowe w nienagannym stanie, ale niewiele z tego pozostało. Wszystko wydawało się jakieś przygaszone. Pociemniałe. Wyblakłe. Nawet na zewnątrz. A może tylko taki obraz nasuwała jej wyobraźnia.

Nakrycia pozostałe po śniadaniu uprzątnęła do zmywarki i ją włączyła. Wytarła stół. Włożyła gazetę do koszyka na prasę. Wepchnęła brudny obrus do pojemnika z bielizną. Napełniła pralkę i nastawiła program. Po pewnym czasie

praca szła jej lekko, nawet nie myślała o wykonywanych czynnościach.

Gdy zadzwonił telefon, była akurat w piwnicy. Pośpiesznie wbiegła po schodach na górę i zdyszana podniosła słuchawkę. Bert Melzig.

- Moja wizyta nie zrobiła wielkiego wrażenia na dziewczynach. Porozmawiałem z nimi i zostawiłem wizytówkę. Niestety, nie mogłem działać więcej.

- Zrobił pan, co mógł. Dziękuję. - Imke zrelacjonowała mu, czego dowiedziała się od ślusarza. W jej głosie pobrzmiwał strach. Ale dlaczego go tym zamęcza? Więcej nie może jej pomóc.

Słuchał. To jego specjalność - słuchać. Jakby kładł komuś swoją dużą dłoń na głowie i wszystko wracało do normy.

A przecież wszystko stało na głowie. Nic nie będzie nigdy takie jak przedtem. Bo nic nie zdoła przywrócić życia Caro i innym zamordowanym dziewczynom.

*

Wreszcie wyszła z domu sama. Czekał, aż się dostatecznie oddali, wysiadł z samochodu i szedł za nią. Obserwowanie dziewczyn w każdej wolnej chwili łatwo może się stać obsesją.

Wczoraj sprawiało mu to po prostu przyjemność. Ale towarzyszyło temu coś więcej. Chciał bliżej poznać Jette. A potem się zastanowi, co dalej. Każda decyzja wymaga czasu, więc cierpliwie czekał, aż nastąpi właściwy moment.

Jej chód był lekki i sprężysty. Włosy falowały przy każdym kroku. „Jak modelka” - pomyślał. Właśnie tak się poruszała. Wyobrażał sobie jej zapach. Czy używała perfum?

Najwyraźniej wybrała się na zakupy, bo zatrzymywała się przed wystawami. To przeszkadzało w śledzeniu. Wydał się sobie jednym z detektywów w amerykańskich filmach. Tylko że nie potrafił się zachowywać tak dyskretnie jak oni.

Na starówce Jette weszła do księgarni. Georg pozostał na zewnątrz, udając, że pochłania go widok tomów na wystawie. Lektura na podróż - na tyle się zorientował. Zaczęły się wakacje, a książki też miały swoje sezony.

Gdy unosił wzrok, mógł widzieć Jette w sklepie. Oddalona od niego najwyżej o trzy metry, brała do ręki książki i je odkładała. Potem zatopiła się w czytaniu.

Rozejrzał się skrupowany. Nie może tu cały czas stać. Chodzenie w tę i z powrotem to też kiepskie rozwiązanie. Nie chciał zrobić niczego, co przyciągnęłoby uwagę ludzi. Wszedł do środka.

Jette zatrzymała się w dziale książek o zwierzętach. Trzymała w ręku poradnik dla właścicieli kotów. Georg pomyślał o niespodziewanym spotkaniu ze zwierzakami w nocy i przypomniał sobie, jak nagle spanikował.

Przeszkadzało mu, że zaczął się interesować tą dziewczyną. Jednocześnie sprawiało mu przyjemność, gdy czuł, jak powoli wkrada się w jego myśli i uczucia.

„Jak wolno działająca trucizna” - pomyślał. Jeśli teraz stąd nie odejdzie, będzie za późno.

Został. I aż za dobrze wiedział, co to oznacza.

Merle poszła do Claudia. Wystarczyło, że gwizdnął, a już do niego biegła. To nie jest odpowiedni facet dla niej. Kiedyś ją rzuci i wróci do swojej narzeczonej.

Narzeczonej. Jak śmiesznie i staromodnie postępował ten człowiek. Kto dzisiaj jeszcze się zaręcza? Nie po raz pierwszy nasunęło mi się podejrzenie - ta rzekoma narzeczona to jedynie wymysł Claudia. Żeby trzymać Merle na dystans.

Pomyślałam, że wyprawa na zakupy zapewni mi trochę rozrywki. I uspokoi. Popatrzę na kilka wystaw, przymierzę parę ciuchów, wypiję kawę albo zjem lody, poszperam w książkach. To zawsze pomagało, kiedy nastrój nie dopisywał.

Dzisiaj nie. Zrobiło się już późno, została niecała godzina do zamknięcia sklepów. Ludzie w nieustannym pośpiechu tworzyli nieprzyjemnie gorączkową atmosferę, która stopniowo mi się udzieliła. W porę pojawiła się księgarnia.

Wyciągnęłam z regału kilka książek i od razu zaczęłam czytać. Zawsze tak mam. I za każdym razem, kiedy po pewnym czasie odrywam się od lektury, czuję się oszołomiona.

Tak jak teraz. Kolory stały się mniej intensywne, dźwięki mniej wyraźne. Ten stan utrzyma się przez chwilę, potem wszystko znów będzie jak zwykle.

Jakimś sposobem człowiek czuje, że jest obserwowany. Na karku usadawia się mały zimny punkt. Uniosłam głowę i napotkałam spojrzenie faceta stojącego z tyłu przy książkach przyrodniczych. Wydał mi się znajomy. Szybko odwrócił wzrok. Jakbym przyłapała go na gorącym uczynku.

Książki, w których się zaczytam, zazwyczaj kupuję. A brakowało nam porządnego poradnika na temat kotów. Powoli szłam do kasy, na chwilę zatrzymując się przy albumach ze sztuką, potem jeszcze przy zakładkach do książek. Często daję je w prezencie. Tym razem postanowiłam, że jedną wezmę dla siebie.

Wybrałam drugą dla Merle. Miała zwyczaj zaginania rogów stronic w miejscu, gdzie skończyła czytać. Doprowadza mnie do szału, gdy ktoś tak obchodzi się z książkami. Może zakładka pomoże jej się od tego odzwycząić.

- Osiemnaście euro pięćdziesiąt - powiedziała kobieta przy kasie. - Zapakować?

- Nie trzeba. - Otworzyłam torbę i stwierdziłam, że portmonetkę zostawiłam w domu.

Nie ma nic bardziej przykrego, jak tuż przed zamknięciem sklepu stać przy kasie, mieć za sobą kolejkę znieczierpliwionych klientów i ani grosza, żeby zapłacić.

- Przepraszam - wyjąkałam, czując, jak policzki płoną mi z zakłopotania - nie mam przy sobie pieniędzy.

Kobieta przy kasie mogła zareagować bardziej uprzejmie, ale pewnie miała za sobą długi dzień i wyglądała na zmęczoną. Rozdrażniona popatrzyła najpierw na mnie, potem na kasę. Niektórzy klienci z tyłu pomrukiwali z niechęcią.

- Ale ja już nabiłam.

Czy było jakieś wyjście z tej sytuacji?

- Ile pani brakuje?

Przyjemny głos. Odwróciłam się i po raz drugi spojrzałam mu oczy. Nie. Po raz trzeci. Bo teraz go sobie przypominałam. Opalony mężczyzna z dyskoteki, który samotnie siedział przy stoliku.

- Osiemnaście pięćdziesiąt - powiedziała kobieta przy kasie.

Marzyłam, by zapaść się pod ziemię. Położył pieniądze na ladzie. Bez słowa. Tak po prostu. Zamiast z ulgą rzucić mu się na szyję, wybąkałam tylko podziękowanie, włożyłam książkę i zakładki do torby

i wyszłam, czekając na niego. Kazał zapakować książkę do plastikowej torby. Podeszedł do mnie z uśmiechem.

- Kiedy mogę panu zwrócić pieniądze? — zapytałam.

- Proszę to potraktować jako prezent - odparł.

Opalona słońcem skóra dodatkowo podkreślała jasny błękit jego oczu. Zęby dosłownie lśniły. Przypominał młodego Terencea Hilla. Tylko zamiast blond czupryny miał ciemne włosy. I był przystojniejszy. Bardziej naturalny.

- Dlaczego miałby mi pan dawać tak drogi prezent?

- Może dlatego, że wydaje mi się pani sympatyczna? - patrzył na mnie zamyślony. — A może dlatego, że wczoraj nie mogłem pomóc pani i pani koleżance. Proszę sobie wybrać odpowiedź.

- To wykluczone - zaprotestowałam. - Nie mogę tego przyjąć.

- Owszem. Może pani. - Uśmiechnął się i obrócił, by odejść. Po chwili znów spojrzął na mnie. - Kawa?

Nie odpowiedziałam. Podeszłam do niego i ruszyliśmy w dół ulicy w poszukiwaniu kawiarni.

*

Zapewne znów wyciszyły telefon. Albo wyszły z domu. Imke zadzwoniła na oba numery komórek.

„Wybrany abonent jest obecnie niedostępny”. Dlaczego wyłączają komórki? Westchnęła. He to już razy prosiła je, by sprawiły sobie automatyczną sekretarkę.

- Po co nam automatyczna sekretarka, mamó? Po co!

- No, żebyście były osiągalne.

- Czyli żebyśmy do każdego oddzwaniały. Nie mamy na to forsy.
- Pieniądze to nie problem!
- Dla ciebie nie, mamó. Dla mnie tak. A co dopiero dla Merle.

Jette i jej duma! Nie brała nawet centa więcej niż to, co konieczne. Wystarczyło tylko spojrzeć na jej samochód. Rozklekotany, poobijany, zawodny. Niebezpieczny zardzewiały grat. Ale nie chciała nawet myśleć o nowym aucie.

Imke zaparzyła herbatę i poszła do swojego pokoju. Chciała znów popracować. Tylko tego brakowało, żeby zaczęła się zachowywać jak kwoka. Żałowała, że nie wybrała innego tematu. W trakcie pisania wciąż miała przed oczami Caro. Każde zdanie przypominało o strasznej śmierci dziewczyny.

Komisarz, który miał wyjaśnić morderstwa, za bardzo przypominał Berta Melziga. Zdawała sobie z tego sprawę, nie potrafiła jednak nic zmienić. Może później, gdy będzie przerabiał tekst, ale w tej chwili tylko krok po kroku szła za podszeptami intuicji.

Przede wszystkim powinna się zdobyć na dystans wobec sprawcy. Denerwowało ją, że bez problemu udawało jej się wejść w jego skórę i wczuć się w jego myśli. To dla niej ważne, by zająć stanowisko. Nie miała zamiaru usprawiedliwiać czynów zabójcy, nawet na papierze.

Godzinę siedziała przed komputerem, nie napisawszy ani jednego zdania. Czuła się wyczerpana domowymi pracami, do których nie przywykła, sfrustrowana telefonem ślusarza i ogromnie zaniepokojona losem Jette i Merle. Gdyby mia-

ła psa, przeszłaby się z nim po polach. A tak wzięła koc, zwinęła się na kanapie w gabinecie i natychmiast zapadła w mocny sen.

*

Merle pogardzała sobą za brak konsekwencji. Kiedyś Claudio traktował ją jak księżniczkę, potem znowu jak popychadło. Dzisiaj przez cały czas zgrywał szefa. Posyłał ją to tu, to tam, ochrzaniał za każdy drobiazg.

Inni pracownicy zupełnie się nie wtrącali. Jakoś sobie ułożyli stosunki z Claudiem i nie mieszały się w ich sprawy. Wiedzieli, na co muszą się nastawić: dzisiaj tak, jutro siak. Ale w gruncie rzeczy to równy gość.

Merle nieraz wracała do domu z płaczem, zaklinając się, że nigdy więcej nie nabierze się na zwodniczą łagodność tego gościa. Przyjaciółki ją w tym wspierały.

- Żaden facet nie jest wart, żeby przelewać z jego powodu łzy - powiedziała Caro. Zanim spotkała tego mężczyznę.

- Ruszaj się, dziewczyno - rzucił Claudio. - Nie płacę ci za stanie.

Merle odwiązała ohydny zielony fartuch, wciskając mu go do ręki. Zdumiała się własnym opanowaniem. Spokojnie popatrzyła w jego piękne oczy, szeroko otwarte ze zdumienia.

- **Ciao, bello** - rzuciła i ostentacyjnie powoli ruszyła w stronę drzwi.

- Jeśli teraz pójdziesz, możesz więcej nie przychodzić! - zawołał za nią. Nigdy nie umiał przegrywać.

Nie odpowiedziała, nawet się nie obejrzała. Wzruszyła tylko ramionami i pokazała Claudiowi wyprostowany środkowy palec.

Potem zatrzasnęły się za nią drzwi i była wolna. I sama.
Cholera. Teraz na domiar złego łzy spływały jej po twarzy.

*

Alibi każdego ze zbieraczy truskawek, którzy przedwcześnie wyjechali, okazywało się niepodważalne. Niejeden miał na koncie nieczyste sprawy, ale żaden nie odpowiadał za morderstwa. Co mimo wszystko utwierdzało Berta w przekonaniu, że klucz do tych spraw znajdował się wśród zbieraczy truskawek?

Czysta intuicja. Żadnych punktów zaczepienia, które usprawiedliwiałyby dalsze kroki.

Rzadko praca sprawiała mu taką trudność. W sprawie Simone Redleff zebrano żałośnie mało informacji, bo dziewczyna żyła samotnie. Miała tylko jedną przyjaciółkę. Większość uczniów ledwo ją znała.

W przypadku Caro trudność polegała na tym, że jej rodzina wiedziała o niej tyle co nic, nawet brat, który tymczasem został przesłuchany. Jedyne Jette i Merle mogły pomóc Bertowi, ale one wolały prowadzić dochodzenie na własną rękę.

Wstał i otworzył okno na oścież. Hałas z ulicy wdarł się do środka, a wraz z nim zaduch przez cały dzień przytłaczający miasto. Wszystko to zaczęło go nagle denerwować. Tak samo jak ciągłe odgłosy w biurze — trzaskanie drzwi, dzwonienie telefonów, rozmowy i śmiechy na korytarzu.

Przesłuchano dokładnie przyjaciół i przyjaciółki Caro, również jej rodzinę i wcześniejszych partnerów. W którąkolwiek stronę spojrzeć - niepodważalne alibi.

Trzeba znaleźć tego nieznanego wielbiciela.

Komisarz zamknął okno. Pora jechać do domu. Okazać Margot dobrą wolę.

Miał żonę i dzieci. Istniało jeszcze życie poza tym pokojem.

*

To dziwne uczucie iść z nią po ulicy. Od czasu do czasu czuł badawcze spojrzenie dziewczyny. Pewnie wciąż się zastanawiała, czy przyjąć pieniądze, czy nie. Po raz pierwszy, odkąd zabrakło Caro, był niemal beztroski. Miał ochotę śpiewać.

Jego babcia przy pracy zawsze nucila. Jakieś melodie kościelne, nie prawdziwe piosenki. Nie było to u niej przejawem radości życia, tylko próbą uwolnienia się od ciężaru codzienności. W każdym razie tak to odczuwał jako dziecko, Ale bez skutku. Babcia nie nabierała przez to lekkości. Nawet jej ruchy były ociężałe.

Georg zaprowadził Jette do dużej kawiarni przy rynku. Zawsze panował tam tak duży ruch, więc poszczególni goście nie wzbudzali uwagi. Wiedział, że naraża się na niebezpieczeństwo, ale czy tak nie postępują wszyscy gracze? A on namiętnie lubił dreszcz emocji. Nawet jeśli stawką była wolność. Jego życie.

Dziewczyna prawie się nie odzywała. Milcząc, takie miał wrażenie, nie czuła się nieswojo. „Nareszcie ktoś, kto nie trajkocze bez przerwy — pomyślał. - Takich ludzi rzadko się spotyka”.

Obserwował ją kątem oka. To, co widział, podobało mu się. O wiele za bardzo. Rzuciła mu rękawicę, a on ją podniósł.

Miał zamiar odpowiedzieć na jej wyzwanie. W jaki sposób, nad tym nie łamał sobie jeszcze głowy.

Byłoby mu łatwiej coś wymyślić, gdyby pozostawiała go obojętnym. Ale tak nie było. Absolutnie nie. Zagłębił ręce w kieszeniach spodni i napiął wszystkie mięśnie, by nie dostrzegła, że drży.

*

We śnie Imke biegła przez długi tunel, na końcu którego dostrzegła słaby promień światła. Po kostki brodziła w wodzie. Plusk i jej zdyszany oddech to jedyne dźwięki, jakie słyszała.

Jakimś sposobem wiedziała, że to sen. Nogi, ręce, boki, wszystko ją bolało; myślała: „Co jeszcze muszę znieść, żeby wreszcie wydostać się na zewnątrz?”.

Spodnie miała oblepione mułem, włosy mokre od potu. Gdy kaszlnęła, echo powracało do niej zwielokrotnione ze wszystkich stron. Coś ją śmiertelnie przerażało. Ze wszystkich sił starała się obudzić, ale nadal tkwiła we śnie.

Jeszcze i to. Jette wyszła z domu. Nie ma z kim pogadać, wypłakać się i w ogóle. Merle zniechęcona poszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy.

Koty skradały się wokół jej nóg. Potrzebowały odrobiny czułości, kilku łagodnych słów i oczywiście jedzenia. Nalała im śmietanki do miseczek, pokroiła na drobne kawałki dwa plastry gotowanej szynki. Skoro jej samej źle się wiodło, to przynajmniej zwierzakom nie powinno niczego brakować.

Położyła się na łóżku w swoim pokoju i włączyła telewizor. Byle tylko nie myśleć. Nie wpuścić Claudia do głowy, a tym bardziej do serca. Popołudniowy program w sam raz się do tego nadawał. Tak głupi, pusty i nudny, że dosłownie wysysał myśli.

Podobało mi się, że nie próbował mnie podrywać. Nie używał żadnego z tych powiedzonek, od których robi się niedobrze. Był bardzo spokojny i zamknięty w sobie, tak jak ja.

W kawiarni atmosfera wydała mi się zbyt gorączkowa i prowincjonalna, na dodatek zrobiło się za głośno. On najwyraźniej czuł się tu dobrze. Udzielił mi się jego spokój i odzyskałam poczucie bezpieczeństwa, jak kiedyś, gdy siadywałam z mamą w kuchni albo w ciemności jechałam z tatą samochodem.

Oboje zamówiliśmy kawę z mlekiem i dopiero gdy rozmieszaliśmy piankę, zaczęliśmy rozmawiać.

- Z bardzo niewidoma osobami można milczeć - zagadnęłam.

- I z nielicznymi da się porozmawiać — odparł.

Jego uśmiech trafił na coś ukrytego głęboko w moim sercu. Wokół oczu pojawił się wianuszek drobnych zmarszczek. Miałam ochotę ich dotknąć, bardzo delikatnie. Oczywiście nie zrobiłam tego. Natomiast rozerwałam opakowanie ciasteczka podanego do kawy.

Miał około trzydziestki, czyli dla mnie o wiele za stary. Co się ze mną działo? Siedziałam z nim w jakiejś obciachowej kawiarence, zachwycając się jego zmarszczkami mimiczny-

mi. Tylko brakowało, żeby zaraz jakaś kapela zaczęła grać do tańca.

- Udały się poszukiwania? — zapytał.

- Niestety nie - odpowiedziałam.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Potrząsnęłam głową. Nie, nie miałam ochoty. Na chwilę pragnęłam zapomnieć o wszystkim, co miało związek ze śmiercią Caro. Nie myśleć o niczym smutnym. Tylko siedzieć przy stoliku, patrzeć na niego, słuchać go albo z nim milczeć, wszystko jedno.

- Dlaczego nie usiadzimy na zewnątrz? - zapytałam, patrząc na białe stoliki i kolorowe parasole przeciwsłoneczne na dworze. Wszystko wyglądało jak rozświetlone od środka.

- Przez cały dzień przebywam na słońcu - powiedział.

-Jeśli nie robi ci to różnicy, wolałbym zostać tutaj.

Okej. Nie ma sprawy. Może mi powie, dlaczego przez cały dzień jest na dworze. A może nie. To zresztą nieważne. Nic się nie liczy. Tylko ta chwila.

*

Najchętniej ciągle tylko by na nią patrzył. Rozpoczęła się nowa historia. Nie chciał tego. Ale tak się stało. Jeszcze mógłby po prostu wstać i odejść. Spojrzał na nią. I wiedział, że nie ma już ucieczki.

Dochodziła dziewiąta, kiedy Jette wróciła do domu. Merle wyłączyła telewizor. Może jeszcze coś ugotują. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo doskwiera jej głód. W żołądku miała taką samą pustkę jak w głowie. Nie powinna była oglądać tych ogłupiających seriali.

Jette stała oparta plecami o drzwi mieszkania.

- Hej - rzuciła, uśmiechając się jak po trzech kieliszkach wina. No świetnie. Odpowiedni moment, żeby się zakochać.

- Kto, jak, kiedy i dlaczego. - Merle odciągnęła ją od drzwi i przesunęła do kuchni. -1 niczego nie pomijaj. Chcę wiedzieć wszystko.

- Już jesteś w domu? - zdziwiła się Jette.

- Problemy z Claudiem.

Miała nadzieję, że Jette nie będzie jej wypytywać. Przez cały wieczór z trudem zachowywała spokój. Jedno niewłaściwe słowo i wszystkie wysiłki pójdą na marne.

- Jestem głodna - stwierdziła Jette. - Zamówimy coś u Chińczyka? - Jak łatwo znajdowała właściwy ton.

- Jeśli ty zapłacisz. Ja jestem spłukana. I bez pracy.

— Nie ma sprawy. Ja stawiam.

Złożyły zamówienie i Jette zaczęła opowiadać.

*

Imke obudziła się w środku nocy w absolutnej ciemności i w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Z trudem wstała, przeciągnęła się i włożyła pantofle. Przespać cały wieczór!

Gdy schodziła po schodach, by rozejrzeć się za czymś do jedzenia, czuła się staro. Bolała ją głowa. W ustach miała nieprzyjemny smak. Lewe oko łzawiło.

Samotność w bezgłośnej nocy stała się nie do zniesienia, więc Imke usiadła przed telewizorem z resztką sałatki z kurczakiem i szklanką mleka, poddając się epatowaniu seksem, przemocą i reklamami, aż nie była w stanie tego znieść. Niewiele myśląc, sięgnęła po telefon. Odezwał się zaspany głos.

-Tilo?

Usłyszała pomruk pomieszany z jękiem.

— Nie przespałbyś u mnie reszty nocy?

Ziewnął rozczulająco. Przygotowała się już na opryskliwą odpowiedź, ale usłyszała tylko:

— Okej. Za dwadzieścia minut będę u ciebie. Przyniosła z piwnicy butelkę czerwonego wina, położyła

na stole w kuchni chleb, ser i owoce. Zdążyła się całkowicie rozbudzić. Potrzebowała Tila do słuchania, rozmowy, do przytulania i miłości. Wszystko po kolei. Zawsze wiedziała, że jest szczęściarą. Tylko szczęściary mogą znaleźć kogoś takiego jak Tilo.

Już samo mówienie o nim sprawiało, że czułam się szczęśliwa. Wystarczyło, że zamknęłam oczy, a widziałam przed sobą jego twarz.

- O rany - podsumowała Merle - ale cię wzięło.

- Nawiasem mówiąc, znasz go - rzuciłam. - Widziałas go wczoraj. - Próbowałam go opisać, ale Merle nie przypominała sobie.

Chciała wiedzieć wszystko. Jak się nazywa. Ile ma lat. Co robi. Gdzie mieszka.

Wzruszałam ramionami. To wszystko wydało mi się zupełnie nieważne. Nie mówiliśmy o tym.

- Więc o czym rozmawialiście? — zapytała Merle.

No właśnie, o czym? Opowiadał mi o swoim dzieciństwie. Że dorastał u dziadków. Że dziadek się nad nim znęcał. Dotknęłam koniuszkiem palca jasnej niewielkiej blizny na jego brodzie. Widziałam też pozostałe ślady. Na szyi i na czole, częściowo przykryte włosami.

Pod wpływem dotyku wzdrygnął się, a ja przysięgłam sobie - nigdy nie sprawię mu bólu.

Opowiadałam mu o Caro. Głównie o niej.

- Miał łzy w oczach - powiedziałam. — Przypominasz sobie, kiedy ostatni raz widziałas płaczącego mężczyznę?

Merle potrząsnęła głową.

- A mimo to jest prawdziwym mężczyzną.

- To też już wypróbowaliście?

. - Ależ skąd! Chodzi mi tylko o to, że on nie jest taki... że on raczej... że on jakoś... - Merle z ironicznym uśmiechem słuchała mojego dukania.

- Podsumujmy - rzuciła. - Ma na imię Gorg, około trzydziestki, a może nie, zaliczył ciężkie dzieciństwo, jest praw-

dziwym facetem, który jednak nie boi się płakać, i w ciągu niecałych trzech godzin owinął cię wokół paka. Zgadza się?

- To brzmi jak scenariusz opery mydlanej.

- Bo z miłością jest jak z zachodami słońca — stwierdziła Merle. - Uważasz, że są kiczowate, a mimo to zapierają dech w piersiach. - I się rozpłakała.

Claudio! Miejmy nadzieję, że definitywnie należał do przeszłości.

Podalam Merle chusteczkę i przygotowałam się na długą noc.

*

Nie mógł spać. Księżyc świecił zbyt jasno. I zrobiło się za ciepło. Poddasze wchłonęło upał minionych dni. Otwieranie wieczorem okna na oścież nic nie dawało. Tylko przyciągało komary.

Głos Jette towarzyszył mu także w pokoju. Wciąż miał go w pamięci. Pełny i miękki. Wyjątkowy.

Opowiadała o Caro. Z trudem powstrzymywał łzy. Udawało mu się tylko dlatego, że koncentrował się, by na nią patrzeć i jak najwięcej zapamiętać. Małe znamię na skroni, dołeczek w brodzie, wicherek włosów nad czołem.

Jette nie była ładna. Za to urodziwa. W charakterystyczny sposób. Nie odpowiadała współczesnym kanonom piękna, może nieco zbyt szorstka i kanciasta, za mało okrągła. To uroda jedyna w swoim rodzaju. Tego typu urodę miały kobiety, które coś znaczyły w historii.

„Prawdziwe piękno — myślał - dostrzega się na pierwszy rzut oka. I nigdy się go nie zapomina”.

Miał przed oczami każdy rys jej twarzy. I przypominał sobie, z jakim trudem się powstrzymywał, by nie dotknąć jej policzków, szyi, uszu.

Powoli. Powoli. Przyjdzie na to czas.

Opowiadał jej prawdziwe historie przeplatane kłamstwami. Nie dało się tego unikać. Kiedyś będzie mógł jej całkowicie zaufać, a ona go zrozumie i nie odepchnie.

Zabił jej przyjaciółkę.

Niespodziewanie wstrząsnęły nim dreszcze. Zwinął się w kłębek, owijając koldrę wokół ciała.

Gorg. Musi zapamiętać, że wymienił to imię. Polskie, jak powiedział. Imię z wielowiekową tradycją.

Nie może o niczym zapomnieć. Nie wolno mu popełnić żadnego błędu.

Ta dziewczyna miała wszelkie zadatki na to, by stać się miłością jego życia.

*

Gdy tylko Tilo wyszedł, Imke zadzwoniła do dziewczyn, wprasząc się na śniadanie. Wyrwała córkę ze snu, poznała to po głosie.

- Przepraszam - wyznała - ale bałam się, że znów mi umkniecie.

Zdawały się cieszyć z jej wizyty. I z bułeczek, wciąż jeszcze ciepłych. Po kuchni skakały dwa koty, polując na kłębki kurzu. Imke wołałaby psy - duże, silne, niezawodne zwierzęta.

Miała nadzieję, że dziewczyny ją wtajemniczą w swoje sekrety; wiedząc o ich poczynaniach, nie czułaby się tak strasz-

liwe bezradna. Nie zrobiły tego. Mówiły o błahych sprawach, zręcznie omijając drażliwe kwestie.

Jette była odmieniona, promieniała. Matka natychmiast to zauważyła.
- Młody operator? - zagadnęła.

Jej córka wyglądała, jakby zanurzyła się w szczęściu. Nosiła tę radość jak niewidzialną szatę, która chroniła ją przed złem całego świata. „Moja Złota Dzieweczka¹” - pomyślała Imke. Przypomniała sobie jednak, że Caro też była zakochana. I miłość nie tylko jej nie ochroniła, lecz może nawet zabiła.

Nie chodziło o młodego operatora. Tylko o kogoś innego. Jette, jak twierdziła, nie wiedziała o nim zbyt wiele. To dopiero początek. Wszystko się może zdarzyć, nie istniały żadne ograniczenia, nic, co hamowałoby jej lot.

To żaden z chłopców, z którymi Jette dotychczas się przyjaźniła, co mocno irytowało matkę. Na dodatek około dziesięciu lat starszy. Mężczyzna. A przecież Jette jeszcze wczoraj była dzieckiem!

Podczas wspólnego życia z córką Imke nauczyła się jednego: ktokolwiek próbował Jette od czegokolwiek odwieść, osiągał zwykle odwrotny skutek. Więc słuchała z rezerwą.

- Tylko bądź ostrożna - poprosiła po dwóch godzinach, zbierając się do domu. - Akurat teraz nie możesz nikomu ślepo ufać, obiecujesz mi to?

Kiwnęła głową. Lecz to skiniecie było jedynie pustym gestem.

¹Niem. Gokłmarie, postać z baśni braci Grimm *Pani Holle*.

Jej uśmiech przypominał o odwiecznej historii: *girl meets boy*. Jette zakochała się w tym mężczyźnie i nic nie wstrzyma jej uczuć.

*

- Mamo, zakochałem się!

- Georg! Chłopcze! Gdzie jesteś? Ze też ona nigdy nie słucha!

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Zaczęła płakać. Nienawidził jej łez. Nie czuł się gotów na to, by w jakikolwiek sposób wziąć za nią odpowiedzialność. „Czyż jestem stróżem matki mojej?” - myślał.

Babcia zmuszała go, by nauczył się na pamięć całej Biblii. Teraz przy każdej okazji przypominał mu się odpowiedni fragment. Uwielbiał zabawę cytatami, przerabianie ich sensu, może z chęci spóźnionej zemsty.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, mamó? Zakochałem się. Jakby to miało znaczenie, czy pojmuje jego słowa, czy nie.

Nigdy nie interesowała się tym, co syn mówi, ani razu przez całe jego dzieciństwo, czyli piekielnie długi czas.

- Ile razy mi to powtarzałaś, Georg.

Nie znosił tego żalosego tonu. Czy wciąż wierzyła, że apelowanie do jego współczucia miało sens? I te wieczne pretensje. Jakim prawem nieustannie go krytykowała?

- Georg? Georg! Porozmawiaj ze mną!

Odwiesił słuchawkę i schował kartę telefoniczną do portfela. Przed budką stała młoda dziewczyna, pałac papierosa. Powinien sobie sprawić komórkę. To praktyczna rzecz. I anonimowa. Nikt nie będzie go podsłuchiwał podczas rozmowy.

Próbował opanować podniecenie. Rozmowy z matką za każdym razem go wzburzały. Jeszcze nie doszedł z nią do ładu, to dlatego. Wyraźna kreska pod tą częścią jego życia - i poczuje się wolny.

Spacerując po miejscowości, którą po raz pierwszy odwiedził, cieszył się obcością domów i ludzi na ulicach. Dawało mu to poczucie bezpieczeństwa.

Myślał o Caro; ze zdziwieniem poczuł, że z jej obrazem nie wiąże się już ból. Zeszła na dalszy plan. Stała się wspomnieniem z tygodnia na tydzień coraz mniej wyraźnym. Zawsze działało to mniej więcej podobnie.

Chociaż naprawdę kochał Caro.

Zwiedził wzdłuż i wszerz tę piękną miejscowość z domami z łamanego kamienia, spacerował po parku z wysokimi starymi drzewami, studiował napisy z krzywych płyt nagrobnych na niewielkim cmentarzu. Aż poczuł zmęczenie w nogach, usiadł więc w kawiarnianym ogródku i zamówił espresso.

Cieszył się tą połową dnia, którą wygospodarował, by odpocząć i poczuć bieg życia. Czasem tego potrzebował. Harówkę dosyć szybko czuło się w kościach.

Obok przechodziły dziewczyny, młode kobiety. Lato mieniło się w ich oczach, dodawało uroku ich ruchom i rozwianym włosom. Georg cieszył się ich widokiem tak, jak można się cieszyć widokiem obrazu.

Nie podniecały go, dzięki temu czuł się lżej na duchu. Odprężony rozparł się na krześle i włożył okulary przeciwsłoneczne. Przez przyciemnione szkła wszystko wyglądało jeszcze lepiej.

Miał przed sobą życie. Cudowne życie. Takie, o jakim zawsze marzył. Z kobietą u boku, która przyćmiewała wszystkie inne.

-Jette — szepnął, czując, jak imię to rozpływa się na języku.

Merle nakarmiła koty i szykowała się na spotkanie ze swoją grupą. Jette znowu wyszła z tym facetem. Tak było już od trzech dni. Co wieczór. Wracała wtedy, gdy Merle już spała.

Najwcześniej mogły się na siebie natknąć około południa. Kilka razy bez specjalnego przekonania rozmawiały na temat dalszych poszukiwań mordercy Caro. I tyle.

Nie tak wyobrażała sobie wakacje. To, co przysięgły, nie załatwi się samo.

Na złość nie pytała Jette, jak się mają jej sprawy miłosne. Niech pławi się w upojnej wspólnocie z ukochanym. Jej to obojętne.

*ty
moje wszystko
czego więcej mi
trzeba*

Z Caro było podobnie. Niemożliwe, żeby Jette już o tym zapomniała. Czy może tylko inaczej to postrzega? Merle zasunęła za sobą drzwi. Miała ochotę się rozpłakać.

Czy policja śpi?

Nie mogli wybrać lepszego tytułu na pierwszą stronę. Szef już wczesnym rankiem wpadł w szał i naradę poprowadził jak stuprocentowy choleryk.

Pocił się i wrzeszczał, wymachując rękami. Jego twarz przybierała kolor czerwony, czasem wręcz fioletowy. Kiedy wyrzucił z siebie złość, wybiegł z pokoju i trzasnął drzwiami z takim impetem, że na szybie powstało drobne pęknięcie.

Na Bercie ten występ nie zrobił wrażenia. Widział ich już zbyt wiele. Czasem myślał, że należą do reguł jego zawodu. Trzeba to przetrwać i znów zabrać się do pracy.

W jego wypadku oznaczało to kolejną wycieczkę do gospodarstwa Arno Kalmera. Podczas pierwszych rozmów koncentrowali się głównie na mężczyznach. Kobiety pozostawały na drugim planie. Dlatego chciał się nimi zająć teraz.

Czuł, że jest na właściwej drodze. Jednocześnie nie miał w ręku żadnych sensownych śladów. Takiej oceny nie mógł przedstawić szefowi, który domagał się konkretów. A skoro ich brakowało, trzeba je koniecznie zdobyć.

Komisarz znowu spędził wieczór nad dziennikami i wierszami Caro, załamany własną intelektualną ociężałością. To przecież niemożliwe - niespełna dwudziestoletnia dziewczyna tak głęboko zaszyfrowuje prawdę, a on ze swoim doświadczeniem nie może jej odkryć. Każdy wiersz pozostawiał ślady. Powinien tylko uważnie patrzeć.

Łatwo powiedzieć.

Śledztwo zawsze składało się głównie z rutynowych czynności. Wszystko przebiegało jak zwykle. Ale wciąż bra-

kowało wyników, na których można by się oprzeć. Nawet opublikowanie w prasie zdjęcia Caro nie przyniosło oczekiwanych efektów. Koleżanka odbierająca telefony była zrozpaczona. Otrzymała mnóstwo wskazówek dotyczących sprawy, ale żadna nawet o włos nie przybliżała do schwytania zabójcy.

Możliwe, że naprawdę mieli do czynienia z bardzo inteligentnym, niezwykle sprytnym mordercą. Albo z niewiarygodnym szczęściarzem.

„Ale kiedyś w końcu zrobisz błąd. A ja tam będę i zareaguję” - pomyślał Bert ze złością, gdy skręcał do gospodarstwa właściciela plantacji.

*

Najchętniej jeździł ze mną po okolicy i pokazywał miejsca, które mu się szczególnie podobały. Zwracał uwagę na przedmioty. I na ludzi. Ale do tych ostatnich raczej się nie zbliżał.

W czasie naszych wypadów czułam się jak na urlopie, obserwując różne sytuacje z pewnego dystansu, nie angażując się w nie naprawdę. Czasem myślałam: to chciałabym teraz zapisać. Może po to, by w ten sposób dystans zmniejszyć.

Pokazywał mi świat albo jakiś wycinek rzeczywistości, który był dla niego ważny. I opowiadał o przeszłości. Mogłam oglądać jego dzieciństwo jak film.

Doskonale rozumiałam, dlaczego nie ma stałej pracy. Niektórym ludziom nie zakłada się pęt. Trzeba im pozwolić rozwinąć skrzydła.

Fascynował mnie pomysł pracy raz tu, innym razem tam, bez konieczności decydowania dzisiaj, co zrobię jutro. Czy

mogłam żyć podobnie? Dzielnie szłam ścieżką, którą wyznaczyli mi rodzice.

Zbierał truskawki, należał do tłumu, który widziałam na polach, jeżdżąc do mamy. Znał nasz młyn, często podziwiał go podczas spacerów. Czytał nawet książki mamy. Zwierzał mi się z tego spokojnym niskim głosem. Kiedy mnie dotykał, zapierało mi dech w piersiach.

Ja z kolei mówiłam mu o rodzicach. O babci, Tilu i Merle. Opowiedziałam nawet o Angie i moim małym bracie. Myślałam: jak może interesować się tak niepozorną dziewczyną jak ja?

Podniósł moją rękę, całując oddzielnie koniuszek każdego palca, drugą dłoń zanurzyłam w jego włosach. Czułam, jak nachodzą mnie fale — na przemian gorąca i zimna.

- Ciii — wyszeptał mi do ucha, jak ojciec uspokajający dziecko. - Dajmy sobie czas. Mamy przed sobą całe życie.

Całe życie. Tak. To wszystko, czego chciałam.

*

Wiele przyjaźni między dziewczynami się rozpadło, gdy pojawił się facet. Merle nigdy tego nie rozumiała. Przede wszystkim uważała za niemożliwe, żeby kiedykolwiek mogło tak się stać z Caro, Jette i z nią. A teraz Jette zachowywała się jak ostatnia idiotka chora z miłości.

Kilka razy próbowała z nią o tym porozmawiać, ale przyjaciółka nie rozumiała, o co jej chodzi.

- Moja droga - powtarzała - nie odmawiaj mi prawa do szczęścia.

Merle miała tego dosyć.

- Słuchaj, czy ty masz po kolei w głowie?! - wrzasnęła - Naprawdę myślisz, że ci go odmawiam? - Jednym ruchem ręki zrzuciła ze stołu półmisek z owocami, z satysfakcją obserwując, jak rozpada się na tysiąc kawałków, a jabłka toczą się we wszystkich kierunkach. - To jesteś najgłupszą pindą, jaką kiedykolwiek spotkałam!

Wyszła z mieszkania, błądząc bez celu po ulicach. Aż nieoczekiwanie znalazła się pod lokalem Claudia. Stała, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć, ale chłopak już ją zauważył.

Skruszony znalazł się przy niej, objął ją i pocałował. Zaczął zapewniać o swej wierności. Zaprosił ją do środka, wskazał miejsce przy stoliku. Zapalił świece i podał kolację na zgodę.

- A teraz powiedz, moja mała: co się dzieje? Dręczy cię coś?

Merle nie miała ochoty o tym rozmawiać. A jednak to zrobiła. Musiała uwolnić się od rozczarowania i złości. Claudio wywrócił oczami.

- A jeśli ona go kocha, Merle? Jak możesz wymagać, żeby zachowała rozsądek?

Racja. Czemu tego oczekiwała? Sama nie zachowywała się rozsądnie. Ile razy przysięgała, że odejdzie od tego drania Claudia? Ile razy próbowała? I zawsze do niego wracała.

Widziała radość w jego oczach. Przypomniała sobie ich ostatnią kłótnię, czując, że kocha go pomimo, a może właśnie z powodu jego natury pełnej sprzeczności. Postanowiła myśleć o Jette spokojnie, bez oburzenia.

- Zostaniesz dziś wieczorem? - zapytał niepewnie Claudio.

Kiwnęła głową. Zawiąże ohydny zielony fartuch i znów zacznie pracę u Claudia. Zostanie, jak długo on zechce. I chociaż to źle, w jakimś sensie jednak dobrze.

*

Niebezpiecznie było posuwać się tak daleko. Zdradził jej swoją tożsamość. W dowód zaufania, ale ona o tym nie wiedziała. Jeśli to rozpowie, może się zdarzyć wszystko. Komisarz nie jest głupi.

Nie mógł jednak prosić, by zachowała milczenie, jak postąpił w przypadku Caro. Jeśli Caro mimo wszystko coś wypaplała, Jette natychmiast zaczęłaby coś podejrzewać.

Kiedyś będzie musiał jej wszystko wyznać. Najpóźniej wtedy, gdy nadejdzie czas, by przyjąć nowe imię.

Bonnie i Clyde. Czy będzie go wspierać?

Zamknął się w swoim pokoju i wyciągnął pudełko z pamiątkami. Ostrożnie uniósł wieczko.

Pojedyncze kosmyki włosów związał cienką złotą wstążeczką. Przesuwał jeden po drugim między palcami. Potem włożył je do plastikowej torebki.

Ostatni raz przyjrzał się łańcuszkom. To przypadek, że wszystkie nosiły taką biżuterię. Sprzyjający zbieg okoliczności, bo skierował policję na fałszywy trop.

Nie był fetyszystą. Zabierał ze sobą jedynie wspomnienia. Wciąż wiele dla niego znaczyły. Ledwie mógł się przemóc, by się ich pozbyć. Ale to konieczne. Niepotrzebnie stwarzały zagrożenie.

Postanowił ich jednak nie niszczyć. Na to by się nie zdobył. Chciał je zakopać. Gdzieś na wsi, gdzie nikt by go nie obserwował, gdzie nikt go nie znał.

Wychodząc z domu, włożył torebkę do kieszeni kurtki. Wsiadł do samochodu i odjechał. To nowy początek. W dosłownym sensie pogrzebie swoją przeszłość. Żeby zyskać wolność. I ostatecznie się związać. Na wieki.

*

Berta zawsze zadziwiało, jak wybiórczo działa u ludzi spostrzegawczość. Niektórzy nie dostrzegali niemal niczego poza swoim własnym ograniczonym światem, inni żarliwie interesowali się wszystkim, co się działo wokół. Jedni przechowywali spostrzeżenia przez dłuższy czas, inni natychmiast zapominali. Istnieli też tacy, którzy zachowywali w pamięci każdy szczegół. Ci byli dla policji najcenniejsi.

Komisarz zauważył, że kobiety prawie zawsze są bardziej precyzyjne niż mężczyźni. Chociaż ich relacje często odbiegają od spraw istotnych, gubią się w szczegółach i stają chaotyczne. Trzeba je znów naprowadzać na główny temat.

Margot uznała jego pogląd za typowo męski. Ostatnio mu to zarzuciła. Uraziła go, gdyż nie czuła się gotowa, by dyskutować z nim na ten temat.

Bert nie rozumiał, czemu za typowo męski należy uznać fakt, że wyżej oceniał spostrzegawczość kobiet niż mężczyzn.

- Bo nie słuchasz — fuknęła Margot. — Chyba że ktoś popełni zabójstwo albo przynajmniej jest zamieszany w sprawę kryminalną.

Kalmer oddał Bertowi do dyspozycji swoje biuro - smutne i ciemne pomieszczenie, w którym najprzyjemniejszy wydawał się dolatujący zza okna zapach truskawek.

Do niewielkiego pokoju, gdzie przesłuchiwał komisarz, wchodziły pracownice jedna za drugą. Wszystkie miały na sobie robocze ubrania, połączenie kolorowych i lekkich letnich rzeczy. Niektóre wydawały się zadowolone z krótkiej przerwy w pracy, inne śpieszyły, by wrócić na pole. Płacono im za wydajność, nie za czas zbierania.

Bert uznał, że lepiej przepytywać ludzi w ich zwykłym otoczeniu. Niektórzy koledzy zapatrywali się na to inaczej, wywierali presję na przesłuchiwanym, by szybciej skończyć. A jak powszechnie wiadomo, presję najłatwiej jest wywrzeć w obcym środowisku.

- Nigdy nie będziesz prawdziwym gliną - powtarzała kiedyś Margot, co brzmiało serdecznie, jak czuła pochwała. Dawno tego nie słyszał. Dzisiaj wyczuwałoby się w tym rozczarowanie.

Zadawał pytania, koncentrując się na odpowiedziach. Głównie interesowały go kobiety, które przyjechały tu jeszcze przed okresem zbiorów. Simone Redleff zamordowano już na początku czerwca.

W kwietniu w gospodarstwie pracowało zaledwie jedenastu robotników i dziesięć robotnic. Kalmer dał komisarzowi listę z nazwiskami.

Z mężczyznami Bert już rozmawiał. W żadnym z tych przesłuchań nie pojawił się ślad skłaniający do podjęcia dalszych kroków.

Czy przyjaźni się pani z innymi pracownikami? Kogo z kolegów pani nie lubi? Wie pani coś o napięciach pomiędzy poszczególnymi osobami? Poczyła pani obserwacje, które po pewnym czasie wydały się dziwne?

Takich pytań nie zadawał za pierwszym razem. Nie zagłębiał się w szczegóły, nie poruszał osobistych spraw. To błąd. Powinien od początku zaufać instynktowi. Ale intuicja w tym przypadku jednocześnie potwierdzała uprzedzenia.

„Zamykajcie kury w kurniku! Jada Cyganie!”.

W zeznaniach robotnic wielokrotnie pojawiały się dwa nazwiska: Maile Klestof i Georg Taban. Pierwszego większość kobiet opisywała jako obrzydliwego, drugi był miły, czasem jednak nieco dokuczliwy.

Pracownice opowiadały, że mężczyźni się przyjaźnią. Nie szczerze, blisko, ale to kumple, którzy od czasu do czasu golną sobie po jednym, niekiedy chodzą do kina albo do baru, jak to kumple mają w zwyczaju.

- Przy tym w ogóle do siebie nie pasują. - Także to zdanie powracało.

Bert się odprężył. Rozmowy co prawda się nie skończyły, ale miał przeczucie, że wreszcie natrafił na trop. Mógł zaprowadzić go donikąd, ale to jedyny ślad, jaki miał.

Załatwione. Przeszłość została pogrzebana, przeminęła.

„Mężczyzna musi zrobić to, co zrobić musi”. Kiedyś tak się wyraził John Wayne albo jakiś inny amerykański gwiazdor z westernów. Chociaż zdaniem Georga to brzmiało bardzo teatralnie, dokładnie opisywało uczucie, jakie w tej chwili nim zawładnęło.

Zrobił to, co konieczne. W małym odległym lasku na wsi. Jego babcia powiedziała, że w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Teraz jechał z powrotem do kwatery zbieraczy truskawek. Z daleka dostrzegł Mallego. Siedział na niskim murku, czytając gazetę z ogłoszeniami, którą w każdy piątek za darmo rozprowadzał w gospodarstwach grubawy blondyn.

Maile zawsze nadzwyczaj wnikliwie studiował tę gazetkę. Na boku uprawiał podejrzany handel używanymi częściami elektrycznymi, w który Georg nie został wtajemniczony, ale też nie chciał znać szczegółów.

- Dawno cię nie widziałem. — Maile splunął. — To znaczy poza robotą.

- Załatwiałem różne sprawy - odparł krótko Georg. -Ale teraz miałbym czas na piwo.

Ta propozycja postawiła Mallego na nogi.

- Znowu był tutaj ten gliniarz — opowiadał w drodze do knajpy we wsi. - Teraz dla odmiany zajął się babami. Coraz to coś nowego. - Uśmiechnął się ironicznie, drapiąc pod koszulką po brzuchu.

„Nikt nie ma o niczym pojęcia” - uspokajał się Georg, tłumiąc kiełkującą w myślach panikę. Nawet Maile, ten mądrała, niczego o nim nie wie. Spokojnie. Absolutnie spokojnie. Normalna sprawa, nadal trwają przesłuchania. To zupełnie nic nie znaczy.

Pogratulował sobie, że usunął materiał dowodowy. Czasem naprawdę ujawniał szósty zmysł. Teraz musi koniecznie pozbyć się klucza do mieszkania dziewcząt. Warto tak go zdeponować, żeby w dalszym ciągu był pod ręką. Nigdy nic nie wiadomo. Może jeszcze kiedyś mu się przyda.

W knajpie Maile w szalonym tempie się urznął. Georg pił umiarkowanie. Nie mógł sobie pozwolić na utratę czujności. Musiał zebrać myśli na wypadek, gdyby znalazł się na celowniku komisarza. Słuchał bełkotu Mallego, w rzeczywistości nie rozumiejąc z tego ani słowa.

„Myśl jasno - nakazał sobie. - Zachowaj czujność”. Znalazł odpowiednią dziewczynę. Nie mógł zatem ryzykować, by ktoś wpadł na jego trop. Miał obowiązek się ratować, zapewnić sobie bezpieczeństwo. Dla Jette. Dla ich wspólnego życia. I dla ich dzieci, które kiedyś z pewnością się pojawią.

W przypadku Caro też myślał, że dotarł do celu. I przeżył bolesne rozczarowanie. „W zasadzie - doszedł do wniosku - zawsze wszyscy mnie zawodzili”. Znowu wezbrała w nim złość. Podszedł do flipperów, by wyładować ją w grze.

Maile patrzył na niego i wreszcie przestał głądzić. Czasem Georg z trudem wytrzymawał jego towarzystwo. Jak większości ludzi. Właściwie jak wszystkich. Z wyjątkiem Jette.

*

Zabrnęłyśmy w ślepią uliczkę. Nie posuwałyśmy się ani o centymetr. Nie wiedziałyśmy, gdzie jeszcze możemy szukać przyjaciela Caro.

- A gdybyśmy po prostu pytały ludzi na ulicy i w sklepach? - Merle spojrzała na mnie z nadzieją.

- Chcesz obcym ludziom podtykać pod nos zdjęcie Caro i zadawać pytania?

- Ludzi w dyskotekach i kawiarniach też nie znałyśmy.

- To zupełnie coś innego - zaprotestowałam.

- Ach tak? Dlaczego?

- Miałyśmy przynajmniej punkt zaczepienia. Caro tam bywała.

- A na ulicach i w sklepach nie?

Jej uparte obstawanie przy swoim strasznie działało mi na nerwy. W ogóle teraz niechętnie przebywałam w jej towarzystwie. Zachowywała się jak Dziewica Orleańska. Jak mogła twierdzić, że zdradziłam Caro? Tylko przez kilka spotkań z Gorgiem. Zapomniała, co postanowiłyśmy? Nie zdradziłam Caro. Potrzebowałam tylko krótkiej przerwy.

- Może powinnyśmy przez jakiś czas schodzić sobie z drogi - zaproponowałam. - To oczyści atmosferę.

Nabrała powietrza, chcąc mi bezczelnie odpalić, ale się rozmyśliła. Zostawiła mnie i wybiegła z mieszkania.

Nie miałam zamiaru jej zranić. Ale też nie mogłam się zdobyć na to, by za nią pobiec. Postanowiłam przygotować

wodę do kąpeli, położyć się w wannie i poczytać. I myśleć o Gorgu. Może dziś wieczorem uda mi się go namówić, aby przyszedł do nas na kolację. Kiedy Merle go pozna, z pewnością go polubi. I zrozumie moje zachowanie.

Już dawno wszystkim przedstawiłabym Gorga. Gdyby się przed tym nie wzbraniał. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę jego smutne dzieciństwo. Dziadkowie nie pozwalali mu na żadne przyjaźnie. Nigdy nie chcieli, by zapraszał do domu kolegów. Nawet na urodziny. To jasne, że takie doświadczenia zostawiają ślad w duszy człowieka.

Piana łaskotała mi skórę, gdy wyciągnęłam się w wodzie pachnącej kwiatem pomarańczy. Zamknęłam oczy, wyobrażając sobie twarz Gorga.

Będę wobec niego cierpliwa.

I będę go kochać, kochać, kochać.

Dopóki...

W myślach usłyszałam Caro wymawiającą zdanie, którego nie chciałam pomyśleć do końca. Zobaczyłam też jej twarz przesłaniającą mi Gorga. Twarz z kostnicy.

W gorącej wodzie poczułam na piecach dreszcz.

Merle nie uciekła w ramiona Claudia i rozpierała ją z tego powodu duma. Odwiedziła za to Dorit i Boba, najbliższych przyjaciół spośród obrońców zwierząt. Potrzebowała towarzystwa, jednocześnie pragnąc samotności. Przy nich dało się to pogodzić.

Oboje od pół roku zajmowali wspólnie mieszkanie, w którym każdy maleńki pokój łączył się z następnym, tak że na

końcu wychodziło się z powrotem do pierwszego pomieszczenia, skąd rozpoczęła się obchód.

- Herbaty? - zapytał Bob, już podnosząc czajnik, żeby go napełnić.

Merle potaknęła i usiadła na wytartej kanapie w kuchni.

-Jeśli chcesz pogadać... - Dorit zawiesiła głos, otwierając szafkę, gdzie trzymali ciasteczka i inne słodczyce.

Pokręciła głową. Patrzyła, jak poruszają się w przytulnym jasnym pomieszczeniu. Czy to nie dziwne, że ludzie zazwyczaj najbardziej lubią siedzieć w kuchni? Tak było ze wszystkimi, których знаła. Może dlatego nie mogła uwolnić się od Claudia. U niego z konieczności życie rozgrywało się w kuchni.

- Napijemy się razem herbaty? - spytała Dorit. - Czy wolisz pobyć sama?

- Chcę pobyć sama - poprosiła Merle. - Jeśli się nie pogniewacie.

- Nie wygłupiaj się - rzucił Bob, posyłając jej ręką całusa. Wzięli filiżanki i wyszli. Merle nie miała z tego powodu

wyrzutów sumienia. Dla swoich przyjaciół zrobiłaby to samo. Chciała się zastanowić. A w tej chwili nie było na to lepszego miejsca niż to.

Bert przypomniał sobie Mallego Klestofa, gdy tylko zobaczył go wchodzącego do pokoju. Zona właściciela plantacji truskawek znowu oddała biuro do dyspozycji komisarza. Poruszała się prowokacyjnie w głęboko wyciętej, niemal przezroczyściej, letniej sukience. Pewnie niejednemu robotnikowi zawróciła w głowie.

Jego jednak nie pociągała. Przeszkadzał mu jej głos, bez dźwięku, płaski, jednowymiarowy, jakby mechaniczny. Jak równie niezmysłowy głos mógł zamieszkać w takim ciele? -zastanawiał się Bert do chwili, gdy ktoś zapukał do drzwi. To ten Maile.

Po pierwszych zdaniach komisarz wiedział, że ma przed sobą nadwornego plotkarza. Ten facet znał chyba wszystkie tajemnice, jakie ludzie usiłowali nadaremnie ukryć. Wiedział, kto kogo polubił, kto u kogo ma dług i jak duży. Znał stosunki rodzinne poszczególnych osób, ich nadzieje i najskrytsze lęki.

Jednak nie ujawniał tych informacji niepytany. Trzeba je było z niego wyciągać, aby się wydawało, że udziela ich niechętnie. Bert przypuszczał, że mężczyzna tego potrzebował. Posiadana wiedza mogła zaskarbić mu uznanie, a na pewno władzę.

To typ potakiwacza, uznał komisarz, ktoś, kto dobrze czuje się w tłumie i codziennie na nowo wyrabia sobie opinię.

Jego alibi na czas zabójstwa Caro i Simone zostało potwierdzone przez żonę właściciela plantacji i Georga Tabana. Maile Klestof w oba dni miał dyżur w biurze. Pod wieczór pojechał do Bróhl, gdzie do późnej nocy siedział w ogródku piwnym razem z kumplem Georgem Tabanem.

- Ten Georg Taban...

- Gorge? - Maile bojowo wysunął do przodu brodę. - Co z nim?

Gorge. Bert zapisał to imię.

- Niech pan mi o nim opowie.

- Ale nie ma o czym.

- O każdym człowieku można coś powiedzieć.

- To samotny wilk, tak samo jak ja.

„Wilk? Ty? - pomyślał komisarz. - Najwyżej hiena". -1 jest moim przyjacielem.

Czy hieny żyją w stadzie, czy są samotnikami? Bert miał w pamięci kilka scen z filmów o zwierzętach. Czy hieny nie wyczuwały, gdy inne zwierzę było ranne?

Pół godziny później dla komisarza stało się jasne, że Maile o swoim rzekomym kumplu wiedział tyle co nic.

- Gdzie w tej chwili podziewa się pański przyjaciel? - zapytał.

- Dzisiaj ma wolne — odpowiedział Maile. — Włóczy się po okolicy. Faceci w westernach siodłają konia, Gorge bierze samochód.

- Włóczy się? Co pan ma na myśli?

- To, co mówię. Odkąd tu się pojawił, nabił na liczniku setki kilometrów. Parę razy patrzyłem na jego tachometr, potajemnie, rzecz jasna. Gorge nie cierpi, gdy się wtyka nos w jego sprawy.

Pół godziny później Bert zakończył rozmowę. Maile stawał się nieufny. Miał obawy, że za dużo zdradził. Zablokował się. Tak jakby przed twarzą zasunięto mu roletę.

- A zatem do następnego razu. - Komisarz wyciągnął do niego rękę.

- Do następnego razu? Czego pan jeszcze chce? - Uścisk jego dłoni okazał się słaby i miękki.

- Wyjaśnienia sprawy - odparł. - To potworne - morderca czterech młodych kobiet przebywa na wolności i nie został jeszcze ukarany.

- A co to ma wspólnego ze mną? - Ton przesłuchanego zdradzał, iż czuje się pewnie. Na każdą chwilę miał alibi. Nic mu nie groziło.

- Możliwe, że pan go zna - rzucił w odpowiedzi komisarz. - Niewykluczone, że nawet dobrze. Może pracuje pan tu z nim dzień w dzień, kto wie?

Oczy Mallego zrobiły się wielkie i okrągłe ze zdumienia. Otworzył usta i znów je zamknął. Widać umysł zaczął mu pracować na zwiększonych obrotach. Berta to ucieszyło, uznał to za pewien postęp.

„Nareszcie sprawa ruszyła z miejsca” - pomyślał, wracając do biura.

*

„Pokaż mi swój pokój - tak najchętniej bym mu powiedziała. - Chcę wiedzieć, jak mieszkasz. Żebym mogła sobie ciebie wyobrazić, gdy nie jesteśmy razem. Jedź ze mną do swojej mamy, o której nic nie mówisz. Na pewno się polubimy, bo obie cię kochamy”.

„Chodź ze mną do domu. Obejrzyj nasze mieszkanie, z którego jestem taka dumna, porozmawiaj trochę z Merle. Potem zabiorę cię ze sobą do młyna. Zobaczysz nasz piękny dom od wewnątrz. Poznaj moją mamę, Edgara i Molly. I oczywiście Tila, jeśli akurat będzie. To naprawdę najlepszy człowiek, na jakiego mama mogła trafić”.

„A jeśli nie brak ci odwagi, to wybierzmy się do mojej babci. Ma oczy jak rentgen, rozpozna charakter pod każdą maską. Może pasuje cię na rycerza. A jeśli nie, to tylko jeszcze bardziej cię pokocham, obiecuję”.

Nie mówiłam tego na głos, tylko w myślach, patrząc na niego, gdy siedział obok, włączał silnik i kierując, spoglądał w lusterko wsteczne, a robił to wszystko jak jeszcze nikt przed nim. Każdy ruch zdawał się doskonały. Nie mogłam się na niego napatrzeć.

Lubił ze mną milczeć. Więc nic nie mówiłam. Moje serce przepełniała czułość i pożądanie i koniecznie pragnęłam to wypowiedzieć.

Dlaczego tego nie robiłam?

Spojrzał na mnie ciemnym wzrokiem. Jakby się zastanawiał, czy zaraz się zatrzymać i pocałować mnie, wsuwając rękę pod bluzkę. Ale tylko głośniejszym podkręcił radio.

Jechaliśmy do małej, bardzo starej miejscowości, w której prawie wszystkie budowle to zabytki. Zachwycił się nimi. Marzył o tym, by kiedyś kupić taki stary dom i go odrestaurować.

Wiedziałam już o nim tak dużo, a jednak niewiele. Mówił mi o swoich złych doświadczeniach z kobietami i o terapii, jaką przeszedł.

- Daj mi czas - prosił. — Muszę powoli znowu nabrać zaufania.

Widocznie zafundowałam sobie naprawdę skomplikowaną historię miłosną. Jak Caro. Jak Merle.

*dotykam cię
i drzę
że mięśnie
mich palców
cię skruszy*

Jakby Caro przewidziała tę chwilę. Mój strach, że gdy go dotknę, nagle wszystko okaże się tylko złudzeniem.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O Caro, o tobie i o mnie. - Nigdy bym go nie okłamała.

Nie pytał już, wziął moją rękę i uściśnął ją, lekko dodając gazu.

*

Imke ciężko pracowała, nie pozwalając, by cokolwiek ją dekoncentrowało, tylko w przerwach trochę sprzątała, prała, prasowała, żeby pani Bergerhausen po powrocie z wakacji nie straciła wiary w ludzkość.

Nie wiedziała, czemu tak się śpieszy z tą książką. Miała dużo czasu. Poza tym nigdy nie pragnęła szybko dotrzeć do końca powieści, bo to oznaczało pożegnanie z bohaterami. Za każdym razem bała się opuszczać swój doskonale skonstruowany mikrokosmos, by od nowa wydeptywać ścieżki codzienności.

- Właściwie zupełnie nie nadaję się do życia - powiedziała do Edgara, który patrzył na nią z pozornym zrozumieniem, w rzeczywistości jednak czekając na coś do jedzenia. Molly wyszła na zewnątrz. Obdarzona talentem myśliwskim zjadała też upolowane myszy.

- Ona jest prawdziwym kotem - rzuciła pisarka. - A nie papierowym tygrysem jak ty.

Wybrała numer Jette i Merle. Nikt nie odbierał. Spróbowała złapać córkę pod numerem komórkowym.

- „Wybrany abonent...”. - Blabląbla.

„Dziewczyny mają wakacje” - tłumaczyła sobie. To normalne, że w taką piękną pogodę nie siedzą w domu. A z drugiej strony chciała wiedzieć, gdzie się podziewają. Wymyślonymu mordercy w jej kryminale wkrótce dobiorą się do skóry. Zabójca Caro wciąż nie został zatrzymany.

Zadzwoiła na policję. Nie zastała Berta Melziga w biurze. „Czy coś przekazać komisarzowi?” - zapytała uprzejma pani po drugiej stronie łączy. „Nie trzeba” - odparła Imke. Odezwie się znowu.

Żeby przełamać złą passę, zadzwoniła do matki, która akurat wróciła od fryzjera i przez bite pięć minut przeklinała swoją nieudaną trwałą ondulację.

- 1 co? - zapytała. - Dziewczyny przeniosą się do mnie na jakiś czas?

- Z Jette na razie trudno rozmawiać, mam. Niedawno się zakochała.

- Zakochała się? W kim?

Taka była - przechodziła do sedna sprawy, nie owijając w bawełnę. Imke ceniła u matki tę cechę charakteru, choć często bywała ona niewygodna.

- Poza tym, że ma około trzydziestki i pod każdym względem jest ideałem, nic więcej o nim nie wiem.

- Zaproś go na kawę. I mnie też. I to szybko, słyszysz? Zabrzmiało to jak rozkaz. Obie odchodziły od zmysłów

z obawy o Jette i Merle. Umiały dobrze to skrywać pod maską, którą codziennie przywdziewały. „Żeby móc znieść życie - pomyślała Imke.

- Życie i śmierć”.

Nie poczuła się niezręcznie, gdy w trakcie rozmowy z matką się popłakała.

*

Nie będzie o tym rozmawiał z Gorgem. Sezon nie potrwa długo, więc ich drogi i tak się rozejdą. Po co miałby ryzykować, drażniąc go?

Gorge wyglądał na zdenerwowanego. Coś go dręczyło. Czuł to, przebywając obok. Jego niewiarygodne napięcie.

Jego nastrój wcale nie musiał się wiązać z zabójstwami.

„Mój kumpel - myślał Maile - nie może mordować. To niemożliwe. Coś takiego bym zauważył. Pewnych rzeczy nie da się ukryć, gdy dzień w dzień, niezależnie od pogody ludzie łożą obok siebie po polach”.

Razem się pocili, harowali, jedli, pili, milczeli i się śmiali. „To jakby dwie strony tego samego medalu” — rozważał. I był komisarz nie może ich, ot tak sobie, rozdzielić.

Ale czy nie lepiej opowiedzieć koledze o przesłuchaniu? Ludzie słyszeli o przyjeździe gliniarza. Wiedzieli też, że przyjechał specjalnie na tę jedną rozmowę. A jeśli Maile będzie milczał, tamten zrobi z igły widły. Rozmowie z komisarzem przypisze zupełnie inne znaczenie.

Właściwie czemu się nad tym zastanawia? Dlaczego czuje się tak nieswojo? Nie należy przecież do tych, którzy się boją Gorgego.

No cóż, jego sposób bycia mógł niejednego onieśmielać. Często miał tak przenikliwe spojrzenie, że człowiek czuł się winny, chociaż nic nie przeskrobał. Niekiedy jego głos stawał się ostry i zimny, a wtedy najlepiej było się oddalić.

Ale bać się? Nie Gorgego, swojego kumpla.

Maile postanowił spędzić wieczór w Bróhl. Potrzebował ludzi wokół siebie. Obcych, którzy nie zadawaliby mu pytań. Nie miał ochoty na rozmyślania. Chciał tylko wypić parę piw i mieć spokój.

I absolutnie nie miał ochoty spotkać się z kumplem dziś wieczorem.

*

Jette siedziała obok niego, w milczeniu patrząc na szosę. Wyraźnie czuła, że Gorg nie jest w nastroju do rozmowy. Dobra kobieta zawsze wyczuwa, czego potrzebuje jej mężczyzna.

Miał wrażenie, że jego nerwy napinają się do granic możliwości. Wszystko go przerastało. To nieodpowiedni moment na nową miłość.

Ale czy uczucie pyta, czy może zawładnąć człowiekiem?

Dokuczała mu konieczność dokładnego przemyślenia,

o czym mówić Jette, a o czym nie.

Jeszcze musi zachować ostrożność. Nie może jej całkowicie ufać.

„Czas - myślał. - Potrzebujemy czasu”.

Właśnie w tym tkwił problem. Wkrótce pojedzie dalej.

I co wtedy? Jette chodziła jeszcze do szkoły. Jak bez niej wytrzyma? Odwiedziny w weekendy? Robotnicy sezonowi nie mają wolnych dni.

Po raz pierwszy w życiu pragnął osiedlić się gdzieś na stałe. Zerknął na dziewczynę, napotykać jej spojrzenie. Uśmiechnęła się i dotknęła jego dłoni spoczywającej na kierownicy.

„Kocham ją - pomyślał. - Boże, jak kocham tę dziewczynę”.

Pomoże mu zapomnieć o całym złu, którego doświadczył. Przemienić się w lepszego człowieka. Przede wszystkim jednak zostanie przy nim. Na całe swoje życie.

Merle usłyszała, że przyjaciółka wróciła. Spojrzała na budzik przy łóżku. Pierwsza. Wszystko jedno. I tak jeszcze nie spała.

Przez wąską szparę pod drzwiami do jej pokoju przecisnął się promień światła z korytarza. Miała ochotę wstać, pójść do kuchni i przygotować razem późną kolację. Albo przynajmniej wypić herbatę. Często tak robiły, gdy żyła jeszcze Caro.

Ale prawdopodobnie Jette nie była głodna. Na pewno jej książę zafundował jej kolację. W jakiejś modnej knajpce wśród zieleni. Denerwowało ją, że przyjaciółka prawie nic o nim nie mówiła. Nie zaliczała się do osób, które ze wszystkiego robią tajemnicę.

„A ja - myślała Merle - wciąż jestem taka głupia, że mam serce na dłoni”. Wyobraziła sobie wyciągniętą rękę, a na niej swoje serce, mocno skurczone, by dłoń mogła je pomieścić. Wiele zwrotów raziło śmiesznością, jeśli potraktować je dosłownie.

Cały wieczór analizowała wiersze Caro, kartkowała albumy ze zdjęciami, zapisywała przemyślenia. Doszła do wniosku, że zasuszony kwiatek z liśćmi wiąże się jakoś z tajemniczym

przyjacielem. Pewnie dostała je od niego, bo jaki mógłby być inny powód, by zasuszyć roślinę.

Zwłaszcza że chodziło o bardzo mały, drobny kwiatek. Musiał więc mieć jakieś szczególne znaczenie, w przeciwnym razie tajemniczy wielbiciel zdecydowałby się raczej na różę.

Także nad chustką zastanawiała się długo. Zapewne należała do mężczyzny. Nie wyglądała na damską. Nawet nie była specjalnie ładna. Caro raczej jej nie używała, gdyż Merle by pamiętała.

Starsi mężczyźni w garniturach często noszą takie chustki na szyi. Merle spojrzała na wszytą metkę — to nie jedwab ani nawet wiskoza, tylko zwykła bawełna.

Nasunęła się jej myśl o piracie. Próbowwała dalej snuć ten wątek. Jaki mężczyzna włożyłby taką chustkę?

Młodzi faceci, dla których moda to zabawa. Kucharze, gdyż muszą przykrywać włosy podczas pracy. A poza tym?

Można coś takiego włożyć, by chronić włosy. Badała ją centymetr po centymetrze w świetle lampki na biurku.

Znalazła kilka plam. Oczywiście dawno już zaschły i nie wydzielały żadnego zapachu. Żaden trop.

Dlaczego Caro to przechowywała? Zapewne jej przyjaciel często nosił tę chustkę, stanowiła jego część.

O wszystkich przemyśleniach chętnie porozmawiałaby teraz z Jette, ale jeszcze głęboko odczuwała urazę. Chciała dystansu? Nie ma sprawy. Mogą się wcale ze sobą nie zadawać.

Gdy Jette po cichu rozsunęła drzwi i wsadziła głowę do pokoju, szepcząc: „Merle”, ta udała, że śpi.

Zapaliłam świecę na stole w kuchni i zgasiałam światło. Przysunęłam krzesło do okna, usiadłam, patrząc w dół na ulicę. Lubiłam miasto pogrążone w ciemności. Szare cienie domów z pojedynczymi kwadratami żółtego światła.

Odkąd poznałam Gorga, pokochałam tę okolicę jeszcze bardziej. Zacznę wszystko poznawać na nowo, razem z nim. Zaprowadzę go do każdego ważnego dla mnie miejsca. Potem, kiedy będzie na to gotowy.

Cieszyłam się na myśl, że pokażę mu pałac. I park wokół z geometrycznie zasadzonymi kwiatami i małym ogrodowym labiryntem za stawem z liliami wodnymi. Pełne zaułków uliczki starówki. I oczywiście jarmark świąteczny.

Od dawna nie zabierałam nikogo ze sobą na jarmark przed Bożym Narodzeniem. To była dla mnie szczególna radość, którą chciałam dzielić tylko z kimś, kto całkowicie należał do mojego życia.

*ujrzymy
nigdy tych świętych
świąteł
wielu*

Dlaczego przypomniały mi się teraz te wersy?

„Caro - pomyślałam — zawsze grałaś nam na nosie. Jakie światła miałaś na myśli? Jacy my? I dlaczego wszystkie twoje myśli przenikał tak straszliwy smutek?”.

Przed świętami Gorg już odjedzie gdzieś indziej.

Tej nocy śniła mi się zmarła przyjaciółka. Włóczyłyśmy się po jarmarku świątecznym, minęłyśmy Mikołaja rozdającego dzieciom prezenty. Dopiero gdy stanęłyśmy naprzeciwko niego, pod brodą z waty rozpoznałam twarz ukochanego.

Dotknęłam jego ramienia.

- Gorg, czy mogę ci przedstawić moją przyjaciółkę Caro? - zapytałam.

Gdy się odwróciłam, ona już zniknęła. Zostawiła płaszcz. Leżał na chodniku, mały, wąski i zagubiony, jakby należał do lalki.

*

Tego mężczyznę Bert też bez trudu sobie przypomniał. Georg Taban, milczek o dzikim spojrzeniu. Tak zanotował swoje wrażenie po pierwszym przesłuchaniu.

Rzeczywiście zdawał się namyślać nad każdym słowem, zanim je wypowiedział. Utkwił wzrok w komisarzu, wyraźnie rejestrując każdy szczegół, ani na sekundę nie spuszczał z niego oczu.

Zachowywał się bardziej powściągliwie niż ten Maile Klestof. I sprawiał wrażenie znacznie inteligentniejszego. Jego spokojny niski głos wprowadzał w błąd. Skrywał ogromne zdenerwowanie. Bert niemal fizycznie wyczuwał jego napięcie.

To nie musiało nic znaczyć. Większość ludzi nabierała obaw podczas konfrontacji z policją, a co dopiero, gdy chodziło o zabójstwo. Podczas przesłuchania nikt nie zachowywał się jak w czasie pogawędki na kanapie w pokoju.

Nie, nazwiska Carola Steiger nigdy wcześniej nie słyszał. Także zdrobnienie „Caro” nic mu nie mówiło.

Uwagę komisarza zwrócił fakt, że Georg Taban trzymał zdjęcie Caro o chwilę za długo. Fotografie Simone i dwóch innych dziewcząt odłożył tak szybko, jakby obawiał się nimi poparzyć. Albo ubrudzić ręce.

- Te pytania już mi pan zadawał - powiedział. Zdjęcia Bert także mu wcześniej pokazywał. Wówczas nic

nie zwróciło jego uwagi w sposobie, w jaki robotnik sezonowy na nie patrzył. A dokładnie wszystko obserwował. Najdrobniejsze zawahanie mogło stać się ważną wskazówką.

- Od tamtej pory zyskaliśmy nowe informacje.

Taban oparł się i założył ręce na piersiach. „Postawa zrelaksowana czy blokada?” - zastanowił się komisarz. Tak bardzo weszło mu w krew rejestrowanie każdego gestu przesłuchiwanego, każdej intonacji, że nie mógł się od tego uwolnić nawet w życiu prywatnym. To było jak przekleństwo.

„Odpuść sobie to spojrzenie gliniarza” - Margot często besztła go ze złością. Mimo najszczerzych chęci nie wiedział, jak to zrobić.

Małomównych ludzi wyjątkowo trudno przejrzeć. Trzeba mieć niczym niezmaconą pewność siebie, żeby tak po prostu milczeć. Pozostawić sprawę własnemu biegowi. Ten człowiek w siebie wierzył. Bez słowa patrzył na Bertę. I czekał.

Kiedyś łatwo dałby się zbić z tropu takim zachowaniem. Sam mówiłby za dużo i przez to zmniejszał presję, jaką chciałby wyrzucić na rozmówcę. Od tamtej pory wiele się nauczył. Facet nie chciał mówić? W porządku. Komisarz też umiał obejść się bez słów.

Nagle przerwanie milczenia okazywało się czasem dobrą metodą. Kierując się impulsem, Bert przeczytał jeden z wierszy Caro.

*mój księżę
i żebrak
szarlatan
mędrzec
nie pojmę
cie nigdy
nie umiesz
żyć
w zamkniętej przestrzeni*

Georg zbladł pod swoją opalenizną. Komisarz odnotował ten fakt bez mrugnięcia okiem.

— To wiersz, który napisała Caro - powiedział. - Na krótko przed śmiercią. Ciekawe, kogo nazywa księciem, żebrakiem, szarlatanem i mędrce.

Młody mężczyzna wytrzymał spojrzenie.

— Nie znam się na liryce. — Na jego twarz powoli powracał kolor.

Wierutne kłamstwo. Ktoś, kto nie zna się na liryce, powiedziałby, że nie zna się na wierszach. Nie użyłby nigdy tak wyszukanego słowa, może nawet by go nie znał.

— Szkoda — westchnął Bert. — Moglibyśmy spróbować zinterpretować te wersy. Zna pan kogoś, kto pisze?

Georg potrząsnął głową.

Komisarz nie miał dowodów przeciwko niemu. Niejasne podejrzenie i nie najlepsza opinia, jaką się cieszył pośród kolegów z pracy, nie wystarczały. Morderca potrzebował motywu, a tutaj Bert nie mógł go znaleźć.

Czy jakiegokolwiek przesłanki pozwalały uznać, że Taban to psychopata?

Bert usiłował wyobrazić sobie Caro z tym mężczyzną. Nie udawało mu się. Żałował, że nie znał jej za życia.

- Zabił pan te dziewczyny? - zapytał zupełnie bez związku. To był strzał z biodra, wbrew wszelkiemu doświadczeniu i rozsądkowi.

Komisarz przygotował się na różne reakcje. Facet mógł się oburzyć. Okazać zaskoczenie. Wybuchnąć śmiechem. Albo odpowiedzieć ironicznie. Ze zdumieniem unieść brwi. Czy też powiedzieć: „Ja? Niech pan się nie ośmiesza”.

Nic z tych rzeczy. Georg patrzył przez Berta jak przez szybę, na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego smutku. Przez długą chwilę wydawał się głęboko zamyślony.

Bert obserwował go zafascynowany.

Potem, całkiem nagle, młody mężczyzna się ocknął. Spojrzał na pytającego. Jego oczy stały się zimne.

- Ja nie jestem mordercą, panie komisarzu - powiedział. Krótko, urywanymi słowami. Ja. Nie. Jestem. Mordercą.

Bert nie mógł pozbyć się uczucia, że ten człowiek kłamie.

*

- Jak było? - zapytał Maile. Oczywiście słyszał, że znowu przyjechał tu komisarz. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Jak miało być? - Georg uśmiechnął się pogardliwie. - Draży tę sprawę i udaje, że ma jakiś trop.

- Właśnie! - Maile zaśmiał się jak becząca owca, jednak trochę cienko. Tabana nurtowało, czy to możliwe, że kumpel nagle zaczął się go bać. Zauważył większy dystans niż przedtem. Normalnie przecież Klestof poklepałby go teraz po plecach.

Georg wiedział, że jego również przesłuchano. Ludzie szeptali o tym między sobą. Ale Maile, który zwykle nie potrafił trzymać języka za zębami, nie wspomniał o tym ani słowem. Mógł być tylko jeden powód, będący również przyczyną strachu kolegi - podejrzewał go i usilnie starał się unikać drażliwego tematu.

„Tchórzliwy pies” - pomyślał Georg, wziął swoją skrzynkę, zostawił Mallego i wrócił do pracy. Zapomniał zabrać chustkę z umywalni i włosy spadały mu na twarz, przyklejając się do spoconej skóry. Obrzydliwe uczucie.

Starał się nie słyszeć odgłosów z otoczenia i analizował sytuację. Komisarz z pewnością nie miał w ręku żadnych dowodów przeciwko niemu. W północnych Niemczech posługiwał się innym nazwiskiem i fałszywymi dokumentami. Tamtych spraw w żaden sposób nie dało się z nim połączyć.

A jeśli policja każe przeprowadzić test śliny? Wtedy wszystko się wyda. Życie zamieni się w nieustającą ucieczkę. Z Jette. Czy jest na to gotowa?

Po co właściwie łamał sobie głowę? Gliniarz wyjechał. Nie wiedział nic, zupełnie nic.

Georg się uśmiechnął. Chroniła go miłość. Dopóki kochał, nic nie mogło mu się stać.

Był zbieraczem truskawek!

Merle biegiem śpieszyła do domu, by w spokoju to przemyśleć. Wreszcie choć raz czuła wdzięczność wobec Claudia że był skąpcem. Inaczej nie wysłałby jej po truskawki na pole, żeby sama ich nazbierała. I nie zobaczyłaby nagle, że zasuszone liście z kwiatkiem, które przechowywała Caro, pochodzą właśnie z tych krzaczków.

W jednej chwili wszystko nabrało sensu. Sama często widywała zbieraczy truskawek na polach, gdy była z Jette we młynie. Wielu z nich nosiło chustki, żeby chronić włosy przed słońcem i potem.

na ustach

twych

strasznie czerwony

słodki uśmiech

Także te wersy nagle okazały się zrozumiałe. Jeśli tajemniczy wielbiciel zjadł truskawkę, jego usta zrobiły się czerwone i miały słodki smak. A ten uśmiech może wydawał się Caro straszny, bo cały związek pozostawał dla niej ciemny i nieprzenikniony.

Znowu zaczęła się okaleczać. To zawsze był sygnał alarmowy.

- Cholera - dysząc, zaklęła Merle. - Cholera. Cholera. Cholera!

Nie mogły pomóc Caro, bo wdała się w grę z tym człowiekiem. Nikomu nie pisnęła o nim ani słówka. Z wyjątkiem jednej jedynej, ostatniej rozmowy z Jette. Ale również wtedy nie zdradziła nic istotnego.

*Kim jesteś
tyle
niezadanych pytań
tyle
pieśni
niewyśpiewanych
dziewięć
nieprzeżytych istnień*

Nagle wszystko zabrzmiało jak przepowiednia. Caro nie mogła już zadać żadnych pytań. Nie mogła już śpiewać żadnych pieśni. Ani doprowadzić swojego życia do końca.

Merle biegła. Czowała, jak splywa z niej pot. Z trudem chwyciła powietrze. Ludzie ustępowali z drogi, z przestachem patrząc na jej twarz.

*

Bert oddzwonił do Imke Thalheim. Nie zrobił tego natychmiast, bo przysiągł sobie, że zachowa dystans. Na dźwięk jej głosu wszystkie postanowienia wzięły jednak w łeb. Poczł potrzebę, by znaleźć się przy niej, siedzieć obok i słuchać, jak mówi, patrząc na nią.

— Udało się znaleźć coś nowego? - zapytała.

— Myślę, że jesteśmy na dobrej drodze - powiedział komisarz. - Ale wie pani, że nie wolno mi udzielać żadnych informacji.

— Miałam nadzieję, że w moim... wypadku zrobi pan wyjątek - stwierdziła.

W jej wypadku. Serce zaczęło mu bić nierozsądnie szybko. Czy ona odczuwała podobnie jak on?

- To nie byłoby właściwe — odparł.
- Słusznie - przerwała po chwili milczenie. - Proszę wybaczyć. Tylko że... umieram ze strachu o dziewczęta. I mam dziwne przeczucie...

Najczęściej traktował poważnie ludzkie emocje, nieokreślony strach, wskazujący na zagrożenie. -Jakie przeczucie?

- Ze Jette grozi niebezpieczeństwo.
- Czy powinienem o czymś wiedzieć? — zapytał.
- Zakochała się.
- Przecież to dobra nowina.

- Tak pan uważa? Caro też była zakochana.

Pora powstrzymać dalsze szkody wyrządzane przez tego faceta. To zakończy pasmo lęków. I umożliwi drogę żałobie. Każdy, kogo dotknęły te zabójstwa, potrzebuje zamknięcia sprawy, by znowu móc patrzeć w przyszłość.

- Musi pani przewyciężyć strach - poradził. Dobra rada, ale nie posłucha. Nie może. Już tkwiła w szponach swoich lęków.

-Jest znacznie starszy od Jette. I w tej historii szczególnie mnie coś dziwi. Zazwyczaj córka aż kipi ze szczęścia, kiedy się zakocha. Tym razem nie. Jeszcze mi nie opowiedziała o tym mężczyźnie.

Bert pomyślał o Caro. Ona także kochała kogoś, o kim nie mówiła. „Nonsens”- zganił siebie. Czyżby też stał się przewrażliwiony?

Istniały jednak analogie. Pojawiło się także wewnętrzne napięcie, jakie zawsze odczuwał, gdy w danej sprawie otwierała się nowa furтка.

- Proszę spokojnie porozmawiać z córką - zaproponował. - Wypytać ją o szczegóły. Proszę spróbować dowiedzieć się o jego nazwisko.

- Dobrze. - Miał rację. To jedyny sposób, by pozbyć się tego przeszywającego strachu. Wszystkie odpowiedzi, których potrzebowała, mogła uzyskać od Jette. - Chociaż prawie nigdy nie ma jej w domu.

Po tej rozmowie Bert siedział przez chwilę zamyślony. Odnosił wrażenie, że trzyma w rękach kłębek splątanych nici, który może rozplątać jednym ruchem. Jeśli tylko znajdzie odpowiedni sposób i pociągnie we właściwym miejscu.

Siedział w samochodzie i czekał na Jette. Pojadą jeszcze raz do Blankenau, miasteczka z cudownymi starymi domami. W pewien sposób czerpał siłę z widoku zabytków. I odwagę.

W zasadzie należał do zupełnie innej epoki. Zawsze to czuł. Może to prawda z reinkarnacją i spotkali się już z Jette kiedyś, we wcześniejszym wcieleniu.

Czy wtedy się zakochali? A może nawet ze sobą żyli?

Zapyta ją, czy wierzy w to, że ludzie rodzą się na nowo.

Zapyta ją, czy go kocha. Zapyta, czy kogokolwiek darzyła taką miłością jak jego.

I zapyta ją, czy z nim pójdzie, gdy zakończy tutaj pracę.

Rozglądał się za nią niecierpliwie. Nic na siłę. Żeby jej nie przestraszyć. Musi postępować ostrożnie.

Pora obiadu. Wziął wolne popołudnie.

- Muszę iść do lekarza - wytłumaczył się. To samo powiedział Mallemu.

Dotychczas udawało mu się zacierać każdy ślad.

Na stole w kuchni leżał list.

Droga Merle,

przepraszam, bylam okropna. Nie gniewaj się, proszę! To nie tak, że ci nie ufam. Po prostu Gorg i ja rozmawialiśmy wprawdzie o tysiącu rzeczy, ale nadal wiemy o sobie bardzo niewiele.

Wiem, że to brzmi dziwnie, ale czuję, jakbym go znała całe życie. Jakbym wiedziała o nim to, co istotne. To bez znaczenia, czy jest lekarzem, kontrolerem podatkowym czy zbieraczem truskawek. Kocham go. Tylko to się liczy.

Może jutro usiądziemy razem i pogadamy długo i od serca? Dzięki temu pozbedziemy się wszystkich nieporozumień między nami. Już się na to cieszę!

Buziaczki

Jette

PS: Chcemy znów pojechać do jednego z tych średniowiecznych miasteczek, które on tak lubi. Wyobrażasz sobie, że oglądam stare mury i wcale się przy tym nie nudzę? Kobiety po prostu są głupie, kiedy się zakochają, wiem, wiem.

Merle czytała ten list kilka razy z rzędu. Za każdym razem rzucało jej się w oko jakieś określone słowo. Lekarz. Kontroler podatkowy. Zbieracz truskawek.

Jak duże było prawdopodobieństwo, by zarówno Caro, jak i Jette zakochały się akurat w pracowniku sezonowym? Zerowe. Chyba że chodziłoby o tego samego mężczyznę, który dopomógłby Jette w zawarciu znajomości.

W następnej chwili Merle miała w ręce wizytówkę komisarza i wybierała jego numer.

Nie zastała go w biurze, wyłączył też komórkę. Jak mógł być nieosiągalny w chwili, gdy tak bardzo go potrzebowała?

Trochę się spóźniłam i obawiałam się jego złości. Przywiązywał wielką wagę do punktualności, to zdążyłam zauważyć. Tak jak przypuszczałam, był poirytowany. Przestraszyłam się. Kilka minut to przecież drobnostka. A jak by zareagował, gdyby rzeczywiście miał powód do zdenerwowania?

- Jeden z kotów nasikał w korytarzu, musiałam najpierw sprzątnąć.

Widziałam, jak zmienia wyraz twarzy. Gniew zniknął, ustępując miejsca niezdecydowanemu uśmiechowi.

—Już dobrze. — Przyciągnął mnie do siebie, na ile to było możliwe za kierownicą, i pocałował mnie. Wreszcie znów go poznałam.

Podczas jazdy zdawał się nad czymś zastanawiać. Kiedy rozmyślał, marszczył czoło, na którym zaznaczały się już drobne zmarszczki. Czułam się dobrze. Byłam z nim. To wszystko, czego chciałam.

Na zewnątrz migały obok nas krajobrazy, lasy, łąki, pola i pastwiska. Cieszyłam się, że żyję w małym, łatwym do ogarnięcia mieście, a wokół kwitnie prawdziwe wiejskie życie.

- Mógłbyś sobie wyobrazić, że mieszkasz w wielkiej metropolii? - zapytałam.

- Z tobą wszędzie - oparł Gorg, nie odrywając oczu od drogi. - Zawsze razem. Wszystko inne się nie liczy.

— Tylko rodzina i przyjaciele — dodałam. - Mama, babcia i Merle to najważniejsze kobiety w moim życiu. Bez nich istniałabym tylko w połowie, jak po amputacji.

Nic na to nie odpowiedział. Mocniej ścisnął dłońmi kierownicę.

Odchyliłam głowę, zamykając oczy. Myślałam o swojej torbie. I o prezerwatywie, którą do niej wrzuciłam. Nosłam ją, odkąd spotkałam Gorga. Czy dzisiaj ją wyjmę?

*

Gorge u lekarza? Niech gada, co chce. Nie. Bumelował. Maile niósł pełną skrzynkę do przyczepy. Pot ściekał mu po szyi. To prawdziwa harówka, ale przynosiła pieniądze. Nie wielką forszę, na życie jednak wystarczało.

Nigdy na niczym nie zależało mu bardziej niż na wolności.

Czasem, przebywając w ciasnych pomieszczeniach, myślał, że się udusi. Musiał być na dworze, czuć wiatr, słońce i deszcz. Wielu z tych, których poznał przy pracy, miało podobnie.

Kiedy robotnik sezonowy bumelował, musiało to coś oznaczać. Nie pracowali przecież na etacie jak urzędnicy, którzy dostarczyliby szefowi zwolnienie lekarskie i dalej pobierali wynagrodzenia. Poza tym rzadko chorowali. Byli zahartowani, odporni na wirusy.

Może Gorge coś kombinował, jemu nic nie mówiąc. To typ skryty, zamknięty w sobie. A akurat teraz, gdy znowu węszyli tu gliniarze, warto wiedzieć, co robi drugi. Żeby się nawzajem wyciągać z bagna, gdyby okazało się to konieczne.

Nikt nie rozumiał, dlaczego Gorge wybrał sobie takiego kumpla, jeśli można tak określić ich relacje. Nawet Maile tego nie kapował. Nie mieli nic, zupełnie nic wspólnego poza tym, że wieczorami lubili sobie golnąć po jednym. Ale nawet wtedy Taban trzymał dystans. Maile jeszcze nigdy nie widział go pijanego.

„Jakby musiał zachować kontrolę” - myślał. Jakby w przeciwnym razie jego życie miało się rozpaść. Odebrał pustą skrzynkę i wrócił na swoje miejsce. Zrozumiał, że tak naprawdę nic nie wie o swoim kumplu. Natomiast Gorge zna prawie wszystkie jego sekrety.

*

Nareszcie ktoś odebrał! Imke odetchnęła z ulgą.

- Merle! Gdzie wy się podziewacie? Dlaczego się nie odzywacie?

Dziewczyna zaczęła płakać. Pisarka poczuła, jak jej ciało przechodzi zimny dreszcz.

- Co się dzieje? - „Proszę - myślała. - Proszę, proszę! Jette nie mogło się nic stać!”.

Wśród szlochów Merle powiedziała jej o swoim podejrzeniu. Przypuszczała, że Jette zakochała się w tym samym mężczyźnie co Caro na krótko przed śmiercią. Przedstawiła pokrótce argumenty.

- Ale to wcale nie znaczy... - Imke poczuła suchość w ustach. Nerwowo przełknęła ślinę. - Gdzie ona teraz jest?

- Pojechała z nim — wyszeptała Merle tak cicho, że Imke z trudem ją zrozumiała.

- Zaczekaj na mnie — rozkazała. — Za dziesięć minut będę u ciebie.

Rzuciła telefon na stół, chwyciła torebkę i wybiegła do samochodu. Nie starała się nawet zamknąć drzwi od garażu, ruszyła z podjazdu z takim impetem, że żwir rozpryskiwał się spod kół auta.

*

Nie miał już Jette za złe, że się spóźniła. To krótki gniew, który szybko ustąpił. Na tę dziewczynę nie można się przecież długo gniewać. Poza tym nie kazała mu czekać celowo.

Siedziała obok, nucąc do muzyki z radia. Jakby nie istniały żadne problemy. Nie domyślała się nadchodzących kłopotów.

Nie wolno lekceważyć policji, a tym bardziej Melziga. Już przy pierwszym zetknięciu z komisarzem wiedział - nie jest to typ gliniarza, którego można wodzić za nos. Coś mu mówiło, że sytuacja wygląda źle. Musi zareagować. Melzig trafił na jego ślad.

Jette głaskała go po ramieniu.

- Tak się cieszę - powiedziała.

Ścisnął jej rękę. Nigdy nie dopuści do tego, by ktoś ją zasmucił.

*

Tak. Merle zaczeka. Na mamę Jette i na telefon od komisarza. Przekazała mu informację, by natychmiast się odezwał.

Cieżko jej zaufać gliniarzowi. Nigdy nie przypuszczała, że kiedyś może prosić jakiegoś o pomoc. Ale sama nie wiedziała, co robić. Nie miała wyboru.

Koty zdawały się wyczuwać jej zdenerwowanie. Schodziły jej z drogi, prychając, gdy za bardzo się zbliżała. Rozumiała

to doskonale. Miały w życiu dosyć stresu, teraz potrzebują spokoju. Położyła na stole zasuszony kwiatek z liśćmi, czarną chustkę, list Jette i wiersze Caro. Wciąż na nie zerką. Jeszcze raz musiała wszystko przemyśleć.

- A więc? - powiedziała głośno. - Przypuśćmy, że to rzeczywiście zbieracz truskawek. To jeszcze nie dowód, że jest mordercą.

Podświadomie była jednak przekonana o swojej racji. W przeciwnym razie odezwałyby się do nich. We wszystkich gazetach pisano o śmierci Caro. Nawet gdyby tego nie czytał - to przecież brakowałoby mu dziewczyny i chciałby się czegoś o niej dowiedzieć.

- Ty parszywy gnoju — warknęła Merle. — Ona cię kochała!

*

Bert ponownie pojechał do gospodarstwa Kalmera, aby porozmawiać z Tabanem. Zaciśnąc mocniej pętlę, którą zarzucił mu na szyję. Ani sekundy nie wątpił w trafność tego tropu.

Zona właściciela plantacji poinformowała go, że Georg wziął wolne popołudnie na wizytę lekarską.

Zaniepokojony komisarz zapytał, czy pracownik sprawiał wrażenie chorego.

- Właściwie nie - odparła obojętnie kobieta. To przecież chłop jak dąb i wyglądał jak zawsze. Rozmawiając z Bertem, porządkowała papiery. Miał wrażenie, że tylko udaje obojętność.

Czy między nimi coś zaszło?

- Chciałbym porozmawiać z panem Klestofem - oznajmił. - Może go pani sprowadzić?

Wyszła niechętnie, by posłać po Mallego.

Niech to diabli! Spłoszył faceta. Wprawdzie to część jego planu, ale nie przewidział takiego obrotu spraw. Mógł tylko mieć nadzieję, że tym razem instynkt go zawiódł i Georg Taban faktycznie wziął wolne z powodu wizyty u lekarza.

Po przerażeniu, jakie ogarnęło ją podczas rozmowy z Merle, Imke nie czuła zupełnie nic. Samochód prowadziła jak zwykle chłodno, z rutyną, zwracając uwagę na znaki drogowe i światła, dostrzegając każdego przechodnia, każdy pojazd i każdego rowerzystę. „Chyba jestem w szoku” - myślała. Jak wtedy po wypadku. Wymusiła pierwszeństwo i nadjeżdżające z boku audi uderzyło w nią od strony pasażera. Rozległ się straszliwy huk, a prawy błotnik jej auta wyglądał jak zgniecione sreberko po czekoladzie. Wtedy też była w szoku. Nic do niej nie docierało od razu, dopiero z opóźnieniem. Tak samo czuła się teraz.

Zbliżając się do Bróhl, zadawała sobie pytanie, co może zrobić, jeśli podejrzenie Merle się potwierdzi. Niewiele. Jedynie poinformować Berta Melziga. Mieć nadzieję i się modlić.

Nie zdołała znaleźć miejsca, więc zaparkowała samochód niezgodnie z przepisami.

Chwilę później wbiegała po schodach.

Merle stała w drzwiach, czekając na nią. Była zapłakana. W dłoni miętoszyła chusteczkę do nosa.

Imke ją objęła, chwilę przytulając do siebie, potem przeszła do kuchni.

- Tam, widzi pani? - Dziewczyna wskazała na stół. - Liście i kwiat truskawki. A chustki używał, żeby chronić włosy. Pracują w pełnym słońcu, strasznie się pocą.

Imke często przejeżdżała koło pól truskawkowych. Chodziła niekiedy do właściciela plantacji, by kupić owoce. Codziennie widziała robotników w jaskrawych chustkach i kapeluszach.

Tak blisko.

On zawsze krył się w pobliżu.

Zebrane przez Merle przedmioty wyraźnie wskazywały na prawdopodobieństwo, że przyjaciel Caro był zbieraczem truskawek. Ale czy ją także zamordował?

- Czy inaczej zignorowałyby jej śmierć? - zapytała dziewczyna, jakby odczytując tę myśl z jej twarzy.

Miała rację. To bardzo prosty wniosek. I słuszny.

- Proszę to przeczytać.

Merle wzięła górną kartkę ze stosu papierów i podała Imke.

*witaj
czarny panie
twoje miejsce w mroku
nie przy mnie
witaj
najdroższy
mój
wejdź
ze mną
w światło*

-Jeśli akurat nie zbierał truskawek - wyjaśniła z pogardą - to chował się jak szczur. Nic o nim nie wiedziała, a o nielicznych faktach, których się w końcu domyśliła, zabronił jej mówić. To od początku do końca jakaś chora znajomość.

Czy Jette też zobowiązał do milczenia? Imke przypomniał się inny wiersz.

*obiecujesz mi
swe życie
a nie mówisz
niczego
choć o mnie
wiesz
wszystko*

Tilo nie chciał bliżej przyjrzeć się wierszom i pomóc w ich interpretacji. Powiedział, że po pierwsze chodzi tu o poezję, a jej nie da się tak po prostu wyjaśnić.

Po drugie uważał, że nie jest w stanie wypowiadać się wiążąco o osobie, której nie zna.

„I po trzecie - dodał - nie mam zamiaru mieszać się do działań policji”.

Ale czyż ten wiersz nie mówił wiele o Caro?

Czy nic można z niego wywnioskować, jak bardzo cierpiała z powodu skrytości ukochanego, dlatego znowu zaczęła się okaleczać?

Gdyby te refleksje okazały się słuszne, to czy nie należałoby wyciągnąć innych wniosków co do tajemniczego mężczyzny?

- Proszę - Merle wręczyła Imke kolejny wiersz. - Ostatnie trzy wersy.

*na ustach twych
strasznie czerwony
słodki uśmiech*

- Truskawkowy uśmiech - wyjaśniła dziewczyna. —Czerwony i słodki. I straszny. Może Caro się go bała.

- Powoli. — Imke masowała skronie. Rozboliła ją głowę. - Powoli. Żebym wszystko zrozumiała.

Czy seryjny morderca może się zakochać? Czy z każdą z ofiar łączył go dłuższy związek? Może za każdym razem coś się między nimi psuło, dlatego zabijał dziewczyny?

Lubiła zadawać sobie podobne pytania, ale tylko gdy służyłyby zbieraniu materiałów do nowej książki.

I znów powrócił strach. Przewyciężyła szok. Choć z przerażenia czuła skurcze żołądka, cieszyła się, że minęło odrętwienie.

- Musimy zadzwonić do komisarza.

- Nie ma go w biurze i komórki też nie odbiera.

- Więc zostawmy mu wiadomość.

- Już to zrobiłam. Pozostaje nam tylko czekać.

Imke usiadła przy stole. Patrzyła na rzeczy rozłożone przez Merle. Czekać.

- Wiesz, dokąd pojechali? - Z trudem jej przyszło jednym tchem zapytać o Jette i tego mężczyznę.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Wybierali się do jakiegoś średniowiecznego miasteczka, ale Jette nie wymieniła jego nazwy. - Podała Imke list.

Imke spojrzała na pismo córki i wybuchła płaczem. Teraz to Merle ją pocieszała. Objęła Imke ramionami, łagodnie kołyszając.

- Znajdziemy ją - wybąkała. - Już my coś wymyślimy.

*

Sielankowe miasteczko okazało się naprawdę piękne, chociaż nie do końca rozumiałam zachwyty Gorga. Pochylone stare domy cisnęły się wokół rynku z kocimi łbami. Na takich miejscach kiedyś palono kobiety uznane za czarownice.

- Średniowiecze to okrutna epoka — powiedziałam. - Nie można o tym zapominać, patrząc na te dziwne domy.

- W każdym czasie nie brakuje okrucieństwa. - Gorg objął mnie ramieniem. - Tylko współczesny człowiek udoskonalił metody.

Ileż w nim było sprzeczności! Potrafił jak dziecko cieszyć się pięknym widokiem, a po chwili mówić coś takiego. Może wynikało to z faktu, że był starszy. Widział i przeżył znacznie więcej niż ja.

W kawiarence na ulicy piliśmy espresso, obserwując przechodzących obok ludzi. Na twarzy Gorga malowała się błogość. Nachyliłam się ku niemu i pocałowałam w policzek.

„Będę wobec ciebie cierpliwa — obiecałam mu w myślach. - I zrobię wszystko, żebyś czuł się szczęśliwy”.

Telefon zadzwonił, gdy Imke i Merle dumały nad mapą. W tej okolicy było mnóstwo starych miejscowości. Skąd miały wiedzieć, do której pojechała Jette z tym mężczyzną?

Miał na imię Gorg. Tyle Jette ujawniła przyjaciółce. Pisarka nigdy nie słyszała takiego imienia, lecz nie dlatego jej się nie spodobało. Znienawidzi wszystko, co wiąże się z tym facetem, nawet gdyby nie okazał się mordercą. Już choćby za to, jak postępował wobec Caro za życia.

- Zajrzę do was - obiecał Bert Melzig, gdy wysłuchał Jette. Pół godziny później siedział z nimi przy stole i prosił, by dziewczyna dokładnie wyjaśniła, jak doszła do tych wniosków.

- Nazywa się Gorg - powiedziała Merle - ma około trzydziestki i...

- Jak się nazywa? - Komisarz aż się pochylił.

- Gorg. I ma...

- Jeden ze zbieraczy truskawek to niejaki Georg Taban. Kumpel mówi na niego Gorge.

Imke zeszywniała. Merle patrzyła na komisarza jak zelektryzowana.

- Właśnie tam byłem, żeby z nim porozmawiać, ale go nie zastałem. Wziął wolne popołudnie. Rzekomo na wizytę u lekarza.

Imke to wystarczyło.

- Czy Jette nigdy wcześniej nie wymieniała nazwy miasteczka? - zapytała. - Na miłość boską, Merle, pomyśl!

Dziewczyna oparła głowę na rękach. Zamknęła oczy. Nie przypominała sobie. Prawdopodobieństwo, że przyjaciółka

podała jej tę informację, było znikome. Stała się skryta. Tak jak Caro.

*

Piękno i prostota domów roztaczały wokół czar, lekko go uspokajając. Mimo to w głowie Georga kłębiły się myśli. Dopadną go prędzej czy później. I choć jeszcze nic się nie wydarzyło, odnosił wrażenie, jakby komisarz już położył mu rękę na ramieniu.

Jette zdawała się nie dostrzegać wzburzenia. Gdy ich spojrzenia się spotykały, posyłała mu uśmiech. Słońce igrało na jej twarzy i włosach, rozświetlało oczy.

Zapędzony w ślepy zaułek jak dzikie zwierzę, tak się czuł. Już dawno zrozumiał, że jest bezsilny wobec własnych uczuć. Rozum nie mógł tu nic zdziałać.

„Brakuje im dowodów przeciwko mnie - myślał, dodając sobie odwagi. - Mam czas, by zareagować”.

- Przejdziemy się trochę? - zapytała Jette. Jej twarz wyglądała tak młodo i tak niewinnie. Ani jednej zmarszczki, która świadczyłaby o złych doświadczeniach.

Skinął na kelnerkę, żeby zapłacić rachunek.

*

W drodze do biura Bert zadzwonił do Arno Kalmera. Pytał, czy Georg Taban ma samochód.

- Tak, ciemnego fiata punto - odpowiedział krótko właściciel plantacji.

- Może mi pan podać numery?

- Chwileczkę. - Komisarz słyszał szmery, chrobot, kroki, potem szelest papieru. — Przykro mi. Nie zapisałem. Mam popytać?

- Nie trzeba. Dziękuję.

Wystarczy jeden telefon, żeby dowiedzieć się o rejestrację. A potem? Jakie miał dowody przeciwko podejrzanemu? Zasuszony kwiat truskawki. Trzy zasuszone listki. Czarną chustkę. Wiersze zmarłej. Jej pamiętnik. Nigdzie w tych tekstach nie pojawiło się imię Georg, Gorge czy Gorg.

Nie istniał dowód na to, że Taban jest mordercą.

Nie można było udowodnić, że przebywa teraz w towarzystwie Jette.

Bert opierał się na czystych spekulacjach. I na przeczuciach. Znowu.

Taban formalnie był zameldowany w pewnej wsi w południowych Niemczech. Policjant stamtąd dopytywał o niego u ludzi wynajmujących mieszkanie. Powiedzieli, że lokator najczęściej jest w podróży. Gdy przyjeżdża do domu, zachowuje się spokojnie i nie wzbudza podejrzeń. Miły z niego facet, nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów.

Nic nie przemawiało przeciwko Tabanowi. Nie wzbudza uwagi. Spokojny. Żadnych czynów karalnych. Idealny obywatel. Ale Melzigowi zdarzało się uruchamiać akcję, nawet gdy miał mniej dowodów. Każe go szukać. Jego i Jette. Ryzyko, że dziewczynie może się coś stać, jeśli on nie zacznie działać, było zbyt duże.

Nigdy więcej, przysięgał sobie, nie wyłączy komórki, by mieć spokój w czasie obiadu. Na samą myśl, że Merle rozpaczliwie próbowała się z nim połączyć, oblewał się zimnym potem.

Wybrał numer i już w samochodzie zaczął organizować obławę na Georga Tabana.

- Chodź - zaproponował. - Wracamy do domu. „A potem spakować rzeczy i w drogę” - pomyślał. Razem z nią. Zaraz naszły go jednak wątpliwości. Czy to dobre wyjście? Czy nie istnieją inne możliwości?

- Do domu? - Popatrzyła na niego zdziwiona. - Przecież dopiero tu przyjechaliśmy.

- Jette! Proszę! - Nie umiał myśleć jasno. Jak zdecydować się na właściwe rozwiązanie?

- Skoro tak bardzo ci na tym zależy. - Dziewczyna się rozejrzała. Jakby chciała pożegnać się z tym wszystkim, co chętnie by jeszcze zobaczyła.

Czul, że Jette się nad czymś zastanawia. Ale myśli zachowała dla siebie. Z jednej strony lubił w niej skrytość. Z drugiej strony doprowadzała go tym do szaleństwa. Chciał wiedzieć, co też jej chodzi po głowie. Poznać jej uczucia. Miała zbyt wiele zakamarków w duszy, do których mogła się wycofać. I wtedy zostawała sama. Nieosiągalna dla niego.

W drodze do samochodu wziął ją za rękę. Żeby została przy nim, nie skrywając się znowu w swoich myślach.

Nie może go nigdy opuścić.

*

Zostały w mieszkaniu. Żeby czekać pod telefonem. Imke usiadła przy oknie, patrząc w dół na ulicę. Merle postanowiła upiec ciasto. Po powrocie Jette chciała nakryć stół i pokroić deser. Jette uwielbia niespodzianki.

Koty dokazywały w pokoju. Mruczały i prychały, goniąc się radośnie. Dziewczyna cieszyła się, że są i że je słyszą. Imke nie powiedziała słowa, odkąd wyszedł komisarz. A w ciszy budzą się upiory.

Trzysta siedemdziesiąt pięć gramów mąki, opakowanie proszku do pieczenia, jajka. Do słodzenia Merle wzięła miód. Był ciężki i źle się rozprzewadzał. Dodała do ciasta posiekane migdały i odcedziła wiśnie.

Uspokajające czynności.

Nie udało jej się całkiem wyłączyć. Myślała o Caro. O jej śmiechu. I o martwej twarzy. O Jette i ich ostatniej sprzeczce. List włożyła do kieszeni spodni. Dobrze wiedzieć, że w każdej chwili może go przeczytać.

Potem pomiędzy te wspomnienia wkradła się myśl o Gorgu. Myśl ciemna i groźna, tak jak ten mężczyzna. Merle szybko ją porzuciła.

*

Może powinien spróbować z nią porozmawiać. Teraz. Natychmiast. Nie ma wyboru. Nie potrafi dalej żyć jak dotychczas, czekając na to, co się zdarzy.

Ale od czego ma zacząć? I jak daleko może się posunąć? Jette nie zniosłaby prawdy. Jeszcze nie.

A gdyby zasłonić się jakimś pretekstem? Zaproponować jej przygodę?

Nie. To by się nie sprawdziło. Nie spaliłaby za sobą wszystkich mostów, odchodząc z nim, nie porozmawiawszy przedtem z matką albo z tą całą Merle. Nie była taka jak Caro. Tamtej taka gra by się spodobała.

Czas uciekał. Co robić?

*

Gorg zachowywał się dziwnie. Ręce mu drżały i jechał za szybko. Zapytałabym, co się dzieje, ale nie miałam odwagi. Wydawał się zupełnie inny niż zazwyczaj, surowy i odpychający, prawdziwie obcy.

Nie śmiałam też włączyć radia. Siedziałam, patrząc na drogę. Od czasu do czasu spoglądał na mnie bez uśmiechu. Gdzie się podziała czułość w jego oczach?

Jeszcze nigdy tak długo się nie zastanawiałam, jak powinnam zareagować. Dotychczas nie czułam się tak niepewnie. Tęskniłam, żeby go objąć, piekielnie przy tym się bojąc, że mnie odepchnie.

„Bądź znowu dobry - myślałam. - Kochaj mnie”.

Kiedyś często tak się czułam. Ojciec nie miał zwyczaju okazywać miłości - to był rodzaj kary. Najczęściej nawet nie wiedziałam, co go rozgniewało.

Wyprostowałam się. Nabrałam głęboko powietrza. Spojrzałam na niego i zapytałam:

- Gorg, co się dzieje?

*

Pościg już się zaczął. Wszystko działało na wysokich obrotach. Dwaj policjanci w nieoznakowanym samochodzie pilnowali pensjonatu, gdzie Georg Taban wynajmował pokój,

żeby go zgarnąć, gdyby wrócił. Także przed domem, w którym mieszkały Jette i Merle, postawiono auto.

Bert przefaksował kolegom z północnych Niemiec rysopis podejrzanego i numery rejestracyjne jego fiata punto, prosząc o ich sprawdzenie.

Kilka minut później oddzwonił policjant z północy. Pojazdu o tych numerach nie udało się przypisać żadnemu z robotników sezonowych z ich list. Natychmiast zajmie się sprawdzaniem rysopisu.

Tego komisarz się spodziewał. W dokumentach dotyczących robotników sezonowych z Jever i Aurich nie pojawił się ani fiat, ani nazwisko Georga Tabana. Być może go tam nie było, ale niewykluczone, że posługiwał się fałszywym nazwiskiem, podrobionymi dokumentami i używał innego samochodu.

Bert przyniósł kawę. Teraz mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że podjął właściwą decyzję.

*

To czekanie wykańczało Imke. Zafascynowana obserwowała, jak radzi sobie z tym Merle. Najpierw upiekła ciasto z wiśniami. Potem sprzątnęła kuchnię. Podlała rośliny. Nakarmiła koty. Wyniosła na dół śmieci. A pomiędzy tymi czynnościami robiła kawę.

- Jest pani głodna? - zapytała. Pisarka pokręciła głową.

- Przepraszam cię, moja droga, w tej chwili nie stanowię miłego towarzystwa.

- To przez tę przekłątą niepewność. - Dziewczyna usiadła i starła niewidzialną plamę z blatu stołu, by po chwili znowu wstać. - Można zwariować.

- Myślisz, że... - Imke poczuła, jak napływają jej łzy. — Myślisz, że nic jej się nie stanie?

- Na pewno. - Merle ją objęła. - Jette jest silna. Wie, jak się bronić. A może wszyscy się mylimy? Może moje przypuszczenia są niedorzeczne i Jette radośnie spaceruje z ukochanym po okolicy? Umarłaby ze śmiechu, gdyby wiedziała, że tak się o nią zamartwiamy.

- Umarła ze śmiechu. Boże kochany! - To znaczy skręcałaby się ze śmiechu. Ach, do diabła! Chciałabym, żeby już wróciła.

Imke odczuwała tę sytuację jako paradoksalną. To ona była starszą rozważną kobietą z życiowym doświadczeniem. I to ona powinna pocieszać koleżankę córki, a nie odwrotnie. Nieśmiało zaczęła głaskać Merle po plecach.

- Cii - uspokajała. - Cii. Dziewczyna mocno do niej przyłgnęła.

*

- Musimy wracać do domu? - zapytałam.

Gorg spojrział na zegarek. Potem na mnie. Wciąż wydawał się obcy.

- Chętnie bym jeszcze pospacerowała. - Delikatnie pogłaskałam jego ramię, patrząc, jak podnoszą się ciemne włoski. — Może gdzieś w lesie. Nie miałbyś ochoty?

Długo nie odpowiadał. Jakby mnie nie słyszał.

- Na najbliższym zjeździe skręcę w bok - powiedział. Słyszałam bicie swojego serca.

*

Po mniej więcej godzinie kolega z północnych Niemiec zadzwonił drugi raz. Do jednego z robotników sezonowych

pasował rysopis. W czasie, gdy zamordowano dziewczyny, pracował w okolicy Jever u chłopa sprzedającego truskawki i maliny. Nazywał się Kurt Walz. Też jeździł samochodem, ale nikt nie przypomina sobie marki, a tym bardziej numerów rejestracyjnych. Co ciekawe, Walz też był samotnikiem.

Nie mieszkał z pozostałymi robotnikami w gospodarstwie chłopa, lecz zakwaterował się w niewielkim domku letniskowym. Z właścicielami utrzymywał tylko kontakt pisemny, ponieważ mieszkali w innej miejscowości. Nie nawiązał żadnych przyjaźni; przyjechał i wyjechał, mówił niewiele więcej, niż to było konieczne.

W kobietach zwykle budził obawy, więc trzymały się od niego z dala. Większość uważała go za dziwaka i nawet nie próbowały poznać go bliżej. Tylko z jednym z mężczyzn Walz czasem gdzieś wychodził.

Wykonywał pracę sumiennie, nigdy nie dając powodu do skarg. Mimo to jeszcze dziś każdy go dobrze pamięta. Podczas wcześniejszego śledztwa pozostawał poza kręgiem podejrzeń. W czasie morderstwa włóczył się po knajpach z jedynym kumplem, jakiego miał. Obaj zapewnili sobie alibi.

Jak Taban i Klestof. Ten sam schemat. „Możliwe - myślał Bert - że nie doceniałem tego Mallego". Zadzwoił do właściciela plantacji i wezwał Klestofa do siebie do biura. Koniec z uprzejmą wymianą zdań. Teraz chce znać prawdę.

Stał przy oknie, patrząc w dół na skąpaną w słońcu ulicę. Ludzie zaabsorbowani śpieszyli w tę i z powrotem. Kobiety. Mężczyźni. Dzieci. Pary zakochanych, ręka w rękę. A gdzieś tam, daleko, pozostawali Jette i Georg Taban. Dziewczyna i morderca.

Ciasto było gotowe, kuchnia lśniła. Koty nakarmione, rośliny podlane, śmieci uprzątnięte. Co jeszcze może zrobić? Telefon dzwonił bez przerwy, ale za każdym razem to był ktoś z obrońców zwierząt.

Wydarzenia w grupie toczyły się w zawrotnym tempie. Policja zaskoczyła dwóch przyjaciół podczas akcji. Jak długo uda im się nie puścić pary z ust?

Merle spławiła dzwoniących. Linia musi pozostać wolna. Dla policji. Dla Jette. „Proszę - błagała w myślach. - Proszę. Proszę, dobry Boże, spraw, niech ona się wreszcie odezwie! Niech się okaże, że czegoś zapomniała i dlatego do nas zadzwoni, proszę!”.

Imke włączyła komórkę.

- A jeśli zadzwoni do mnie na domowy? - zapytała nagle wystraszona.
- W ogóle o tym nie pomyślałam. Zaczęła naciskać klawisze komórki.
- Tilo? Posłuchaj, potrzebuję twojej pomocy.

Merle wyszła, by Imke mogła spokojnie rozmawiać. Niezdecydowana stanęła w swoim pokoju. Potem usiadła przy biurku i podpierając się na łokciach, ukryła w dłoniach twarz.

Jeśli będzie intensywnie myśleć o Jette, może do niej dotrze. Telepatię już dawno udowodniono.

„Jette - powtarzała w myślach. - Jette, słyszysz mnie?”.

*

Las okazał się przepiękny, niezbyt uporządkowany, ale też niezapuszczony. Ziemia była miękka od igieł sosnowych i mchu. Przez korony drzew wysoko ponad nami przebijały się promienie słońca.

- Czy to nie wspaniałe? - Puściłam dłoń Gorga i pobiegłam kawałek po krętej drodze. Wyrzucając do góry ręce, wydałam z siebie głośny okrzyk. Drzewa porwały go do góry i wchłonęły.

- Cudowne. - Stał za mną, całując mój kark. - Ale przestań krzyczeć. W lesie trzeba zachować ciszę.

- Trzeba? - Odwróciłam się do niego i spojrzałam mu w oczy. — Zakochanym wszystko wolno, mogą nawet zachowywać się jak wariaci.

Ujął moją głowę w obie dłonie, całując jak jeszcze nigdy dotąd - gorąco, namiętnie, z desperacją. A potem nagle mnie puścił. Otarł twarz, jakby chciał usunąć z niej uczucia, i przypomniał:

- Nie chciałaś pospacerować?

Nie spodobał mi się jego ton. Nie brzmiał jak głos Gorga. Należał do kogoś, kogo nie znałam.

Tilo odwołał wszystkie spotkania i pojechał do młyna, żeby pełnić straż przy telefonie. Jeszcze nigdy nie słyszał Imke tak roztrzęsionej. Jej głos był chropawy ze strachu.

Od dawna dysponował kluczem do jej domu, ale jeszcze nigdy go nie użył, bo zawsze byli umówieni, kiedy tam przyjeżdżał. Jednak fakt, że dała mu klucz, miał dla niego ogromne znaczenie.

Wprawdzie Imke zadedykowała mu książkę, wprowadziła do kręgu swoich przyjaciół, stał się nawet częścią jej rodziny, ale klucz do młyna to największy prezent, jaki mogła mu ofiarować. Umożliwiła mu tym dostęp do sfery prywatnej i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby tego nadużyć.

Jak zwykle poczuł spokój tego domu, wyobrażając sobie, jak by to było mieszkać razem z Imke. Już chyba najwyższy czas. Może powinni się odważyć. Pokręcił głową. Czy w ich wieku wolno mieć romantyczne marzenia?

Na stole w ogrodzie zimowym rozłożył przywiezioną książkę i papiery. Skróci sobie czas, pracując. O ile zdoła się skoncentrować. Bardzo polubił Jette i bał się o nią bardziej, niż mógłby przypuszczać.

*

Mylił się, czy była inna niż zwykle? Wydawała się nieco zdystansowana. Jak kobieta, którą dopiero co się poznało i nie wiadomo, jak się zachować.

Przyciągnął Jette do siebie i jeszcze raz pocałował. Tym razem zachował kontrolę, nie odrywał od niej wzroku. Zamknęła oczy, odwzajemniając pocałunek. Wszystko w porządku. Zachowywała się jak zawsze. Wyobrażenia spletała mu figla.

- Gdybym był szpiegiem - powiedział, objął dziewczynę ramieniem i ruszyli powoli - i musiał wyjechać z kraju, co byś zrobiła? Pojechałabyś ze mną?

- Bond - powiedziała teatralnie. - James Bond. Z licencją na zabijanie.
- Uśmiechnęła się. - Zawsze chciałam jechać nad południowe morza. Albo do Timbaktu. Nie ma sprawy.

Ścisnął ją mocniej. - Tak czy nie?

- Kiedyś często tak się bawiliśmy - odparła. - Gdybym była drzewem, to jakim? Gdybym była kwiatem. Gdybym, gdybym, gdybym. - Pocałowała go w czubek nosa. - Nie jesteś Jamesem Bondem. Nie jesteś szpiegiem.

- Pojechałabyś? - Zatrzymał się i patrzył na nią.
 - Tak, mój panie. - Pociągnęła go za sobą. — Ale tylko gdybyśmy mogli zamieszkać w ślicznym małym domku nad morzem. Codziennie rano przed śniadaniem bym pływała, a potem kupowała bułeczki i budziła cię pocałunkiem. I nigdy, już nigdy nie wróciłabym do szkoły.
 - Roześmiała się. — A ty pod nowym nazwiskiem malowałbyś obrazy albo pisał książki, porzucił szpiegowską przeszłość, żebym nie musiała się bać o ciebie.
 - I mielibyśmy dzieci - dodał, bo słowa Jette nagle bardzo zbliżyły się do jego marzeń o wspólnej przyszłości. - Dwóch chłopców i dwie dziewczynki.
 - A chłopcy wyglądaliby tak jak ty. Mieliby twój nos i twoje oczy.
 - A dziewczynki twoje usta, twoje włosy i twój uśmiech.
 - Oczywiście trzymalibyśmy też psa, miłego, zupełnie niegroźnego kudłacza. I koty na kanapie i na wszystkich parapetach.
 - A ty byłabyś moją żoną na zawsze i na wieki.
 - I bym cię kochałakochałakochała.
- Uwolniła się i pobiegła drogą. Roześmiana. Szczęśliwa. To tylko żarty. Nie potraktowała jego pytania poważnie.
- Jak uparte dziecko, które coś przeskrobało, Maile siedział na krześle, obracając w dłoniach znoszoną bejsbolówkę. Nigdy nikomu nie zapewniał alibi, powiedział, także Gorgemu.
- Poszliśmy na jednego. Daję słowo.

„Jakby w ogóle można było polegać na twoim słowie" - pomyślał Bert.

- Świadkowie? - zapytał.

- O żadnym nic mi nie wiadomo. Tak sobie łąziliśmy. Nie pierwszy raz. Widzą cię setki ludzi, ale potem nikt nie wie na pewno, bo większości i tak urwał się film.

- I Taban cały czas panu towarzyszył?

Maile skinął głową, gniotąc czapkę w rękach jak łopaty.

- Cały wieczór? I całą noc? Znowu kiwnął głową.

- Wróciliśmy dopiero nad ranem. -Pijani?

- Jasne. - Maile uśmiechnął się bezczelnie. - Popijawa nie jest dla grzecznych pańienek.

„Głupie powiedzonko" - pomyślał komisarz.

- Jak bardzo? - zapytał. ; Maile wzruszył ramionami.

- Po prostu pijani. Obaj. Gorge i ja.

- Czym wróciliście do domu?

- Samochodem Gorgego.

- Pijani w sztok? Milczenie.

- Kto siedział za kierownicą?

- Oczywiście Gorge. Nikomu innemu nie pozwala. Jego samochód to świętość. - Robotnik wygładzał czapkę. - Może jeździć, nawet po pijaku. Ma mocną głowę.

- Dziękuję. Na dzisiaj to wszystko.

- Na dzisiaj? - skrzywił twarz. - Czy to znaczy...

- ...że mogą się pojawić dalsze pytania. Tak.

Maile wstał i włożył czapkę. Nieporadnie ruszył do drzwi; człowiek, który woli otwartą przestrzeń niż zamknięte pomieszczenia.

- Aha, panie Klestof?

Zatrzymał się, jakby go przyłapano na gorącym uczynku, i odwrócił do Berta, przygotowany na kolejne nieprzyjemności.

- Naprawdę pan nie wie, gdzie w tej chwili zatrzymał się pański przyjaciel?

- Nie wiem. Gorge nie wtajemnicza mnie w swoje plany. Powiedziałbym panu, słowo. - Otworzył drzwi i wyszedł najszybciej, jak mógł.

Komisarza dusił zapach, który Maile pozostawił w pomieszczeniu - niemiłą mieszaninę mydła do prania, potu i słodkawej wody po goleniu. Otworzył okno, łapczywie wdychając świeże powietrze.

Klestof był pijany. Jak bela, co sam przyznał. Z pewnością urwał mu się film. To znaczy, że alibi Tabana da się podważyć. Następnego dnia łatwo mógł wmówić Mallemu, co tylko chciał.

„Sprytny jesteś, Georgu, Gorge czy Gorgu - pomyślał Bert. - Ale nie na tyle, by nie można cię było zdemaskować”.

Ogarnęła go duma. Przeczucie, że zaledwie parę kroków dzieli go od mety. Nie cieszył się jednak. Jette nie była jeszcze bezpieczna.

Ta zabawa mi się nie podobała. Podchodził do niej zbyt poważnie. Tak serio, że nagle przestała być zabawą. Uczucie zaniepokojenia maskowałam uśmiechem. Potrafiłam to robić, gdy Gorg był przy mnie - przez dłuższy czas nie dopuszczać do siebie nieprzyjemnych uczuć.

Nie chciałam się zastanawiać, czemu dzisiaj wydaje się taki dziwny. Nie znaliśmy się zbyt długo, zaskoczy mnie pewnie jeszcze nieraz.

A ja jego. Do tej pory nie wiedział na przykład, że przykładam wielką wagę do spokoju, nie znoszę kłótni. Z byle powodu zaczynam ryczeć. Ze czasem opuszcza mnie pewność siebie.

Kiedyś to wszystko zauważy i nauczy się akceptować. Ja też wspaniałomyślnie pogodziłam z jego niekiedy dziwnym zachowaniem.

- To dla mnie ważne, Jette — oznajmił, znów się zatrzymując. Na twarzy tańczyły mu światło i cień. - Pojechałabyś...

Pocałowałam go i wsunęłam rękę pod jego T-shirt. „Nic nie mów - pomyślałam. - Po prostu mnie poczuj”.

Panowała absolutna cisza. Mącił ją jedynie śpiew ptaków. Ale nawet ich głosy wydawały się przytłumione. To idealne miejsce. Idealna pora. Wystarczająco długo czekaliśmy.

- Pokażę ci, ile dla mnie znaczysz - szepnęłam. Zanim przycisnął mnie do siebie, zauważyłam na jego twarzy przerażenie.

*

Imke myślała o czasach, gdy Jette była jeszcze dzieckiem. Przypominała sobie tak wyraźnie, jakby to wszystko działo się wczoraj. Nawet czuła w nosie zapach kremów, dziecięcych szamponów i pudru.

Wieczorami często siadywała przy łóżku córki, wsłuchując się w jej oddech. To dziecko jest prawdziwym cudem! Jego doskonałość wywoływała u niej łzy.

Instynkt macierzyński działał u Imke na podobnej zasadzie co u zwierząt. Wyczuwała potrzeby małej, zaspokajając je najlepiej, jak umiała. Walczyłaby o nią jak lwica, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie.

A teraz? Czy lwica się zestarzała i straciła zęby? Dlaczego siedziała tutaj i czekała, zamiast działać?

Ale cóż. Dziecko dorosło i chodziło własnymi ścieżkami. Nie wiedziała, na jaką drogę weszło teraz.

Imke odczuła potrzebę, by zadzwonić do męża, pomimo że się rozwiedli. Ale tylko z nim naprawdę mogła dzielić strach.

Wybrała numer do biura. Gdy usłyszała głos męża, starała się nie rozpłakać. Poinformowała go krótko i zwięźle.

- Zostaniesz przy telefonie? - zapytała. - Na wypadek, gdyby Jette się do ciebie odezwała.

Zdawało się, że na chwilę wstrzymał powietrze, by potem ciężko westchnąć.

- Mój Boże - jęknął tylko. - Mój Boże.

Po rozmowie Imke chodziła po kuchni w tę i z powrotem, zastanawiając się, czy taka sytuacja zdarzyłaby się również wtedy, gdyby udało jej się utrzymać rodzinę razem. Zatkąła uszy, by stłumić głosy w jej głowie.

Nie chciał tego. Nie teraz. W ogóle tego nie pragnął. Jeszcze o wiele za wcześnie. Nie był na to przygotowany.

Była taka jak inne. Jak inne. Jak...

Łzy spływały mu po policzkach. Nie ocierał ich.

Ze smutkiem pojawił się gniew. Wielki, czerwony i palący.

Dziewczyna zanurzała dłonie w jego włosach. Mruczała czułe słowa, których nie rozumiał. Kochał ją. Jak mogła go tak podstępnie podejść? Tak go rozczarować? Zbrukać jego uczucia, jego ciało i myśli?

W oddali słyszał krzyk. Krzyk pełen udręki. I złości.

-Jette - szepnął. - Dlaczego?

*

Koty spały przytulone do siebie na kanapie w kuchni. Imke, oparta o okno, patrzyła nieruchomo na ulicę. Już tak długo siedziała w bezruchu, że Merle niemal zapomniała o jej obecności.

Dziewczyna uprzątnęła ze stołu rzeczy, które tam wcześniej położyła. Nie muszą się jej przypominać, i tak nie wymaże ich z pamięci do końca życia. Postawiła talerze, filiżanki

i ciasto. Przygotowała też świece. Wystarczy tylko, by Jette wróciła do domu.

- Dobrze, że to nie zima — stwierdziła nagle pisarka. - Wtedy czekanie byłoby jeszcze gorsze.

- Możliwe. - Merle wąpiła, czy pora roku stanowi jakąś różnicę, ale zaprzeczanie uznała za bezsensowne.

- Nieraz bałam się o Jette — wyznała Imke. - Najczęściej tego, że może odejść z kimś obcym. - Roześmiała się gorzko.

„A teraz ten koszmar stał się rzeczywistością - pomyślała Merle. - Odeszła z obcym i nikomu nie powiedziała dokąd”.

- Przez wszystkie te lata nic się nie stało. I akurat kiedy dałam jej wolną rękę, gdy próbowałam zrozumieć, że moja córka stała się dorosłą kobietą, a ja ze swoimi lękami tylko się ośmieszam, akurat w tym momencie ona to robi. Odchodzi z obcym.

- Dla niej nie jest obcy.

Imke obróciła się w stronę dziewczyny.

- Prawie go nie zna! I najwyraźniej nic o nim nie wie. Nikt o nim nic nie wie.

- Policja ją znajdzie — uspokajała Merle. - Nic jej się nie stanie, proszę mi wierzyć. Podeszła do zatroskanej kobiety i wyjrzała przez okno.

Na dworze było lato. Ludzie ubrani w jasne, wesołe stroje, które pasowały do tak pięknego dnia jak dzisiejszy. I nikt z nich nie wiedział, że w rzeczywistości stąpają po kruchym lodzie, który w każdej chwili może się załamać.

*

Jego krzyk wypłoszył ptaki z drzew. Wybuchnął w ciszy i w mojej głowie. Nie był to krzyk rozkoszy. To krzyk rozpacz. I gniewu.

Nie poruszałam się.

- Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Leżałam spokojnie. Żeby jeszcze bardziej go nie rozdrażniać. O co on pyta?

Strach przeszywał mnie od głowy przez całe ciało, aż stałam się odrętwiała i ciężka.

Co się stało?

Gorg lkał, z twarzą na mojej szyi. Jego łzy spływały mi po skórze, jakby były moje. Krzyczał na mnie. I znowu wstrząsały nim spazmy.

Nie dotykałam go. Nie patrzyłam mu w oczy. Moje myśli pędziły i nie układały się w żadną sensowną całość.

Potrząsał mną, przyciągając do siebie, to znów odpychając, i znów mnie obejmował.

Odważyłam się na niego spojrzeć. Pożałowałam tego. On mnie zabije. Nie wiedziałam dlaczego, ale mnie zabije.

- Co to było? - zapytał Heinz Kalbach żony. Rita Kalbach opuściła gazetę.

- To chyba krzyk. - Żyli na prawdziwym odludziu, tam zważa się na odgłosy. - Może znowu jacyś młodzi ludzie -powiedziała.

W ubiegły weekend do lasu wpadła grupa młodzieży i godzinami hałasowali. Ostatnio mówi się na to - że muszą się wyszaleć.

- Pewnie masz rację - starszy pan znów wziął do ręki gazetę i zagłębił się w dział sportowy. Odkąd przeszli na emeryturę, mieli czas, by w spokoju poczytać. Po przejrzeniu gazety wróci do lektury kryminału.

Przed kolacją pójda jeszcze na mały spacer. Pies zrobił się ospały, tak samo jak oni. I tusty. Heinz Kalbach spojrział na czarno-białego cocker-spaniela, śpiącego na swoim kocyku.

Najwyraźniej nie słyszał krzyku. Albo nie zwrócił na niego uwagi. To staruszek, gdyby przeliczyć jego psie lata na ludzkie, to miałyby ich osiemdziesiąt cztery. W tak pięknym wieku nawet czujny pies ma prawo pójść na emeryturę.

Rita Kalbach uśmiechnęła się do męża. Odpowiedział jej tym samym. Wszyscy troje mieli za sobą pracowite życie. Zasłużyli na odpoczynek.

- Dlaczego nie nosicie przy sobie gazu pieprzowego? - zapytała Imke.
- Albo czegoś innego do obrony? I, na litość boską, czemu wyłączacie komórki, gdy wychodzicie?

- Nie przypuszczaliśmy, że może nam się coś stać - odpowiedziała Merle.

- A sprawa Caro? Też niczego nie zmieniła? - Sprawa. Nigdy wcześniej tak tego nie określała. Ale nie potrafiła wymówić słowa „śmierć”. Bała się, by nie stało się rzeczywistością.

- Owszem. - Dziewczyna spuściła głowę. - Ale smutek i złość były dla nas pewną ochroną. Czuliśmy się bezpieczne.

Imke miała ochotę na nią nakrzyczeć. Jednocześnie zrobiło jej się żal speszzonej Merle, która ledwie radziła sobie z poczuciem winy.

- Nie słuchaj - przeprosiła. - To tylko strach. Kiedy inni milkną, ja zaczynam mówić i czasem wygaduję niepotrzebne rzeczy. - Znowu wybrała numer komórki Jette. „Zostaw wiadomość...”. Już dawno to zrobiła: „Kochanie, dziecko, proszę, odezwij się jak najszybciej! Jestem u Merle. Czekamy na twój telefon”.

Nie mogła tego powiedzieć wyraźniej, by nie denerwować tego człowieka. Albo przestraszyć. Niepotrzebnie wywołać w nim agresję. U psychopaty byle drobiazg może doprowadzić do wybuchu.

Merle z takim skupieniem wyglądała przez okno, jakby chciała spojrzeniem ściągnąć Jette na ulicę, korytarz, wreszcie do mieszkania.

*

Obiema rękami badałam mech. Nie znalazłam kamienia ani kija, ale prawa ręka natrafiła nagle na coś, co w dotyku przypominało moją komórkę. Musiała wypaść z torby.

Gorg się uciszył. To przeraziło mnie bardziej niż jego szaleństwo. Nie zastanawiając się, walnęłam go z całej siły telefonem w skroń.

Jęknął i chwycił się za głowę. Odwróciłam się w lewą stronę i zepchnęłam go z siebie.

Nie zdjęłam spódnicy, kiedy się kochaliśmy. Wszystko poszło tak szybko. Była szeroka i lekka, nie utrudniała mi biegu. Bluzka była z przodu rozdarta. Gorgowi nie starczyło cierpliwości, by ją rozpiąć.

Gałęzie uderzały o moje nogi. Kamienie i korzenie raniły bose stopy. Potem wybiegłam na drogę.

Nie miałam czasu przypomnieć sobie, w którym kierunku jest szosa. Po prostu pędziłam na lewo.

Komórka nie wytrzymała uderzenia i się rozpadła. Dlaczego trzymałam ją jeszcze w ręce? Wyrzuciłam ją.

Moje dyszenie wydawało się jedynym odgłosem w tym lesie. Czy miało sens wzywanie pomocy? Pewnie nie. Kto mógłby mnie tu usłyszeć? Poza tym musiałabym zebrać resztki sił i złapać oddech - nie mogłam sobie na to pozwolić.

Nie mogę zostać na drodze. Muszę się ukryć w zaroślach, żeby Gorg mnie nie zobaczył. Miałam wystarczającą przewagę, by zaryzykować.

Dopiero gdy oddaliłam się na odległość dwudziestu metrów od drogi, odważyłam się spojrzeć za siebie. Nikogo nie widać. Może stracił przytomność. Miejmy nadzieję.

Biegłam teraz wolniej, bo wszędzie rosły krzaki, które się zaczepiały o moją spódnicę. Nie chciałam też w panice wpaść w jego ręce.

- Caro - szeptałam. - Kochana, kochana Caro! Znałam jej mordercę. I przed nim uciekałam. Więc to czuła przed śmiercią. Potworne przerażenie.

*

Pies uniósł głowę. Z trudem wstał, poczłapał do drzwi i usiadł.

- Wracaj na kocyk - powiedział Heinz Kalbach z czułością.

- To tylko młodzi ludzie zabawiają się w wolnym czasie.

Ale zwierzak nie słuchał. Przekrzywił głowę. Potem zaczął szczekać.

- Może jednak powinieneś sprawdzić - ponagliła Rita.

- Dziwnie się zachowuje.

„Bo to dziwny egzemplarz — pomyślał staruszek - rozpieszczony i źle wychowany. Chociaż miewa przebłyski inteligencji". Wziął psa na smycz i wyszedł na spacer. ,

*

Gdzie się znajdował? Bolała go głowa. Lewa ręka krwawiła. Pobiła go do krwi!

Wszystkiemu, co teraz się stanie, sama będzie winna.

Wybiegł na drogę i się rozejrzał. Wjechali daleko w głąb lasu. Nie zachodziło więc niebezpieczeństwo, że w ciągu najbliższej pół godziny znajdzie drogę do szosy.

W pewnej odległości zobaczył czarny przedmiot leżący przy drodze. Podbiegł tam i podniósł go. Jej komórka. A raczej to, co z niej zostało. Dobrze, przynajmniej nigdzie nie zadzwoni.

Był pewny, że ją odnajdzie, więc nawet za bardzo się nie śpieszył. Powolny trucht spokojnie wystarczy. Miał wytrenowane ciało, był silny i wściekły.

I miał dobry wzrok. Od razu zauważył drobny strzępek materiału, który zaczepił się o krzew rosnący przy drodze. Wyskubał go, obracając między palcami.

Skrawek jej spódnicy.

To już nie potrwa długo.

Pies rzeczywiście zachowywał się dziwnie. Ciągnął smycz, skamlał, warczał. Może znowu w pobliżu zabłąkał się zdziczały kot. Już kilka razy spotkał się z takim zwierzakiem i za każdym razem źle na tym wychodził. Mimo to ciągle się rzucał na koty.

- Chodź, Rudi - Heinz Kalbach był zniecierpliwiony. - Załatw swoją potrzebę i wracamy.

Gdy czekał, aż pies podniesie nogę, patrzył na dom. Wyglądał jak z bajki. Ukryty między bukami, porośnięty dzikim winem. Gdy wystawiono na sprzedaż starą leśniczówkę, zdecydowali się z żoną od razu. Cieszyli się życiem na pustkowiu, na skraju lasu, oddaleni spory kawałek od pierwszej osady.

Heinz Kalbach zawsze kochał las. Znał go i ufał mu. Tutaj czuł się pewnie i bezpiecznie. Zagrożenie przychodziło tylko ze strony ludzi.

- Rudi? Gotowy?

Pies nie zważał na niego. Warczał z głębi krtani, a potem jak głupi zaczął szarpać smycz i ujadać.

Piekły mnie stopy, bolały nogi i kłuło mnie w boku. Próbowałam równomiernie oddychać, by nie marnować niepotrzebnie sił. Nie zatrzymywać się, byle tylko się nie zatrzymywać.

Przy każdym kroku szeleściło i trzeszczało. Dyszałam zbyt głośno. A jeśli mnie usłyszy? Może kryć się wszędzie. Gdzie on jest? Nie odwracaj się.

A jeśli już idzie za mną? Całkiem blisko? Paraliżował mnie strach. Szłam wolniej, potykając się.

- Caro - szeptałam. - Pomóż mi!

Myślałam o niej, aż w głowie zostało mi tylko jej imię. CaroCaroCaroCaro. I biegłam dalej.

Co się dzieje z tym psem? Zwykle nie jest taki niespokojny. Heinz Kalbach mógł pociągać za smycz, ile chciał, na Rudim zupełnie nie robiło to wrażenia. Czy po to chodził z nim na lekcje tresury?

Starszy pan nie miał ochoty podążać za wyrywającym do przodu psem. Jeśli zwietrzył dzikiego kota, to zwierzak zdąży uciec, nim się tam pojawią.

- Rudi! Do nogi!

Nieraz złościło go, że nadał psu to śmieszne imię. Każde polecenie traciło przez to na powadze.

Rudi warknął. Warknął - na niego! I ujadał dalej.

Miał wrażenie, że głowa mu pęka. Rana na skroni wciąż krwawiła. Krew wpłynęła mu do oka. Dodatkowy ból jeszcze bardziej go rozwścieczył.

Gniew przestał być już gorący i czerwony. Stał się czarny i zimny.

Szedł przez las za dziewczyną i mimo bólu i złości potrafił logicznie myśleć.

Najpierw musi dopaść Jette. Potem ją ukarze.

*

Rita Kalbach wyszła z domu i stanęła obok męża. Tak jak on wpatrywała się w las, nie dostrzegając niczego nadzwyczajnego.

- Pies szczeka inaczej niż zwykle - stwierdziła jak to ona, spokojnie i rozważnie. - Puść go, Heinz.

Nie oponował. Wyraziła tylko to, co sam czuł. Schylił się i odpiął smycz.

Rudi rzucił się do biegu i zniknął w poszyciu. Jego szczekanie cichło, a potem nie było go już słycać.

Kobieta wzięła męża pod rękę.

— Po prostu poczekamy, nie sądzisz? — zaproponowała. Kiwnął głową. Co innego mogli zrobić?

Nagle coś usłyszałam. To brzmiało jak... ujadanie psa. Nie zatrzymałam się, mimo zadyszki wyteżyłam słuch. To było szczekanie. I się zbliżało.

Biegłam w tamtym kierunku. Gdzie jest pies, są też ludzie. Łzy płynęły mi po twarzy, ściekając po brodzie.

Cocker-spaniel wydał mi się najpiękniejszym psem, jakiego dotąd widziałam. Skakał na mnie, jeszcze raz zaszczekał i pobiegł przed siebie. Zatrzymywał się, odwracał w moją stronę i czekał, aż się zbliżę. Znowu pognął kawałek dalej.

Chciał, bym szła za nim, więc tak robiłam. Może to Caro go zesłała, aby wskazać mi drogę.

Najpierw zjawił się pies, potem dziewczyna. Biegła boso, w postrzępionej bluzce i porwanej spódnicy. Z trudem udawało jej się ustać na nogach. Twarz miała brudną i zapłakaną.

- Do domu - wykrztusiła, dysząc i szlochając. Spoglądała przez ramię w stronę lasu.

Zrozumieli natychmiast. Wzięli ją pod ręce, Heinz Kalbach z prawej strony, jego żona z lewej. Słaniającą się wprowadzili do środka.

Starszy pan zatarasował drzwi. Przeszedł przez wszystkie pokoje i pozamykał okna. Dopiero wtedy zadzwonił na policję.

Jego żona w tym czasie poprowadziła dziewczynę na kanapę, przykrywając ją etolą. Siedziała obok niej i przemywała jej twarz wilgotną szmatką.

- Spójrz na jej stopy - szepnęła. - Żywe mięso.

Dziewczyna płakała. Nie mogli zrobić nic więcej, jak tylko cicho przy niej siedzieć.

Pies, który stał na straży przy wejściu, zaczął warczeć. Dziewczyna się wzdrygnęła, przyciskając etolę do piersi, i przerażona wpatrzyła się w drzwi.

Była tam w środku. Czuł to.

Słyszał szczekającego psa i miał się na baczności. Cicho skradał się przy ścianie. Jakies okno będzie przecież otwarte.

Zabarykadowali dom, zrobili z niego twierdzę. Co ma zrobić? Wyważyć drzwi wychodzące na taras?

Po odgłosie szczekania usiłował ocenić wielkość psa. I niebezpieczeństwo grożące z jego strony. Ponieważ nie doszedł do żadnego wniosku, w ogródku przed domem rozejrzał się za czymś, czego mógłby użyć jako broni.

Między płotem a garażem znajdowało się małe oczko wodne, otoczone dekoracyjnymi kamieniami. Każdy z nich był wielkości melona miodowego. Doskonale.

„Zawsze, gdy człowiek myśli, że nie ma wyjścia, nieoczekiwanie pojawia się światelko w tunelu”. Babcia miała jednak rację, przynajmniej czasami.

„Powinienem był zatkać jej gębę - myślał Georg. - Wtedy, gdy wreszcie miałem fizyczną przewagę nad obojgiem”.

Nikt nie zobaczy już w jego oczach strachu. Już nikt się nie odważy kiedykolwiek go uderzyć.

Tym bardziej ta dziewczyna, która tu w środku się przed nim ukryła. Ponownie obszedł dom dookoła, wszedł na taras, zamachnął się i rozbił kamieniem szybę w drzwiach prowadzących na taras. Wtedy zobaczył psa.

Georg uśmiechnął się z satysfakcją. Za mały i za stary, żeby mu zagroził.

Ale dokuczliwy. Uniósł rękę.

Kolekcjoner łańcuszków schwytany

W zakrojonym na szeroką skalę pościgu wczoraj późnym popołudniem policji udało się ująć mężczyznę podejrzanego o dokonanie serii zabójstw, określanego mianem kolekcjonera łańcuszków, który od tygodni wzbudzał strach i przerażenie wśród mieszkańców.

Georg T., robotnik sezonowy, przyznał się zarówno do zamordowania Caroli Steigerz Brohl i Simone Redleff z Hohenkirchen, jak i Marieiii Neubauer z Jever i Nicole Bergmann z Aurich.

Jak twierdzi komisarz policji Bert Melzig, nie można wykluczyć, że zostanie obwiniony także o inne zabójstwa. Nie ma jeszcze jasności co do motywów domniemanego sprawcy.

Jak oświadczył na konferencji prasowej Melzig, do uwięźczonego sukcesem pościgu skłoniła policję przyjaciółka jednej z ofiar zabójstwa - Caroli Steiger. To dzięki niej udało się zapobiec kolejnemu morderstwu.

Bert odłożył gazetę i przyniósł kawę. Z dymiącym kubkiem usiadł przy biurku, zakładając na nie nogi. Był zmę-

czony, wycieńczony psychicznie, ale odczuwał wielką satysfakcję. -
Zaraz po aresztowaniu zadzwonił do Imke Thalheim. Telefon odebrał mężczyzna, pewny siebie, uprzejmy i stanowczy. Bert wybrał więc numer komórkowy pisarki — zastał ją w domu córki. Na przemian płakała i śmiała się z radości.

Tym samym historia z Imke została zakończona, zanim w ogóle się zaczęła. Ale dobrze się stało.

Szef wręcz przesadnie wychwalał Melziga i jego ludzi. Po południu nastrój się zmienił, gdyż komisarz przyznał na konferencji prasowej, że sukces nie został osiągnięty wyłącznie dzięki sprawności policji.

Ale i w tym wypadku dobrze się stało.

Wypił kawę i wykręcił numer żony.

— Cześć, kochanie - powiedział. - Chciałem tylko usłyszeć, co u ciebie.

*

Jette wciąż jeszcze spała. Merle chodziła po mieszkaniu na palcach. Jedyne, co teraz mogła zrobić dla przyjaciółki, to strzec jej snu. Potem zostanie im jeszcze dużo czasu na rozmowy.

Biedaczka była w opłakanym stanie. Patrzyła przed siebie i łkała. Merle częstowała ją ciastem, Imke zrobiła herbatę. Ale Jette nie mogła nic przełknąć. Opatrzyły jej stopy, przebrały w piżamę i zaprowadziły do łóżka.

Merle cicho otworzyła drzwi do pokoju Caro. Usiadła przy biurku i się rozejrzała. Wszystko było tu jeszcze nieruszone. Wszędzie czuła obecność Caro.

- Złapali go - powiedziała. - Już nigdy nic nikomu nie zrobi. Teraz możesz być spokojna.

Może kiedyś wynajmą komuś pokój Caro. Ale w tej chwili Merle nie mogła o tym myśleć. Zamordowana przyjaciółka była wprawdzie w ich sercach, ale dopóki ten pokój jest im potrzebny, by ją wspominać, musi zostać pusty.

Merle nasłuchiwała pod drzwiami Jette. Nic. Żadnego dźwięku. Jette spała głębokim mocnym snem.

Niech odpoczywa. Miały mnóstwo czasu.

Imke z trudem wracała do domu. Najchętniej zostałaby przy łóżku Jette, patrzyła na śpiącą córkę i jej nie opuszczała. Przypomniała sobie jednak, że należy uszanować jej samodzielność. Bo tylko ten, komu dajemy swobodę, wraca do nas.

Tilo na nią czekał. Objął ją i poczuła, że nadszedł czas. Chciała wreszcie żyć razem z nim.

Ugotował coś dla niej i trzymał obiad w piekarniku. Kiepski z niego kucharz. Nie dała tego jednak po sobie poznać, jedząc w środku nocy lepkie kluski z przesolonym sosem szynkowo-śmietanowym.

- Myślę, że naprawdę cię kocham - wyznała do jego pleców.

Tilo nie słyszał. Spał. Pogłaskała go po włosach i wtedy się obrócił, westchnąwszy rozkosznie przez sen, i położył rękę na jej biodrze.

Leżała nieruchomo, wsłuchując się w jego równomierny oddech.

Heinz Kalbach również spał. Jego żona siedziała przy oknie, obserwując cienie w pokoju. Pies leżał na kocyku i lizał łapy. • Oboje nie mogli zasnąć. Zbyt wiele się wydarzyło.

Rudi miał ranę nad lewym okiem, jej mąż siniaki na brodzie, szyi i rękach.

Ale dziewczyna była bezpieczna.

Starsza pani uśmiechnęła się w ciemności. Nigdy nie zapomni zaskoczenia na twarzy Heinza, gdy dowiedział się, komu pomógł. Imke Thalheim to jego ulubiona autorka. Przeczytał każdą jej książkę.

Może trafią na karty najnowszej powieści?

Nie. Rita Kalbach potrząsnęła głową. Śmiertelnego niebezpieczeństwa, w jakim znajdowała się jej córka, pisarka na pewno nie wykorzysta na potrzeby książki.

Cicho wstała i wyszła. Pies ruszył za nią.

- Mały ekstra kąsek, Rudi?

Pomachał ogonem. Zeszła na dół do kuchni. Był stary, ale dzielny. Zasłużył na drobny dodatkowy posiłek.

Georg leżał na plecach z rękami skrzyżowanymi pod głową i zamkniętymi oczami.

Nagle otoczyli go ze wszystkich stron. Wrzeszczeli na niego.

Puścił starego i odwrócił się do nich. Nikt nie będzie na niego krzychał! Nikt!

Kundel znowu wgryzał się w jego nogę. Niebywale zacięta bestia. Georg jeszcze raz wymierzył mu kopniaka, aż zwierzak poszybował przez pokój.

Dziewczyna kulila się na kanapie. Przyciskała do piersi wełniany koc albo coś podobnego. W jej oczach malowało się przerażenie.

Policjanci go powalili i założyli mu kajdanki. Mimo że ręce miał skrupowane na plecach, trzymali go jeszcze za ramiona.

- Jette - wykrztusił. - Nie bój się mnie.

Wyciągnęli go z mieszkania na taras, a ten głupi kundel biegł za nim, znów próbując go zaatakować. Jeden z policjantów złapał psa i zamknął w sąsiednim pokoju.

W drodze do samochodu wołał tylko jej imię.

-Jette! Jette! Jette!

Las jak wielkie ciemne zwierzę pochłaniał jego głos.

Kiedy się obudziłam, poczułam smutek. Nie miałam ochoty wstać. Wszystko mnie bolało. Ciało i dusza.

Słyszałam jeszcze, jak woła moje imię.

Merle stała chyba pod drzwiami, nasłuchując. Weszła i z szerokim uśmiechem przysiadła na moim łóżku.

- Głodna?

Ostrożnie potrząsnęłam głową.

- Nie zjesz mojego superciasta z wiśniami? Ze śmietaną? Zaczęłam płakać.

- Posuń się. - Położyła się obok i przytuliła mnie. O nic nie pytała, za co byłam jej wdzięczna. Potrzebowałam czasu.

Myślałam o Gorgu. Gdzie teraz jest? Jak się czuje?

To on zamordował Caro.

I chciał zabić mnie.

Dlaczego nie mogłam go nienawidzić?

Bałam się go panicznie. A teraz, gdy byłam bezpieczna, wciąż go kochałam.

- To przejdzie - pocieszała Merle.

- To przejdzie, zobaczysz.

Chodziło jej o coś innego, ale miała rację. Z czasem to przejdzie. Zapewne. Kiedyś.